

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Krawczuk

PAN I JEGO FILOZOF

Rzecz o Platonie

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

SPOTKANIE W OEI

Czy to przypadek mnie przywiódł do tego miasta, do Oei, czy też zrządzenie losu, nie umiem powiedzieć. Chętnie bym westchnął: Oby nigdy nie stanęła tu moja noga! – lecz szacunek należny żonie zabrania takich myśli.

Ja, Apulejusz z Madaury, jechałem na studia do Aleksandrii. Obrałem drogę łądem wzdłuż wybrzeża morskiego: z Kartaginy prosto na Hadrumetum i Tapsus, potem skręt koło Małej Syrty, następnie przez miasto Sabrata do Oei. Tu utknąłem. A czekała mnie jeszcze podróż długa i uciążliwa: wybrzeża Wielkiej Syrty, dalej miasta Cyrenajki, za nimi dobry kawał pustkowi, i dopiero Aleksandria.

Ale zatrzymałem się w Oei. I to właśnie zimą, kiedy w tamtych stronach najlepiej się wędruje, bo chłodniej. Utrudzony drogą znalazłem gościnę w domu przyjaciół, Appiuszów, i zaraz ległem, zmożony chorobą. Patrząc obecnie na tę sprawę podejrzewam, co było właściwą przyczyną słabości.

Po kilkunastu dniach odwiedził mnie, wciąż bardzo chorego, Poncjana. Niedawno przyjechał z Rzymu. Dopiero później miałem się dowiedzieć, co spowodowało, że porzucił stolicę i powrócił do rodzinnego miasta, miłego wprawdzie, lecz położonego niemal na krańcach świata. Poznałem Poncjana przed kilku laty, w czasie studiów w Atenach, za pośrednictwem wspólnych przyjaciół; wnet związaliśmy się tam bliską zażyłością. Otóż teraz, w Oei, Poncjana odnosił się do mnie z prawdziwym szacunkiem (bo też był młodszy, choć niewiele), troszczył się o moje zdrowie, okazywał dużo serdeczności. Obecnie już wiem, skąd brało się to wszystko.

Najpierw zaczął badać moje usposobienie i chęci, ostrożnie wszakże i wykrętnie. Od razu zmiarkował, że rwę się do dalszej podróży i że inne sprawy całkiem mi nie w głowie; prawdziwie pożądałem tylko zgłębienia tajemnych nauk Egiptu, jak to przed pięciuset laty czynił boski Platon, a jeszcze przed nim Pitagoras. Jał więc zapewniać, że jeśli zatrzymam się nieco w Oei, on wybierze się ze mną. Wywodził też, że tę zimę straciłem z powodu choroby, trzeba więc poczekać następnej, bo w lecie trudno przebyć Wielką Syrtę, takie tam upały, tyle groźnych bestii, a zwłaszcza jadowitych węży.

Były to argumenty poważne i sensowne, toteż dałem się przekonać. Wciąż słabowałem, pora roku była istotnie spóźniona, a perspektywa odbycia dalekiej podróży w towarzystwie tak miłego przyjaciela przedstawiała się nęcąco. Gdzież jednak miałem mieszkać, czekając w Oei nadejścia zimy? Przecież nie sposób byłoby nadużywać gościnności Appiuszów. Poncjana natychmiast znalazł radę:

– Przeniesiesz się do domu mojej matki. Przyjmujemy cię z radością, miejsca u nas dosyć. Mieszkanie jest bardzo zdrowe, a budynek położony tak dogodnie, że będziesz mógł swobodnie rozkoszować się widokiem morza.

Kto wie, czy moich wątpliwości nie przeważył właśnie ten ostatni argument. Nie znam bowiem nic równie wspaniałego i boskiego, jak ów przestwór niezgłębiony, nie dający się ogarnąć wzrokiem. Zwłaszcza gdy wschodzi nad nim księżyc. Wtedy znowu staje mi przed oczyma cudowna zjawia, którą ujrzałem pewnej księżycowej nocy wiosennej daleko stąd, na wybrzeżu koło Koryntu.

Tak więc, gdy tylko sił mi przybyło, stanąłem przed domem Pudentilli, matki Poncjana; miałem się jej przedstawić.

O APULEJUSZU

Nim jednak narrator znajdzie się przed obliczem pani domu, należy zaprezentować go Czytelnikom, przerywając na krótko tok dopiero co zaczętej opowieści.

Apulejusz urodził się około roku 125 naszej ery w mieście Madaura, a więc na ziemiach dzisiejszej Algierii, w pobliżu jej granicy z Tunezją, wówczas zaś na obszarze rzymskiej prowincji zwanej Africa Proconsularis. Jako młody i stosunkowo zamożny człowiek wiele podróżował. Studiował w Atenach i w Rzymie, później zaś zdobył duży rozgłos dzięki pisarstwu. Wielką sławę dała mu zwłaszcza powieść *Metamorfozy*, czyli *Przemiany*, znana też pod tytułem *Złoty osioł*. Czytywano ją z upodobaniem i w starożytności, i w średniowieczu; w czasach nowszych doczekała się przekładów na niemal wszystkie języki europejskie, w tym także na polski. Pomysł jest znakomity. Pewien młodzieniec przypadkowo, choć nie całkiem bez własnej winy, został zamieniony w osła; pokonuje wiele tragikomicznych przeciwności, aż wreszcie łaska bogini Izydy przywraca mu postać ludzką. W ramy tej opowieści Apulejusz wkomponował liczne nowele. Całość więc jest bogata i różnorodna. Są rozdziały realistyczne i baśniowe, erotyczne i przygodowe, a nawet podniosłe i niemal religijne.

Wszelako wypada skromnie zauważyć, że to nie Apulejusz wymyślił ową człeczko-osłą historię. Wyzyskał on, i to raczej wiernie, pewien romans grecki, którego skrócona wersja, również grecka, zachowała się w zbiorze pism Lukiana. Owszem, to trzeba przyznać, Apulejusz parafrazuje świetnie. Prawda też, że – jak się zdaje – wzbogacił powieść o pewne wątki autobiograficzne. Chodzi zwłaszcza o partie poświęcone bogini Izydzie. Ale z tym wszystkim nie sposób uznać *Metamorfoz* za dzieło rzeczywiście oryginalne. Pomysł jest cudzy; prawdziwie własna, Apulejuszowa, jest tylko szata językowa, zresztą niezwykła i urocza.

A inne pisma? Było ich sporo, nie wszystkie dotrwały do naszych czasów. Z zachowanych charakter ściśle literacki i retoryczny mają *Florida*; jest to wybór celniejszych fragmentów z mów popisowych które Apulejusz wygłaszał przy różnych okazjach. Ich styl znamionuje wirtuoza; treściowo wszakże są to utwory błahe.

Posiadamy wreszcie trzy krótkie traktaty filozoficzne pióra tegoż autora. Jeden z nich jest po prostu tłumaczeniem na łacinę pewnego traktatu, przypisywanego Arystotelesowi. Dwa inne mają charakter bardziej samodzielny. Pierwszy z nich zastanawia się nad kwestią, czym właściwie było bóstwo opiekuńcze Sokratesa. Drugi przedstawia życie i poglądy Platona. Czyni to wprawdzie w sposób pobieżny i niezbyt głęboki, świadczy jednak o kulcie niemal religijnym, jakim Apulejusz, wychowanek ateńskiej Akademii, darzył jej założyciela. Jest to zresztą najstarszy zachowany wykład filozofii platońskiej w języku łacińskim, i choćby z tej racji będzie miał zawsze swoje miejsce w dziejach naszej kultury.

I w końcu dziełko najbardziej osobiste, więc poniekąd najważniejsze: *Apologia*, czyli *Obrona*. Kogóż to broni Apulejusz? Siebie samego. A przed jakimi zarzutami? Cierpliwy Czytelnik łatwo odgadnie ich treść w toku tej opowieści, która w znacznej mierze oparta została właśnie na danych *Apologii*. Należy wszakże uprzedzić, że nie chodzi tu ani o przekład, ani nawet o parafrazę; materiał bowiem mowy obrończej został swobodnie przekształcony oraz wzbogacony motywami z innych źródeł. W ten sposób powstała pewna całość, która daje może nieco zaskakujący, a jednak autentyczny obraz obyczajów i mentalności ludzi wykształconych w okresie rozkwitu cesarstwa rzymskiego. Cóż to za cudaczne przemieszanie sprzeczności w jednym i tym samym człowieku! Subtelna inteligencja i szeroka wiedza współzują z wręcz zabobonnym kultem czarów i magii; przesąd i łatwowierność splatają się ze zdrowym sceptycyzmem i autentyczną dociekliwością uczonego. A równocześnie ów filozof i adept nauk tajemnych okazuje zimną interesowność i zdumiewającą trzeźwość umysłu we wszystkim, co dotyczy kwestii majątkowych.

Może jednak to przemieszanie sprzeczności nie jest czymś niezwykłym i właściwym tylko tamtym czasom. Jeśli się zastanowić i rozejrzeć, chyba nietrudno byłoby wskazać w każdej epoce ludzi inteligentnych, uczonych, wyrachowanych, a jednocześnie lekliwie składających hołd najoczywistszym bzdurom i urojeniom. W ostatecznym zaś rozrachunku wychodzi na to, że każdy wiek najlepiej charakteryzują jego szaleństwa, przesady, psychozy i schorzenia; bożyszcza każdej epoki stają się przedmiotem pośmiewiska i szyderstw czasów po niej idących, a nie mniej, choć inaczej, dziwacznych.

Scenerią perypetii Apulejusza była Oea, czyli dzisiejszy Trypolis w Libii. Relacja o tym, co przeżył tam ów mąż znakomity, stanowi jedną warstwę książki. Drugi natomiast jej wątek dotyczy znacznie wcześniejszych czasów, gdzie indziej się rozgrywa, zagadnienia zaś omawia zupełnie odmienne. Obie te płaszczyzny łączy osoba Apulejusza. Wyzyskamy mianowicie fakt, że miał on tak poważne zainteresowania filozoficzne; przypuścimy, że właśnie w Oei zbierał materiały do owych wspomnianych wyżej traktatów. Co prawda nie jest pewne, czy podpisałby się on pod wszystkimi uwagami i refleksjami, które w jego imieniu zostaną tu przedstawione.

Najlepiej wszakże, jeśli tamten krąg myśli otworzy przed nami sam Apulejusz. Zostawiliśmy go, gdy pukał do drzwi Pudentilli.

PUDENTILLA I WIERSZE PLATONA

Była to pani chyba czterdziestoletnia, a więc starsza ode mnie o lat mniej więcej dziesięć. Na pierwszy rzut oka wydała mi się kobietą zupełnie przeciętnej urody; osądziłem też na podstawie rysów i wyrazu jej twarzy, że jest raczej surowa dla siebie i dla innych, samodzielna i zdecydowana. Nic dziwnego, skoro owdowiała już przed tylu laty i sama musiała zawiadywać dużym majątkiem oraz czuwać nad wychowaniem dwóch synów: Poncjana, o którym już mówiłem, oraz Pudensa, dużo młodszego, chłopca jeszcze.

W toku bardzo miłej rozmowy okazało się, że Pudentilla jest odczytana i prawdziwie inteligentna. Po grecku mówiła doskonale, może nawet swobodniej niż po łacinie; w tych okolicach nie jest to zresztą czymś wyjątkowym, bo zawsze mieszkało tu sporo Hellenów. A jeśli już wspominałem o sprawach językowych: uderzyło mnie, że w Oei, tak samo zresztą jak i w moich stronach rodzinnych, koło Madaury, wciąż jeszcze spotyka się wielu ludzi, szczególnie na wsi, których językiem ojczystym jest punicki. Stanowi to oczywisty spadek po dawnym osadnictwie fenickim i po władztwie Kartaginy nad ziemiami, które obecnie, od Madaury na zachodzie aż po Leptis na wschodzie, leżą w granicach naszej prowincji Africa Proconsularis. Zauważyłem, że nawet młodzietki Pudens, przedstawiony mi zaraz na początku spotkania, woli mówić po punicku niż po łacinie; tę kaleczył nieznośnie. Widocznie chłopiec spędził dzieciństwo na wsi. A przecież starą punicką Kartaginę zburzono do fundamentów już przed około trzystu laty, dzisiejsza zaś, wielka i wspaniała, jest miastem prawie czysto rzymskim! Myślałem:

Może również w naszych ciałach i umysłach żyje dziedzictwo starożytnej Kartaginy, trwałe i niezniszczalne, choć sami nie zdajemy sobie z tego sprawy? Może słusznie twierdzą niektórzy obcy, że my wszyscy, stali mieszkańcy tej krainy, mamy w żyłach, gdy w grę wchodzi sprawy miłości lub nienawiści, nie krew, ale ogień; i że wszyscy w jakiś naturalny sposób jesteśmy związani ze światem czarów i tajemnic?

Rozmowa rychło zesłała na wspólne studia, moje i Poncjana, w Atenach, w Akademii platońskiej. Z wielkim przejęciem wielbiłem jej założyciela i otwarcie stwierdziłem:

– Pragnę jak najwierniej iść w jego ślady i właśnie dlatego wybieram się do Egiptu. Gdyby nie choroba, byłbym tam już dawno. Niestety, muszę zatrzymać się w Oei jeszcze przez kilka miesięcy.

Pudentilla oczywiście nie znała się na platońskiej filozofii i nie czytała ani jednego dialogu naszego mistrza. Natomiast, jak przystało na kulturalną kobietę, żywiła pewne zainteresowania dla poezji. Zapytała, czy Platon nie pozostawił jakichś wierszy. Odpowiedziałem, że jako młody człowiek był on przede wszystkim poetą i układał nawet dramaty; wszystko to jednak spalił, gdy w decydującej chwili swego życia postanowił poświęcić się tylko i wyłącznie poszukiwaniu mądrości.

– Zachowały się wszakże – dodałem – krótkie wiersze Platona, epigramy, pisane dla różnych osób, w których się kochał.

– Jakież to były osoby? I jakie to wiersze? – zapytała Pudentilla, wyraźnie zaciekawiona.

Od razu pożałowałem swoich słów niebaczných. Przecież niemal wszystkie te epigramy wielbiły chłopców! Nie wydało mi się stosowne, bym miał deklamować te namiętne wiersze przed matroną tak poważną i surową. W każdym razie nie do powtórzenia był ten, moim zdaniem, najpiękniejszy:

„Gdym Agatona całował, duszę miałem na wargach;
aż tam stanęła nieszczęsna, jakby przejść chciała na drugą stronę.”

Przytoczyłem więc inny, pozornie powściągliwszy, w którym Platon mówi o jednym ze swych młodych uczniów, o chłopcu imieniem Aster, czyli Gwiazda:

„Wpatrujesz się w gwiazdy, moja Gwiazdo. O jakżeż chciałbym stać się niebem, by tysiącem oczu patrzeć na ciebie!”

Chłopiec zmarł młodo. Jego cieniem mistrz ofiarował taki epigram:

„Przedtem jaśniałeś wśród żywych jako Jutrzenka. Teraz, po śmierci, świecisz wśród zmarłych jako Gwiazda Zachodnia.”

W tym momencie przyszedł mi na myśl wiersz, przez niektórych przypisywany Platonowi, a na szczęście zwrócony do dziewczyny. Zaraz powtórzyłem go głośno:

„Rzucam ci jabłko. Jeśli kochasz mnie z dobrej woli, zatrzymaj je, a w zamian daj mi, co masz najcenniejszego. Jeśli zaś – oby tak nie było! – co innego zamyślasz, weź owoc i dobrze rozważ, że jego świeże piękno wnet minie.”

Rzekłem i – zmartwiałem. Miałem przecież przed sobą kobietę nie pierwszej już młodości! Aby więc ratować sytuację, popełniłem nowy nietakt. Ale zdawało mi się, że niewiele już mam do stracenia w opinii Pudentilli. Powiedziałem:

– Znam jeszcze jeden epigram, którego autorstwo dość powszechnie przyznaje się założycielowi Akademii, choć ja osobiście innego jestem zdania. Wiersz, śmiały w treści, w pewnym stopniu przeczy poprzedniemu. Oto on:

„Mam Archeanasę, heterę z Kolofonu. Nawet w jej zmarszczkach jeszcze się kryje gorzka miłość. Biedni wy, coście ją spotkali, gdy jako młódka zaczynała żeglować! Przez ileż to przeszliście utrapień!”

Może mi się tylko wydawało, że Pudentilla jakby lekko się uśmiechnęła. Zrozumiała widocznie te słowa tak, jak sobie tego życzyłem. I znowu pomyślałem, że chyba nie tylko język punicki jest żywym spadkiem po dawnych panach tej krainy, lecz także gorąca namiętność, godna czcicieli bogini Tanit.

Uzgodniliśmy, że przeprowadzę się do pięknego domu Pudentilli już dnia następnego.

LNIANE ZAWINIĄTKO I OLTARZ BÓSTW DOMOWYCH

Na nową kwaterę przenieśliśmy się oczywiście ze wszystkim, co do Oei przywiozłem. Sam trzymałem w ręku swoje świętości, dobrze owinięte lnianą chustą; tobołki dźwigał niewolnik – jedyny, jaki towarzyszył mi w dalekiej podróży. Tak więc, muszę przyznać, mój dobytek w czasie przeprowadzki do domu bogatej wdowy przedstawiał się raczej skromnie; wszelako już w rok później pozwoliłem sobie na wyzwolenie w tejże Oei trzech ludzi ze służ-

by, i to jednego dnia. Wszystko to miało mi później przysporzyć wiele kłopotów ze strony ludzi zawistnych i małostkowych.

Gdy tylko przekroczyłem próg nowej siedziby, zapytałem, gdzie ołtarzyk bóstw domowych; tam położyłem świętości. Następnego dnia zajrzałem do tego pokoju zaraz z rana; chciałem sprawdzić, czy przypadkiem ktoś ciekawski nie dobrał się do mych skarbów w niepozornym zawiniątku. Przy sposobności stwierdziłem z zachwytem, że pokój jest właściwie biblioteką!

Liczne zwoje papirusowe leżały we wnękach murów i w skrzyniach. Książki stanowiły własność Poncjana, który poważnie interesował się filozofią i literaturą; właśnie dlatego swego czasu udał się do Aten, gdzie los zetknął go ze mną w gajach Akademii. Rzecz to jednak godna ubolewania, że nawet miłość wiedzy i prawdziwe studia nie wystarczają same przez się, by ukształtować stałość charakteru i obronić przed pokusami; przykład Poncjana miał mi to pokazać szczególnie wyraziście.

Wracając wszakże do biblioteki: odkryłem w niej dzieła Platona; traktaty innych filozofów, przeważnie uczniów Sokratesa lub Platona; księgi wielu historyków greckich i mówców. Większość owych zwojów Poncjana nabył w Grecji, a następnie przywiózł tu i zostawił, gdy wyjechał do Rzymu, aby studiować prawo. Obecnie wielce życzliwie pozwolił mi korzystać z tych zasobów, kiedy bym tylko zechciał. Patrząc na to z perspektywy późniejszych wypadków podejrzewam nawet, że ogromnie się ucieszył; tym bowiem sposobem jeszcze mocniej wiązał mnie z domem swej matki, co znowu miało służyć jego planom, wciąż jak najtroskliwiej skrywanym.

Spotkanie po latach z kolegą z platońskiej Akademii; fakt, że zdarzyło się to, gdym pielgrzymował za przykładem samego Platona do Egiptu, ojczyzny bogów i tajemnych nauk; odnalezienie dzieł tegoż Platona w mieście zagubionym pomiędzy morzem a bezmiarem piaszczystych pustkowi – wszystko to rozumiałem jako opatrnościową wskazówkę losu, abym wyzyskał przymusową zwłokę w Oei, przedstawiając po raz pierwszy w języku łacińskim życie założyciela Akademii.

Nie wiem, jaki kształt ostateczny otrzymało to dzieło. Stało się bowiem tak, że praca nad nim w przedziwny sposób splata się z perypetiami mego życia. Wydarzenia zabawne lub żałosne, a czasem groźne, to odwodzą mnie od badań naukowych, to znowu jakby ku nim skłaniają. Ale ja dawno już przejrzałem, że nie ma przypadków. Wszystkim rządzą z ukrycia moce tajemne, wiedząc nas ku celom sobie tylko znanym.

Sokrates w niektórych chwilach swego życia słyszał płynące skądś słowa, rady, wskazówki; przypisywał je, na pewno słusznie, swemu demonowi, czyli duchowi opiekuńczemu. Zbyt mało we mnie prawdziwej mądrości i czystości ducha, abym mógł wprost pojąć co mówi mój demon-stróż. Wierzę jednak, że to właśnie on powoduje moimi krokami. Jeśli wrogowie to mają na myśli, nazywając mnie magiem i czarownikiem, chętnie się godzę. Lecz za wysoko bym ich oceniał przyjmując, iż zdolni są do tak głębokich poglądów; widzą tylko drobiazgi, jak owa chusta lniana, a i te źle rozumieją.

MISTERIA

Owinięte lnianą chustą towarzyszyły mi wszędzie święte przedmioty; otrzymałem je od kapłanów Demeter i Persefony w Eleusis, gdy dostąpiłem tam wtajemniczenia. Studiując bowiem w Atenach nie omieszkalem zgłębić obrządków i nauk, które od najdawniejszych czasów cieszą się szczególną czcią w całej Helladzie. Zresztą Eleusis leży tak blisko Aten – pie szo niewiele ponad pół dnia drogi – że byłoby nawet przejawem pewnego lekceważenia nie odbyć pielgrzymki do przybytku bogiń, z których jedna żywi nas płodami ziemi, druga zaś włada światem zmarłych. Wydało mi się to nakazem tym pilniejszym, że misteria eleuzyńskie

odprawia się tylko i wyłącznie w tej miejscowości, podczas gdy wszelkie obrządki ku czci innych bóstw dokonywane są w każdej krainie Imperium, gdzie tylko nauczają ich kapłani i gromadzą się wyznawcy. Ja sam doznałem niezwyklej łaski od egipskiej bogini Izydy, najpierw u wybrzeża morskiego koło Koryntu, a potem w Rzymie. Po raz pierwszy objawiła mi się nocą, o wschodzie księżyca, i wnet przekroczyłem progi tamtejszej jej świątyni. Po raz drugi, nad Tybrem, ujrzałem we śnie jej małżonka Ozyrysa i wstąpiłem na wyższe stopnie poznania prawd ukrytych.

Natomiast z pewnym zdziwieniem, a nawet żalem, muszę stwierdzić, że Platon chyba nie był wtajemniczony w misteria eleuzyńskie, w dziełach zaś swoich zaledwie o nich wspomina. A przecież mówi on często i z wielką czcią o różnych bóstwach nieśmiertelnych, o losach duszy, o pradawnych podaniach i naukach, o mądrości kapłanów i wieszczów nie tylko helłeńskich, lecz także barbarzyńskich. Szczególnie piękny i bardzo osobisty jest ton wypowiedzi w dziesiątej księdze *Praw*. Platon gromi tam niedowiarków przeczących istnieniu bogów nieśmiertelnych. Oto treść jego wywodów:

Tych ludzi nie przekonywają opowieści, które jako dzieci słyszeli od swych matek i piastunek, powtarzane niby pieśni czarodziejskie, raz żartobliwie, to znowu poważnie. Słyszeli je również przy modlitwach i ofiarach; a obrzędy te są dla oczu i uszu dziecka jednym z najmiłszych przeżyć. Owi niedowiarkowie winni też pamiętać, że ich rodzice w trosce o dobro swoje i potomstwa z najgłębszą ufnością zanosili modły i błagania do bogów jako do istot najrzeczywistszych. Winni wreszcie dojrzeć i pojąć, że wszyscy Hellenowie i barbarzyńcy tak postępują: w przeróżnych chwilach życia, zarówno złych, jak i dobrych, a także przy wschodzie i zachodzie słońca oraz księżyca, pobożnie kłonią się ku ziemi, nawet przez mgnienie oka nie podając w wątpliwość istnienia bogów.

Pracując nad dziełem *Prawa* Platon był już starcem. Kto wie, czy pisząc powyższe słowa nie wracał myślą do najdroższych wspomnień dzieciństwa, kiedy to matka, tuląc go do piersi lub usypiając, snuła długie opowieści o bogach dobrych i łaskawych; kiedy to w dni świąteczne ojciec stojąc w otoczeniu całej rodziny i służby na dziedzińcu, przy ołtarzu ofiarnym, uroczyście podnosił ręce ku niebu, wzywał po kolei bóstwa opiekuńcze, prosił je o zyczliwość dla wszystkich mieszkańców domu.

A co do misteriów, to przychodzi mi jeszcze na myśl, że w dialogu *Fedon* Platon wkłada w usta Sokratesa, już sposobiącego się do śmierci, wypowiedź tej treści:

Prawda jest w swej istocie oczyszczeniem się od różnych słabości. Powściągliwość zaś, uczciwość, odwaga, a nawet sam rozsądek stanowią również rodzaj czystości wewnętrznej. I chyba niegłupi byli ci, co wprowadzili misteria, dzięki nim bowiem mogli już w pradawnych czasach pod postacią zagadkowej opowieści przekazywać takie nauki: kto przybywa do świata zmarłych niewtajemniczony i bez święceń, będzie leżał tam w błocie; natomiast człowiek czysty i uczestnik misteriów zamieszka wśród bogów. Wszelako, jak to zwykli mówić przełożeni nad misteriami: „Symbol wtajemniczenia nosi wielu, ale prawdziwych bachantów jest niewielu.” Moim zaś zdaniem ci bachanci, czyli nawiedzeni przez boga, to nie kto inny, lecz miłujący mądrość w sposób właściwy!

Te zdania, niby to Sokratesa, lecz naprawdę samego Platona, wydają mi się ważne z dwóch powodów.

Wynika z nich po pierwsze, że założyciel Akademii za rzeczywiste wtajemniczenie uznawał studium filozofii; natomiast nauki i obrzędy różnych misteriów traktował tylko jako przybliżony obraz najwyższego poznania, ustanowiony przez świątłych ludzi starożytnych dla prowadzenia maluczkich, którzy jeszcze nie dojrzeliby do należytego ukochania czystej mądrości.

Ale jest także drugi wniosek. To bowiem, co Platon mówi tu o misteriach, dotyczy nie Eleusis, lecz doktryny orfickiej. Zresztą w wielu swych dziełach Platon wprost lub pośrednio nawiązuje do wielkiego mitu, wokół którego orficy do dziś oplatają swe nauki i ceremonie, nauczając:

Bóg Dionizos został rozerwany na strzępy i pożarty przez tytanów. Wstrząśnięty tą zbrodnią Zeus spalił ich piorunem, z popiołów zaś uformował pierwszego człowieka. Skutkiem tego każdy człowiek ma w sobie dwa przeciwstawne i zwalczające się elementy. Jeden z nich pochodzi od Dionizosa, jest więc boski i nieśmiertelny, drugi natomiast od tytanów, czyli istot ziemskich i bestialskich. Ciało ludzkie to więzienie i grób czystego ducha, równego bogom. Życie jest zarazem karą i próbą; dla pierwiastka boskiego w nas oznacza ono śmierć niemal, natomiast śmierć fizyczna staje się dlań początkiem prawdziwego życia. Kiedy dusza zstępuje do Hadesu, czeka ją sąd, później zaś, zależnie od zasług lub występków, cierpi w błocie podziemi lub raduje się wespół z bogami.

Wszelako tenże sam Platon wprowadza w pierwszej księdze *Państwa* swego rodzonego brata Adejmanta, który pokpiwa z owych wyobrażeń o nagrodzie i karze po śmierci jako ze zbyt naiwnych:

– Ci, co w to wierzą, prowadzą w swych opowieściach ludzi zacnych do Hadesu, układają ich na łożach biesiadnych, urządzają uczty, każą im, uwieńczonym, pić wino po wszystkie czasy. Widocznie uważają, że najpiękniejszą nagrodą cnoty jest wieczne pijaństwo. A znowu bezbożników i zbrodniarzy grzebią w jakimś błocie hadesowym lub przykazują, by bez przerwy nosili wodę w sitach.

Niełatwo więc dojść i określić, jakie były poglądy Platona – zresztą nie tylko w tej materii. Twórca Akademii żył długo i pisał wiele; możliwe więc, że w ciągu lat zmieniał swoje zapatrywania nawet na sprawy najistotniejsze. Czasami trudno też wyrozumieć, czy mówi poważnie, czy też pod płaszczykiem słów wzniosłych i pięknych kryje się ironia; tę umiejętność subtelnej wieloznaczności w wypowiedziach przejął chyba od swego mistrza Sokratesa i rozwinął ją znakomicie. Wreszcie, prawie wszystkie utwory Platona mają formę dialogów; w jakimże więc stopniu mamy prawo uznawać za jego własne wypowiedzi to, co wkłada w usta różnych dyskutujących osób?

Wynika z tych uwag, że znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, gdy przystąpiłem do dzieła o Platonie. Należało koniecznie znaleźć jakąś pewną podstawę i jakby nić przewodnią, aby nie zgubić się w tym przedziwnym, wspaniałym i arcykunsztownym labiryncie myśli. Kto wie, czy Platon nie zbudował go właśnie po to, aby nie dopuścić profanów do najgłębszej i najświętszej tajemnicy swych przekonań?

LIST SIÓDMY

Sięgnąłem pamięcią do lat studenckich, kiedy to wraz z Poncjaniem przechadzałem się wśród platanów i drzew oliwnych Akademii lub w cieniu portyków siadałem u stóp mądrych nauczycieli, którzy od prawie pięciu wieków, pokolenie po pokoleniu, przekazują i objaśniają myśli Platona – jak sami je rozumieją; a rozumieją różnie. Otóż w tej to Akademii mistrz Gajos, najbardziej wtedy poważany, często wspominał, że najlepiej poznamy życie i poglądy Platona wychodząc od jego listu, który zowie się siódmym, a skierowany jest do przyjaciół sycylijskich. Toteż w Oei, gdy tylko przyszły mi na myśl pouczenia Gajosa, natychmiast zabrałem się do studiowania tego listu, będącego zresztą w istocie dość długim traktatem.

Jak już mówiłem, Poncjani poprzednio bardzo ostrożnie badał moje zamiary, mając na oku swoje cele. Kilkakrotnie zwracał mi uwagę, delikatnie i troskliwie, że liczę już lat trzydzieści, najwyższa więc pora, bym założył rodzinę; przecież on sam, choć nieco młodszy, właśnie o tym przemyśliwa! Haczyk owych napomknień, rzucanych zresztą jakby mimochodem, widocznie gdzieś tam utkwiał w mej świadomości, bo kiedy tylko wziąłem do ręki list siódmy, od razu uprzytomniłem sobie, jak posunięty w latach był Platon, układając to pismo: miał chyba prawie osiemdziesiątkę. Dotąd jakoś nigdy nie przykładałem należytej wagi do oko

liczności, że czytam słowa starca który już kończy drogę życia, patrzy wstecz i pragnie przekazać potomności własne widzenie i ocenę swych wysiłków, pomyłek i osiągnięć. Uczyniłem też takie obliczenie:

Obecnie dwunasty już rok panuje cesarz Antoninus Pius i są to lata olimpiady 232 [rok 150 n.e.]; a skoro Platon pisał list siódmy w latach olimpiady 107 [rok 352–349 p.n.e.], minęło od tamtego czasu olimpiad sto dwadzieścia pięć, czyli okrągło lat pięćset. Fakt, że zamyka się obecnie prawie dokładnie pięć wieków, wydał mi się znamienny i rokujący memu dziełu dobre nadzieje.

A teraz list siódmy. Platon cofa się myślą do lat wczesnej młodości i pisze zaraz na wstępie:

„Jako młody człowiek doświadczyłem czegoś, co zdarza się wielu. Pragnąłem, gdy tylko dojdę do swych lat, poświęcić się polityce. A tymczasem sytuacja państwa tak przedstawiała się wtedy:

Ponieważ wielu krytykowało ówczesny ustrój, doszło do przewrotu. Na czele nowych władz stanęło pięćdziesięciu jeden obywateli. Z tej liczby jedenastu sprawowało nadzór nad handlem i administracją w samych Atenach, dziesięciu zaś zarządzało Pireusem. Natomiast trzydziestu pozostałych kierowało całością spraw państwowych, mając nieograniczone kompetencje. Otóż złożyło się tak, że niektórzy z nich byli moimi krewnymi i znajomymi; ci od razu zaczęli zachęcać, bym wziął udział w ich działalności, jako że ona także mnie dotyczy. Nie należy się dziwić, że ulegałem wtedy pewnym złudzeniom; byłem przecież bardzo młody. Wydawało mi się, że te rządy poprowadzą państwo od zła ku praworządności. Dlatego pilnie baczyłem, jak będą postępować nowi władcy. I co ujrzałem? Oto w krótkim czasie sprawili, że ustrój poprzedni wydał się złoty!

Drogiemu mi starca, którego nie wahałbym się nazwać człowiekiem najbardziej prawym wśród współczesnych, chcieli wysłać wraz z kilku innymi, rozkazując im wspólnie schwytać i siłą sprowadzić jednego z obywateli, na którym miano wykonać wyrok śmierci. Oczywiście chodziło im o to, aby Sokrates stał się współnikiem ich spraw, nawet wbrew swej woli. On jednak nie posłuchał. Gotów był na wszystko, byle nie uczestniczyć w zbrodni.”

Taki więc był ów młody Platon. Nie misteria go zajmowały, i nawet nie studium mądrości, lecz tylko polityka. Przyznam, że trudno mi pojąć takie stanowisko i tego rodzaju zainteresowania. Przywykłem w naszej błogiej epoce jedynowładztwa, że kto inny podejmuje za mnie wszelkie decyzje w sprawach państwa i społeczności, ja zaś przyklaskuję każdej.

LIBER PATER

Nie tylko dla mnie martwe są sprawy polityki, żywe zaś i pasjonujące te, które dotyczą misteriów. Można śmiało stwierdzić, że właśnie takie jest nastawienie najszerszych mas ludności cesarstwa – poza oczywiście wąską grupą wysokich dostojników, istotnie mających jakiś wpływ na bieg spraw państwowych. Ileż to dziś we wszystkich krainach Imperium bractw religijnych, ile wtajemniczeń, ile kultów bóstw rozmaitych! Tak na przykład w naszej prowincji, a więc również tu, w Oei, bardzo wielu czcicieli ma Liber Pater, czyli po prostu grecki Dionizos-Bachus. Jego bractwa, do których można wstąpić tylko drogą wtajemniczeń, zbierają się na dziwne nabożeństwa, polegające przede wszystkim na wspólnym ucztowaniu. Jakim ucztowaniu! Wino leje się obficie, a podochoceni bachanci tańczą niemal nago i coraz zapamiętałej przy wtórce bardzo rytmicznej, wręcz przejmującej muzyki. Tańczą tak długo, póki niektórzy z nich nie popadną w rodzaj szału, który zwykle udziela się reszcie zebranych. Utrzymują później, że wstąpił w nich duch boży i że nie władali sami sobą. W ekstatycznym upojeniu krzyczą i wyją, skaczą i tarzają się po ziemi, rozrywają różne przedmioty na strzępy, obejmują się i miłują. Wszystkto to ma być, w ich mniemaniu, jakimś przedsmakiem wiecz-

nej szczęśliwości po śmierci, kiedy to oni, wierni czciciele Dionizosa, będą uczestniczyć w boskiej biesiadzie na niebiańskich błoniach. Rozumiem te marzenia. Jakżeż bowiem ludzie prości i niedokształceni mogą wyobrażać sobie najwyższą rozkosz? Tylko jako uciechy stołu i łoża.

Nie inaczej było pięć wieków temu, w czasach Platona, choć intensywność prawdziwego życia politycznego czyniła te zjawiska czymś nieporównanie słabszym i ubocznym. Ale i wówczas potępiano nieobyczajność bachicznych ceremonii; wspólne uczyty, pijaństwo i orgie szokowały ludzi tamtych czasów tak samo, jak i nas obecnie. Przynajmniej tak się dorozumiewam odczytując krótką wzmiankę w drugiej księdze *Praw Platońskich*:

Szerzy się po cichu wieść i podanie, że bogu Dionizosowi odebrała jasne rozeznanie w duszy jego macocha Hera. Z zemsty za to Dionizos wprowadził święta bachiczne i szaleńcze obchody, a także darował nam wino.

Czyli, jeśli wierzyć Platonowi, niektórzy jego współcześni tłumaczyli sobie niezwykłość kultu Bachusa, tak odbijającą od dostojeństwa ceremonii ku czci innych bogów – zatargami wśród niebian. Wszelako sam Platon nie zgadzał się z tym poglądem, zaraz bowiem dodaje:

Szerzenie owych wieści pozostawiam tym, którzy uznają za rzecz bezpieczną powiadać coś takiego o bogach.

Platon bowiem miał własne zdanie o początku i znaczeniu pieśni, tańca, a nawet wina. Uważał je za spadek po niemowlęctwie ludzkości; spadek potrzebny, z niego bowiem wytworzyło się poczucie rytmu i harmonii, właściwe wśród wszystkich istot tylko człowiekowi, a odgrywające ogromną rolę w wychowaniu duszy i ciała.

POEZJA I JEJ NADZORCY

Ponieważ wspomniałem o wychowaniu, pragnę od razu w tym miejscu poruszyć pewną sprawę, dotyczącą poglądów Platona, która dziwi mnie i zastanawia, odkąd tylko z nią się zetknąłem.

Swoje wielkie dzieło, *Prawa*, Platon pisał u schyłku życia właśnie po to, aby określić zasady wychowania obywateli w państwie doskonałym. Odpowiednie kształtowanie osobowości rozpoczyna się już w najwcześniejszym dzieciństwie i trwa do późnej starości; wszyscy mieszkańcy idealnego państwa poddani są stałemu i ścisłemu rygorowi ustaw, które kierują ich postępowaniem zarówno w życiu publicznym, jak i osobistym. Tylko ci obywatele, którzy ukończyli lat sześćdziesiąt, mogą swobodniej układać swoje sprawy; ale wtedy, w wieku podeszłym, są oni już tak uformowani, że sami stają się żywym prawem. Toteż właśnie starcy osądzają, czy młodsi w pełni dochowują wierności ustrojowi. Nawet dni odpoczynku, czyli święta ku czci bogów, zostały włączone do owego wszechwychowania. Po części bowiem mają one służyć odprężeniu i umilić życie, dlatego wypełnia je muzyka, taniec i śpiew chóralny; jednakże forma i treść tych utworów musi odpowiadać pewnym prawom; Platon ustanawia je i omawia w księdze siódmej.

Pierwsze z nich głosi, że nastrój utworów winien być podniosły. Drugie wychodzi z założenia, że pieśni są rodzajem modłów zwróconych ku bogom, toteż poeci mają pilnie zważać, by nie wśliznęło się do ich dzieł coś zdroźnego, co by mogło wywołać gniew niebian. Wiadomo wszakże, że twórcy nie zawsze potrafią sami przez się odróżnić, co złe, a co dobre. Dlatego trzecie prawo orzeka: twórcy nie wolno odstępować od tego, co państwo uznaje za słuszne, piękne i dobre. Nie wolno mu nawet pokazywać swych dzieł osobom prywatnym, póki nie uzyskają one aprobaty sędziów i nadzorców. Przedmiotem pieśni mają być przede wszystkim bogowie, ale także demony, herosowie, a nawet zmarli ludzie, zasłużeni dla państwa. Natomiast wychwalanie osób żyjących, nawet wybitnych, wymagałoby rozważań. Co jednak uczynić z dziełami pozostawionymi nam w spadku przez przeszłe pokolenia? Komisja

starców musi dokonać wśród nich wyboru, odrzucając wszystko, co niewłaściwe; to wszakże, co kryje w sobie jakieś wartości, należy przekazać utalentowanym poetom i muzykom, by dokonali oni odpowiednich przeróbek. Trzeba bowiem wykorzystywać zdolności twórców, ale w taki sposób, by ich osobistym upodobaniom pozostawić jak najmniej miejsca. W ostatniej instancji o wszystkim ma decydować wola stróżów ustroju. Utwór właściwie ustawiony jest tysiąc razy lepszy od nie uporządkowanego – nawet jeśli ów pierwszy nie posiadał uwodzicielskiego wdzięku słodkiej Muzy.

Takie były poglądy Platona – starca. Tego Platona, który w latach młodości, a nawet jeszcze później, pisał namiętne elegie miłosne. Miałem je w świeżej pamięci, z racji niedawnej rozmowy z Pudentillą; może dlatego rzecz wydała mi się jeszcze bardziej zagadkowa niż zwykle, a sprzeczność obu postaw zdumiewająco jaskrawa. Przez moment myślałem, że wszystko jest w zasadzie proste i jasne: u schyłku życia filozof stał się, jak to starcy zazwyczaj, twardy, bezkompromisowy, nieczuły na uroki doznań młodzieńczych, a może nawet zawistnie im niechętny. Wnet wszakże uświadomiłem sobie, że podobne poglądy Platon reprezentował już w dziele, które pisał w sile wieku. Myślę o dziesiątej księdze *Państwa*.

O SZKODLIWOŚCI POEZJI

Rozmówcami w tej księdze są Sokrates i Glaukon, brat Platona. Sądzę, że ma to swoje znaczenie; oddając bowiem głos taki bliskiej osobie filozof zapewne chciał wskazać, że wyłożone myśli nie są igraszką lub żartem, lecz jego własnymi, prawdziwymi poglądami.

Zaraz na początku Sokrates stawia tezę, która już poprzednio pojawiała się w dyskusji, lecz nie została, szerzej rozwinięta:

– W naszym państwie doskonałym pod żadnym warunkiem nie będziemy tolerować poezji naśladowczej!

To ostatnie określenie jest bardzo szerokie i obejmuje właściwie wszystkie rodzaje poezji (z wyjątkiem dwóch, o których niżej), a więc zarówno epikę, jak też dramaturgię i lirykę; wszystkie bowiem one usiłują na swój sposób naśladować rzeczywistość oraz wzbudzić w słuchaczach emocje, jakie wywołałyby w nich wydarzenia prawdziwe. Sokrates atakuje poezję poniekąd wbrew sobie. Wyznaje, że od dziecka miłuje i czci Homera, praojca całej owej twórczości, oskarża go jednak surowo, podobnie jak i jego uczniów, tragiczków i liryków, dających w swych dziełach tylko pozór i zwid rzeczywistości.

Próżno by pytać – wywodzi Sokrates – jakie to państwo dzięki Homerowi ulepszyło swój ustrój i prawa, wygrało wojnę, wprowadziło nowe pomysły techniczne. Zresztą Homer nie był mistrzem i wzorem nawet dla swych współczesnych i najbliższych, nie ustanowił bowiem odrębnego, homeryckiego sposobu życia, jak to później uczynił na przykład Pitagoras.

Jednakże, zdaniem tegoż Sokratesa, najpoważniejsze są zarzuty dotyczące samej istoty wszelkiej poezji naśladowczej:

Pobudza ona i doprowadza do rozkwitu uczuciowy pierwiastek duszy, i to kosztem tego, który myśli racjonalnie. Jest to działanie wielce szkodliwe i niebezpieczne; zupełnie tak samo, jak gdyby w państwie ktoś wzmacniał siły głupoty i kazał im rządzić, niszczył natomiast ludzi światłych. A właśnie tak postępuje poeta: wszczepia w dusze słuchaczy zły ustrój, sprzyja czynnikom nierozumnym. Tym sposobem przynosi szkodę nawet ludziom myślącym. Weźmy pod rozwagę przykład stosunkowo prosty! Oto zdarza się często, że Homer lub dramaturg wprowadzają bohatera cierpiącego, rozpaczającego; patrzymy i słuchamy wzruszeni, dajemy się powodować poecie, wychwalamy go jako twórcę znakomitego. A przecież jeśli cios spadnie na nas samych, usiłujemy zachować spokój i hart ducha, słusznie uważając, że mężczyźni przystoi panować nad swymi uczuciami. Podobnie ma się rzecz w innych wypadkach, gdy

poeta pobudza naszą pożądlivość erotyczną, skłonność do gniewu czy w ogóle jakąkolwiek namiętność; w istocie bowiem należałoby ujarzmić te emocje i schorzenia, jeśli pragniemy stać się lepsi i szczęśliwsi.

Ostateczny więc wniosek rozmówców jest taki:

W państwie doskonałym dopuścimy, jeśli chodzi o twórczość poetycką, tylko hymny ku czci bogów i pochwały ludzi uczciwych. Gdyby bowiem pojawiła się owa słodka Muza piosenek i epepei, wnet zaczęłoby królować nie prawo i nie głos społecznego rozsądku, lecz po-goń za uczuciowymi doznaniem.

Takie były poglądy Platona, według dziesiątej księgi *Państwa*. Czytając te słowa, jak i wypowiedzi w *Prawach*, rodzi się we mnie podejrzenie, że w Akademii pokazywano nam zbyt jednostronny obraz jej założyciela. Tam mówiono o nim tylko jako o mędrca, zatopionym w rozmyślaniach nad jednością piękna, prawdy i dobra, bytującym w świecie czystych, niezemi-skich idei. A przecież trudno oprzeć się myśli, że człowiek ten był opętany polityką i żądzą władzy. Pragnął wszystko zmieniać, przekształcać na nowo. Za nic miał głos i tradycję wie-ków. Deptał nawet własne umiłowania. Chciał stworzyć nowe państwo, nowy ustrój, nowego człowieka. Co prawda po to, by w idealnym państwie urzeczywistnić jedność piękna, prawdy i dobra. Ale za jaką cenę!

Jeśli tak – myślałem – to widocznie w latach młodości Platon przeżył wstrząsy, które zra-ziły go zarówno do stosunków w ojczyźnie, jak i do wszelkich form ustrojowych, z jakimi się zetknął. Zacząłem studia nad życiem Platona od początku listu siódmego. Wyczytałem tam, że interesował się za młodu polityką i chciał się jej poświęcić, obrzydło mu wszakże postę-powanie ówczesnego rządu ateńskiego, choć byli w nim jego krewni; najbardziej zaś to, że usiłował on wplątać w swoje zbrodnie także Sokratesa. Należało więc wrócić do tej sprawy i bliżej się nią zająć.

SOKRATES I RZĄDY TRZYDZIESTU

Pierwszym dziełkiem Platona, jakie w ogóle czytałem, jeszcze w dzieciństwie, był oczywi-ście nie list siódmy, lecz *Apologia*. Sądzę zresztą, że ta obrona Sokratesa w formie jego mo-wy przed sądem ateńskim będzie należeć do podstaw wszelkiego wykształcenia tak długo, jak długo nasz świat zdoła oprzeć się barbarii. Ja w każdym razie umiem ją prawie na pamięć. Gdybym to mógł przewidzieć, ponownie biorąc w Oei *Apologię* do rąk, że maluczko, ma-luczko, a sam stanę przed sądem i wygłoszę swoją apologię! I to w sprawie poniekąd podob-nej do Sokratesowej, a równie groźnej: jego bowiem oskarżono o wprowadzanie nowych bo-gów i o deprawowanie młodzieży, mnie zaś o uprawianie bezbożnych czarów i o uwiedzenie kobiety przy pomocy zabiegów magicznych.

Nie uprzedzajmy wszakże wypadków. Wracam do zagadnienia, którym się wówczas inte-resowałem. Przyszło mi bowiem na myśl, że właśnie w *Apologii* sam Sokrates opowiada, i to nieco szerzej, jak dzielnie się zachował, gdy Trzydziestu sprawowało rządy:

„Zawezwali mnie przed siebie wraz z czterema jeszcze obywatelami. Rozkazali nam, aby-śmy doprowadzili z wyspy Salaminy niejakiego Leona; miano wykonać na nim wyrok śmier-ci. Podobne rozkazy otrzymywało wówczas wielu obywateli. Rząd bowiem dążył do tego, aby mieć jak najwięcej współników swych, zbrodni. Wtedy to pokazałem nie słowem, lecz czynem, że na własnym życiu nic mi nie zależy, bardzo natomiast na tym, by nie popełnić niczego, co niezbożne i niepraworządne. Nawet ów rząd, choć tak wszechmocny, nie zdołał zmusić mnie do tego terrorem. Wyszliśmy z budynku. Tamtych czterech udało się na Salami-nę i rzeczywiście przywiodło Leona. Ja tymczasem powędrowałem sobie do domu. Zapewne zapłaciłbym za to życiem, gdyby nie złożyło się tak szczęśliwie, że wnet potem obalono Trzydziestu.”

Platon miał lat dwadzieścia kilka, gdy w Atenach zniesiono ustrój demokratyczny. Stało się to bowiem w pierwszym roku olimpiady 94 [rok 404 p.n.e.], skutkiem klęski Aten w wojnie ze Spartą. To właśnie zwycięzcy Lacedemończycy zażądali, aby odtąd głos w państwie ateńskim mieli tylko obywatele najzamożniejsi, których liczono około trzech tysięcy; faktycznie jednak rządziła Komisja Trzydziestu. Lacedemończycy trafnie rozumowali, że taki system najlepiej zagwarantuje lojalność pokonanych. Ale także w samych Atenach demokratów obwiniano, nie bez słuszności, o spowodowanie katastrofy wojennej. Zarzucano im, że nazbyt napięli siły państwa; że brutalnym postępowaniem zrazili sobie sprzymierzeńców; że przez chorobliwą podejrzliwość wygnali lub wymordowali wielu zasłużonych obywateli.

Jednakże, jak słusznie powiada Platon w liście siódmym, bezwzględność nowych rządów sprawiła, że dawny ustrój demokratyczny rychło zaczął wydawać się złoty. W ciągu kilku miesięcy w Atenach wykonano ponad tysiąc pięćset wyroków śmierci, a ponad pięć tysięcy obywateli uciekło za granicę. Toteż Komisję zwano powszechnie i po prostu tyranią Trzydziestu.

Zainteresowało mnie, jak wyglądało życie w Atenach, gdy nad miastem ciążył terror, jakich ludzi prześladowano i z jakich powodów. Był to przecież okres, w którym Platon wchodził – a raczej chciał wejść – w życie polityczne, z wieloma zaś spośród Trzydziestu łączyły go, jak sam wyznaje, więzy pokrewieństwa i znajomości. Sięgnąłem więc po opowieść człowieka, który był świadkiem wydarzeń i sporo wówczas przeżył; myślę o Lizjaszu. Studiując retorykę grecką trzeba było dobrze przyswoić sobie jego mowy sądowe. Już wówczas utkwiła mi w pamięci opowieść, w której przedstawia dzieje swej rodziny pod rządami Trzydziestu. A kiedy obecnie znowu ją przejrzałem, wydało mi się, że sam uczestniczę w tamtych wypadkach; tak jest żywa i bezpośrednia.

OPOWIEŚĆ LIZJASZA

Ojciec mój, Kefalos, przybył do Aten z namowy Peryklesa. Osiedlił się tu na stałe przed trzydziestu laty. Przez cały czas ani on, ani też my, jego synowie, nigdy nie byliśmy pozywani przed sąd i nigdy ze swej strony nie pozywaliśmy nikogo. Tak właśnie żyliśmy za demokracji: my nie popełnialiśmy żadnych wykroczeń i nas również nikt nie krzywdził. Potem jednak nastąpiły rządy Trzydziestu, ludzi zbrodniczych i przewrotnych. Oświadczyli oni, że należy oczyścić państwo z elementów występnych, a to w tym celu, aby szerokie masy uczciwych obywateli mogły żyć w spokoju i praworządnie. Jednakże czyny Trzydziestu całkiem nie szły w parze z ich słowami, co zaraz pokażę.

Dwaj członkowie Komisji, Teognis i Pejson, postawili w trakcie którejś z jej narad wniosek tej treści:

Niektórzy cudzoziemcy stale mieszkający w Atenach, metojkowie, są wrogo nastawieni do obecnego ustroju. Należy wyzyskać tę ich postawę. Ukarzemy część metojków z powodów politycznych, a przy sposobności skonfiskujemy ich majątki. Państwo jest w biedzie, a rząd potrzebuje gotówki.

Łatwo przekonali zebranych, dla których wydawanie wyroków śmierci było niczym, pieniądze zaś wszystkim. Komisja postanowiła, że uwięzi się dziesięć osób spośród metojków, ale dla pozoru w ich liczbie także dwóch ubogich. Tym sposobem, jak sądzili, będzie można głosić, że akcję prowadzi się nie dla zagarniania majątków, lecz tylko dla dobra państwa i ludu.

Podzieleni na grupy natychmiast wzięli się do pracy. Gdy weszli do mojego domu, właśnie podejmowałem gości; tych przepędzili, a mnie oddali w ręce Pejsona. Inni tymczasem poszli do naszego warsztatu, żeby tam spisać niewolników. Korzystając z okazji zapytałem Pejsona, czy nie mógłby mnie uratować – oczywiście nie za darmo. Zgodził się pod warunkiem, że suma będzie godna. Przyrzekłem, że dam talent srebra. To mu odpowiadało.

Oczywiście doskonale wiedziałem, że człowiek ten za nic ma bogów i ludzi. Uważałem wszakże, że w tej sytuacji koniecznie muszę uzyskać od niego jakąś gwarancję dotrzymania słowa. Złożył więc przysięgę:

– Niech zguba spadnie na mnie i na dzieci moje, jeśli nie ocalę Lizjasza, gdy wezmę talent srebra!

Zaraz potem wszedłem do pokoju sypialnego i otworzyłem skrzynię. Pejson wśliznął się za mną. Gdy tylko ujrzał, co znajduje się w skrzyni, krzyknął na dwóch spośród swych ludzi; rozkazał im zabrać całą jej zawartość. Jednakże było tam więcej, niż mu przyrzekłem: srebra trzy talenty, czterysta drachm kizykeńskich, cztery srebrne czary. Zacząłem więc prosić, by z tego bogactwa dał mi coś na drogę. A on na to z gniewem:

– Bądź zadowolony, jeśli życie uratujesz!

Gdy opuszczałem dom wraz z Pejsonem, natknęliśmy się w samej bramie na dwóch innych członków Komisji Trzydziestu, którzy właśnie wychodzili z warsztatu. Zapytali, gdzie idziemy. Pejson odrzekł, że do domu mego brata, Polemarcha, żeby sprawdzić, jak tam rzecz się przedstawia. Rozkazali, żeby poszedł sam tylko; ja natomiast miałem udać się wraz z nimi do domu Damniposa. Odchodząc Pejson jeszcze mi szepnął, żebym milczał i był dobrej myśli, bo on wnet tam się zjawi i na pewno mi pomoże.

W domu Damniposa zastaliśmy Teognisa, który pilnował reszty uwięzionych. Przekazali mu mnie jeszcze i odeszli. Zrozumiałem, że to chwila ostatecznego niebezpieczeństwa; muszę ryzykować, bo inaczej zginę niechybnie. Przywołałem Damniposa i tak mówię do niego:

– Jesteś moim krewnym, siedzę teraz w twoim domu. Nigdy nie zrobiłem ci nic złego, a mam zginąć tylko dlatego, że jestem bogaty. Ratuj mnie, jeśli tylko możesz!

Przyrzekł, że to uczyni. Uważał wszakże, że będzie lepiej, jeśli powie o tym Teognisowi, który – tak mi szepnął – dla pieniędzy zrobi wszystko. Poszedł więc do drugiego pokoju, żeby porozmawiać z Teognisem.

Dobrze znałem ten dom i wiedziałem, że ma dwie bramy. Trzeba było próbować właśnie tej drogi ratunku. Bo tak sobie myślałem: jeśli się przemknę, ocaleję; a jeśli mnie schwytają, to i tak puszcza wolno, gdyby Teognis dał się przekonać.

Uciekłem. A zdarzyło się szczęśliwie, że było troje drzwi, przez które przejść musiałem, i wszystkie były otwarte. Tamci tymczasem pilnowali tylko bramy od podwórza. Schronienia szukałem w domu pewnego znajomego, właściciela okrętu. Posłałem go do miasta, żeby się wywiadał, co z moim bratem Polemarchem. Wrócił wnet, lecz ze złymi nowinami: Polemarch został schwytany na ulicy i uwięziony. Też samej nocy popłynąłem do Megary. Tymczasem Komisja Trzydziestu obwieściła Polemarchowi zwykły swój wyrok: ma wypić cykutę. I to nawet nie podając oskarżonemu przyczyny, dla której ma umrzeć! Tym bardziej oczywiście nie było mowy o rozprawie sądowej i o możliwości jakiegokolwiek obrony.

Zwłoki Polemarcha wyniesiono z więzienia. Byliśmy właścicielami trzech domów, jednakże Komisja nie zezwoliła na wyprowadzenie ciała z żadnego z nich; trzeba było wynająć jakąś budę i tam wystawić mary. Skonfiskowano wiele naszej odzieży. Ale gdy rodzina zwróciła się z prośbą o wydanie szaty dla okrycia zwłok, nie otrzymała ni skrawka. Któryś z przyjaciół dał himation, inny podpórkę pod głowę. Każdy ofiarowywał, co mógł, żeby jakoś odbył się pogrzeb.

Komisja Trzydziestu zajęła siedemset naszych tarcz. Srebra, złota i spiżu, ozdób i sukni kobiecych było tyle, że chyba nikt z jej członków nawet nie marzył kiedykolwiek o takich bogactwach. Ale to nie wystarczało tyranom. W swej chciwości posunęli się do tego, że jeden z nich własnoręcznie wyjął z uszu żony Polemarcha złote kolczyki.

PLATON I RODZINA LIZJASZA

Takie więc stosunki panowały w Atenach, gdy Platon wchodził w życie jako dwudziesto-paraletni młodzieniec. Aż trudno uwierzyć! Zwłaszcza mnie, który tak dobrze znam Ateny obecne – ciche, spokojne miasteczko, pełne zabytków sztuki, jakby pogrążone w zadumie nad minioną wielkością; miasteczko filozofów, żyjące głównie dzięki studentom i rzeszom zwiedzających. Jeśli w dzisiejszych Atenach wybuchają jakieś spory, to najczęściej pomiędzy różnymi szkołami myślicieli. Stare to bowiem spostrzeżenie: prędzej zegary się pogodzą niż filozofowie. A iluż owych mędrców w Atenach! Wspaniale rozwija się Akademia, nieśmiertelne dzieło Platona; trwa Liceum, założone przez Arystotelesa; wciąż żyje Stoa, wywodząca się od Zenona; kwitną jeszcze ogrody Epikura; spotkać też można prostackich cyników, dalekich potomków Diogenesa, a także subtelnych i pokornych sceptyków. Owszem, niekiedy dochodzi do kłótni także wśród obywateli, i to w czasie wyborów do władz miejskich. Wciąż bowiem istnieją dawne urzędy o pięknie brzmiących nazwach i tytułach; wciąż też znajdują się ludzie, którym bardzo pochlebia ich piastowanie. Małe to jednak ambicje i niemal śmieszne, boć wszystkie te ateńskie godności są tylko pozorem i fikcją, skoro nie ma tu rzeczywistego życia politycznego. Przed wiekami było oczywiście inaczej. Wtedy naprawdę walczono o władzę, o majątki, o wolność.

Czytając relację Lizjasza rozmyślałem, pełen radości i zadowolenia, jak błogosławiona to epoka, w której żyć mi wypadło. Nie muszę zajmować się polityką. Ster rządów nad całym światem jest w ręku ludzi, których wyznaczyła opatrnościowa wola bogów. Wszędzie, jak długie i szerokie nasze Imperium, panuje spokój i praworządność. Wobec tego, zamiast zaprzętać sobie myśl błahymi sprawami państwa, można poświęcić wszystkie siły temu, co naprawdę ważne, wielkie i wieczne: zagadkom bytu i niebios.

Tak myślałem wówczas, naiwny. Nie wiedziałem, że właśnie szczerze i całkowite oddanie się badaniom naukowym ściągnie na mnie, w tej naszej szczęsnej epoce, straszliwą biedę; zagrozi mojej dobrej sławie, majątkowi, a może i życiu.

Jednakże to miało się dopiero zdarzyć. Na razie interesowały mnie wyłącznie Ateny przed laty pięciuset; nieświadom swej przyszłości żyłem tragedią rodziny Lizjasza. Jego brat Polemarch został schwytyany na ulicy i uśmiercony bez wyroku sądowego; cały majątek skonfiskowano; sam Lizjasz uratował się ucieczką w ostatniej chwili, ale musiał opuścić ojczyznę. Nieszczęsny los rodziny musiał wyrzeć na Platonie ogromne wrażenie choćby z tego względu, że doskonale znał wszystkich jej członków, i to jeszcze jako chłopiec. Co prawda Polemarch i Lizjasz byli już dorosłymi mężczyznami, gdy stykał się z nimi po raz pierwszy, a ich ojciec Kefalos pozostał mu w pamięci jako czcigodny starzec. Jednakże starsi bracia Platona przestawali dość blisko z tamtymi dwoma; obracali się w tych samych kołach, mieli wspólnych znajomych, nade wszystko zaś łączyło ich przywiązanie do Sokratesa.

Była wszakże pewna zasadnicza różnica pomiędzy rodziną Platona a Lizjaszową. Ta pierwsza zaliczała się do osiadłych na ziemi Aten od prawieków i uchodziła nawet za arystokratyczną; druga natomiast należała do warstwy metojków, czyli nawet nie posiadała przywilejów obywatelskich. Potwierdza to sam Lizjasz.

Kefalos przyjechał do Aten z namowy Peryklesa; on i jego synowie ponosili wiele ciężarów na rzecz państwa, jednakże nie mieli pełni praw politycznych. Mimo to byli gorąco przywiązani do nowej ojczyzny, w której, dzięki zakładom płatnerskim, doszli do znacznego majątku. Te bogactwa wywoływały wiele zawiści i później miały stać się przyczyną zguby domu, pozwalały jednak Polemarchowi i Lizjaszowi przestawać nawet z miejscową arystokracją na równej stopie.

O wiernej zaś służbie państwu Lizjasz mówi z dumą:

– Pokrywaliśmy wszystkie koszty szkolenia chórów. Wypełnialiśmy, co tylko nam nakazano. Płaciliśmy wiele nadzwyczajnych podatków. Postępowaliśmy zawsze, jak należało. Nie

mieliśmy żadnych wrogów. Wielu Ateńczyków wykupiliśmy z niewoli. Jako metojkowie byliśmy użyteczniejsi dla państwa niż Komisja Trzydziestu jako rząd!

Platon nie lubił Lizjasza, natomiast pamięci Polemarcha i Kefalosa złożył hołd piękny i wymowny. Oto za scenerię wielkiego dzieła, które zapewne zaczął pisać w jakieś trzydzieści lat po śmierci Polemarcha, obrał właśnie jego dom w Pireusie. Myślę oczywiście o *Państwie*. Uznaję bowiem mądrość tego traktatu, choć memu sercu bliższe są inne utwory boskiego filozofa. W każdym razie początek *Państwa* jest porywający przez swoją prostotę i bezpośredniość. Chyba właśnie w ten sposób, jak tam jest to przedstawione, dochodziło wówczas do spotkań Sokratesa i jego przyjaciół, do rozmów i dyskusji: przypadkowo i zwyczajnie.

Tym, co nie wiedzą lub zapomnieli, muszę w tym miejscu przypomnieć, że rozmowa o państwie toczyć się miała jakieś pięć lat przed ukończeniem wojny peloponeskiej. Platon był zbyt młody, by w niej uczestniczyć; zapewne słyszał o treści wielkiej dysputy od swych starszych braci, Glaukona i Adejmanta. Tak czy inaczej wyznaczył im poczesną rolę w swym późniejszym dziele, które ujęte jest w formę opowieści Sokratesa. Oto początek:

SPOTKANIE W PIREUSIE

Poszedłem wczoraj do Pireusu razem z Glaukonem, synem Arystona. Chciałem pomodlić się do bogini, a przy sposobności przypatrzeć się uroczystościom ku jej czci; byłem ciekaw, jak wypadną, wówczas bowiem obchodzono je po raz pierwszy. Otóż procesja mieszkańców wydała mi się piękna, ale równie świetnie przedstawiała się ta, którą przygotowali Trakowie. A kiedyśmy już się pomodlili i napatrzyli, ruszyliśmy z powrotem do miasta. Jednakże Polemarch, syn Kefalosa, dojrzał nas z daleka; pchnął więc chłopca, żeby pobiegł za nami i zatrzymał, póki on sam nie nadejdzie. Chłopiec schwycił mnie z tyłu za himation i powiada:

– Polemarch prosi, żebyście poczekali!

Odwrociłem się i pytam, gdzie on. A chłopiec:

– Idzie za mną. Poczekajcie!

– Dobrze, poczekamy – zgodził się Glaukon.

Zaraz też nadszedł Polemarch, a z nim Adejmant, brat Glaukona, i Nikerat, syn Nikiasa, i jeszcze inni, wracający z procesji. Polemarch pierwszy zapytał:

– Coś mi się wydaje, Sokratesie, że wybieracie się z powrotem do miasta?

– I nieźle ci się wydaje – odparłem.

– A widzisz, ilu nas tutaj?

– Oczywiście.

– Albo więc siłą nas pokonacie, albo tu pozostaniecie!

– Innego wyjścia nie ma? Przecież możemy was przekonać perswazją, że musimy odejść!

– A potraficie przekonać ludzi, którzy w ogóle nie chcą słuchać?

– Na pewno nie! – wtrącił Glaukon.

– Więc miejcie na uwadze, że my słuchać nie będziemy!

Adejmant zaś dodał:

– Chyba nie wiecie, że wieczorem odbędzie się wyścig konny z pochodniami ku czci bogini?

Zakrzyknąłem:

– Wyścig konny! Coś zupełnie nowego! To znaczy, że będą sobie podawać pochodnie z ręki do ręki, jednocześnie pędząc na koniach? Chyba o tym mówicie?

– Właśnie o tym – odparł Polemarch. – A prócz tego odprawią nocne nabożeństwo, bardzo ciekawe. Wyjdziemy po wieczery, żeby je obejrzeć. Na pewno spotkamy tam sporo młodych ludzi i porozmawiamy. Zostańcie więc z nami, bardzo proszę!

BOGINI BENDIS

W tym miejscu wypada mi przerwać opowiadanie Sokratesa, aby wyjaśnić pewne kwestie. Chciałoby się przede wszystkim wiedzieć, co to za nie nazwana bogini, ku której czci odbywały się wtedy w Pireusie nabożeństwa i uroczystości. Platon nie podaje jej imienia, lecz odpowiedź, jak sądzę, nie jest trudna. Boginią była niewątpliwie Bendis, wielka pani Traków. W Pireusie, portowym mieście Aten, już od dawna siedziała liczna kolonia trackich kupców i żeglarzy; ojczysta bogini towarzyszyła im także na obczyźnie. Tak samo jest zresztą do dziś. Wyznawcy widzą w niej panią gór, lasów i zwierząt, toteż Hellenowie często utożsamiają ją po prostu z Artemidą. Chyba jednak jest także dawczynią urodzaju, skoro od trackich kobiet otrzymuje w ofierze pszeniczne kłosa. Będąc w Atenach uczestniczyłem w nabożeństwach ku czci Bendis, bo zawsze staram się poznać i zgłębić wszystkie obce kultury religijne; w każdym przecież są jakieś tajemnice i prawdy, które mogą okazać się bardzo pomocne dla moich celów. Obrzędy trackie, muszę przyznać, wywierają wielkie wrażenie; towarzyszą im dźwięki mocnej, rytmicznej muzyki piszczałek, bębnów i tympanonów, tańce zaś mają charakter niemal orgiastyczny. To wciąż przyciąga rzesze ciekawych, a przed pięciu wiekami na pewno było podobnie.

Ateńczycy oficjalnie przyjęli Bendis do panteonu swych bóstw w ostatnim okresie wojny peloponeskiej; napis, który upamiętnia ten fakt, wyczytałem na jednej z tablic na Akropolu. Postanowiono wówczas, że obok procesji i obchodów, już od dawna urządzanych przez tracką kolonię w Pireusie, odbędzie się także procesja zamieszkałych tam Ateńczyków. Święto – obecnie i przed wiekami – przypada na dzień 7 czerwca i trwa jeszcze przez całą noc. A więc właśnie w tym dniu Sokrates udał się do Pireusu, aby złożyć hołd bogini – był bowiem człowiekiem wielkiej pobożności – i obejrzeć uroczystości, po raz pierwszy obchodzone podwójnie. Nie muszę dodawać, że również ja w dniu 7 czerwca przemierzyłem drogę z Aten do Pireusu w tym samym celu. Było nas kilkunastu z Akademii; tuż przy mnie kroczył Poncjjan. Traktowaliśmy tę wędrówkę prawie dwugodzinną wzdłuż dość ruchliwej drogi handlowej niemal jak pielgrzymkę; pomni w każdej chwili, że po tych samych kamieniach w tym samym dniu szedł przed pięciu wiekami Sokrates, aby, jak my, uczcić boginię Bendis.

Łatwo sobie wyobrazić, że przed pięciuset laty wieść o nowym święcie ściągnęła do Pireusu nie tylko tłumy pobożnych, lecz także chmary chłopców; tych oczywiście najbardziej ciekawił wyścig konny, połączony z podawaniem pochodni z rąk do rąk. Cóż za widowisko! Ateny ówczesne nie znały igrzysk cyrkowych, które w naszej epoce urząda się przy każdej okazji nawet w małych miasteczkach. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju popisy stały się niezwykłą atrakcją.

Przypuszczam, że naprawdę wszystko odbyło się tak:

Wśród chłopców, którzy wybrali się do Pireusu, nie brakło też Platona; wiadomo, że także później interesował się igrzyskami i zawodami, a w latach młodości był niezłym zapasnikiem. Mieli nad nim czuwać starsi bracia. Jeden z nich, Glaukon, towarzyszył Sokratesowi, drugi zaś, Adejmant, przestawał z Polemarchem. Pod wieczór obie grupy spotkały się na drodze wiodącej ku Atenom. Chłopiec stał się wówczas świadkiem żartobliwego sporu: czy ustąpić prośbom Polemarcha i odwiedzić jego dom w Pireusie, czy też wracać do Aten. Tę rozmowę dobrze zapamiętał i dlatego tak żywo odtworzył po latach.

Ostatecznie wszyscy poszli do domu Polemarcha. Zastali tam sporo gości; był też ojciec gospodarza, głowa rodziny, stary Kefalos. Małego Platona chyba umieszczono w którymś z pokojów i przykazano mu spokojnie czekać, póki wszyscy nie wyjdą razem, aby podziwiać konny wyścig Traków. Tymczasem starsi zabawiali się rozmową; po latach Platon przedstawił ją zgodnie z tym, co mu dyktowało natchnienie.

Dyskusję, jaką miał wtedy toczyć Sokrates z Kefalosem, chciałbym przypomnieć dlatego, że dotyczy spraw zawsze ważnych, choć prowadzona jest w sposób całkiem naturalny i żartobliwy; a także z tej racji, że pozwoli mi omówić moje własne perypetie.

Znowu więc oddaję głos Sokratesowi:

POŻYTKI STAROŚCI

Kefalos wydał mi się bardzo stary; bo też już dawno go nie widziałem. Spoczywał, uwięziony, na krześle z podpórką pod głową; dopiero co skończył składać ofiarę na podwórze. Usiedliśmy obok niego na krzesłach ustawionych półkolem.

Starzec zaraz mnie pozdrowił i rzekł tonem lekkiego wyrzutu:

– Mój Sokratesie, niezbyt często zaglądasz do nas, do Pireusu! A przecież bardzo by się godziło. Bo gdyby mnie łatwiej było wędrować do miasta, na pewno nie musiałbyś nas odwiedzać: to my bywalibyśmy u ciebie. Trzeba ci wiedzieć, że o ile wszystkie moje przyjemności cielesne już zamierają, o tyle rozmowy sprawiają mi wciąż żywą rozkosz i bardzo ich pragnę. Proszę więc gorąco: nie zaniedbuj znajomości z tymi młodymi ludźmi, ale zachodź też do mnie, bośmy przyjaciele.

Odpowiedziałem:

– Tak się składa, że ogromnie lubię rozmawiać z ludźmi posuniętymi w latach. Bo myślę sobie, że warto zasięgnąć u nich języka, skoro już przebyli pewną drogę, która może i mnie czeka, jaka ona: stroma i ciężka czy też łatwa i dogodna. Chętnie również dowiedziałbym się od ciebie – boś już w tym wieku, który poeci nazywają progiem starości – jaki wydaje ci się ten kres życia: trudny czy też jakoś inaczej byś go określił.

Kefalos tak mi odrzekł:

– Dobrze, powiem ci, jak to widzę. Otóż schodzimy się dość często w gronie mniej więcej rówieśników. Większość żali się, tęskniąc za rozkoszami młodości. Przypominają sobie uciechy miłości, wina, zabaw i w ogóle wszelkie sprawy tego rodzaju. Smucą się, jakby pozbawiono ich czegoś wspaniałego; jakby wtedy żyli cudownie, obecnie zaś ledwie vegetowali. Niektórzy skarżą się na traktowanie przez domowników. Rozpaczają nad swoim wiekiem, ilu to nieszczęść jest przyczyną. Mnie zaś wydaje się, że oskarżają nie to, co oskarżać by należało. Gdyby bowiem wina była po stronie starości, to i ja cierpiałbym tak samo z jej powodu, i w ogóle wszyscy, cośmy tych lat dożyli. A tymczasem znałem już ludzi nie tak odczuwających wiek podeszły. Byłem kiedyś w towarzystwie poety Sofoklesa, gdy ktoś go zapytał, czy potrafi jeszcze kochać kobietę. A on na to:

– Zamilcz, człowiecze! Z największą przyjemnością wyzbyłem się tego, jakbym uciekł spod władzy szaleńca i okrutnika! – Ja zaś i wtedy uważałem, że dobrze powiedział, i obecnie nie inaczej myślę. Bo w starości rzeczywiście uzyskuje się kompletny spokój i swobodę od wszelkich pokus i żądź. A kiedy one się uśmierzą, przychodzi to, o czym mówił Sofokles: wyzwolenie od mnóstwa szalejących despotów. Jedno jest źródło wszystkich kłopotów i zalewania się starców na domowników: nie wiek ludzi, lecz ich usposobienie. Kto bowiem ma charakter porządny i łagodny, ten także starość odczuwa jako coś znośnego. Dla innych natomiast jest ona równie ciężka, jak i młodość.

Ucieszyły mnie słowa Kefalosa. Chciałem od niego więcej usłyszeć, więc zagadnąłem:

– Ale wydaje mi się, że wielu ludzi nie zgodziłoby się z twoimi poglądami. Ci powiedzieliby, że starość znosisz łatwo nie z powodu usposobienia, lecz po prostu dlatego, że posiadasz duży majątek. Jest zresztą takie przysłowie: bogacz wiele ma pociech.

– Prawdę mówisz! Rzeczywiście, wielu nie zgadza się ze mną. I mają trochę racji, ale nie tyle, ile im się wydaje. Bo dobrze kiedyś odpowiedział Temistokles, gdy mieszkaniec wysepki Seryfos zarzucił mu:

– Sławę zawdzięczasz nie sobie samemu, lecz potędze swej ojczyzny!

Na to Temistokles:

– Istotnie; lecz ani ja, gdybym urodził się na Seryfos, nie stałbym się znany, ani też ty, gdybyś był Ateńczykiem. Tak samo właśnie człowiek o dobrym usposobieniu niełatwo znosi starość, jeśli dokucza mu ubóstwo. Z drugiej zaś strony ktoś trudny w pozyciui nie wytrzyma sam ze sobą, nawet jeśli ma majątek.

Ośmieliłem się zapytać wprost:

– A jak to właściwie jest z tobą, Kefalosie? Ten majątek, który obecnie posiadasz, jest w większej części odziedziczony czy też sam do niego doszedłeś?

Kefalos odrzekł mi szczerze:

– A do czegoż ja doszedłem? Jako człowiek interesu jestem czymś pośrednim pomiędzy moim dziadkiem a ojcem. Dziad bowiem, który nosił to samo co ja imię, otrzymał w spadku prawie taki majątek, jaki ja mam teraz, ale powiększył go wielokrotnie. Natomiast mój ojciec, Lizaniasz, sprawił, że stał się on znacznie mniejszy od obecnego. Ja znowu cieszę się, że pozostawię go moim synom nie mniejszy, lecz nieco większy od odziedziczony.

Wyjawilem mu zaraz przyczynę mego pytania:

– Zapytałem cię o to, bo wydaje mi się, że nie jesteś zbyt przywiązany do pieniędzy; jest to cechą ludzi, którzy nie musieli sami dochodzić do majątku. Natomiast ci, co zdobyli bogactwa własnym wysiłkiem, kochają je dwakroć silniej: jak poeci swe utwory i jak ojcowie dzieci, a prócz tego jak wszyscy – dla pożytku. Niezbyt więc lubię ich towarzystwo, bo interesują ich tylko sprawy pieniądza.

PONCJAN ODSŁANIA SWE PLANY

Od czasu pobytu w Oei owa rozmowa Sokratesa z Kefalosem, jak podaje ją Platon w pierwszej księdze *Państwa*, nabrała dla mnie szczególnego znaczenia; utkwiła w mej pamięci chyba na zawsze. Wydarzenia bowiem ułożyły się raczej niezwykle: przeczytałem tę księgę w domu Pudentilli, zbierając materiały do życiorysu Platona, a niedługo potem musiałem posłużyć się pewnymi jej myślami we własnej sprawie i poniekąd nawet obronie. Było tak:

Zacząłem powracać do sił. Poczulem się nawet tak zdrow i sprawny, że ustąpiłem prośbom przyjaciół, przystając na wygłoszenie publicznej mowy popisowej. Sława mej uczości i talentów krasomówczych była widać już znaczna, bo ogromny tłum szczelnie wypełnił bazylikę przy rynku, gdzie urządzono zebranie. A gdy skończyłem mówić, słuchacze zgodnym chórem skandowali po wielokroć:

– Znakomicie! Znakomicie!

Najwybitniejsze osobistości miasta domagały się długo i natarczywie, bym pozostał wśród nich na zawsze, przyjmując obywatelstwo Oei. A kiedy wreszcie tłum się rozszedł, Poncjani przystąpił do mnie z gratulacjami. Wracaliśmy do domu we dwóch tylko, piechotą, bez służby. Korzystając z okazji, a także z tego (jak później osądziłem), że mrok gęstniał, ja zaś byłem rozradowany triumfem, mój przyjaciel postanowił przypuścić szturm. Zaczął od ogólnych wywodów, że ów zgodny okrzyk społeczności miasta winienem uznać za dobry omen i za wróżbę przez bogów zesłaną; tutaj należy dom ustanowić, założyć rodzinę, korzystając z życzliwości i podziwu współobywateli. Po tym przydługim wstępie wreszcie wykrztusił, o co mu naprawdę chodzi:

– Jeślibyś nic przeciw temu nie miał, pragnąłbym ci pomóc w miarę moich skromnych możliwości. Czemu nie miałbyś po prostu poślubić mojej matki? A musisz wiedzieć, że wielu tutaj gorąco by pragnęło wprowadzić ją do swego domu. Ale ja tylko tobie ufam we wszystkim. Tylko ciebie znam jak brata, od czasu naszych studiów w Akademii. Przyznaję, swatam cię nie z dziewczyną nadobną, lecz z matką dzieciom, kobietą średniej urody. Może więc nie

zechcesz przyjąć tego ciężaru. Może wolałbyś poczekać jeszcze i rozejrzeć się za lepszą partią. Pamiętaj jednak, że odrzucając moją prośbę postąpisz nie jak przyjaciel i nie jak filozof!

Łatwo pojąć, że usłyszawszy te słowa stanąłem jak wryty. Dotychczas nic podobnego nawet na myśl mi nie przyszło. Ale prócz samej treści owej oferty matrymonialnej zdumiała mnie także jej forma, jakieś przecudaczne połączenie szczerości z zimną kalkulacją i z apelem do szczytnych obowiązków filozofa. W innym też świetle jawiło mi się teraz uprzejme zaproszenie, bym zamieszkał w domu Pudentilli i rozkoszował się widokiem na morze!

Ja więc milczałem osłupiały, a on tymczasem jakby odetchnął po wyzbyciu się tajemnicy. Ujął mnie pod rękę i najspokojniej zaczął przedstawiać sprawy swej matki, nie szczędząc pewnych szczegółów raczej intymnych.

HISTORIA PUDENTILLI

Oto co opowiedział mi Poncjusz:

Ojciec mój, Sycynus, zmarł przed czterdziestu laty. Osierocił mnie i Pudensa. Ten miał wtedy najwyżej roczek, ale i mnie jeszcze sporo brakowało do pełnoletności. Toteż opiekę prawną nad nami sprawował dziadek; ojciec Sycynusa. Matka, kobieta przezacna, poświęciła się wyłącznie prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci; jednakże wcale się nie kryła z zamiarem powtórnego zamążpójścia. Była przecież kobietą młodą – w chwili śmierci Sycynusa liczyła lat dwadzieścia kilka – dość przystojną, bardzo zamożną. Bo musisz wiedzieć, że jej majątek jest większy od tego, który pozostawił nam ojciec.

Nic dziwnego, że wnet zjawiły się całe zastępy konkurentów. Wszystko to byli ludzie z najlepszych domów nie tylko miasta, lecz nawet całej prowincji. Jednakże dziadek czuwał. Chciał, żeby jej majątek pozostał w naszej rodzinie, i trudno mieć mu to za złe. Zalotników po prostu wyganiał z domu. A skoro to na nic się nie zdało, matkę bowiem nużyło przedłużające się wdowieństwo, zapowiedział, że sam wybierze jej męża. Miał jeszcze dwóch synów, Klarusa i Emilianą. Zażądał, by wyszła za pierwszego z nich. Odmówiła stanowczo, ponieważ był to człowiek już nie pierwszej młodości i – prawdę rzecz muszę, choć stryj to przecież – prostak bez żadnej ogłady. Wtedy znowu dziadek zagroził, że jeśli nie poślubi Klarusa, on nie pozostawi nam w spadku ani grosza. Dobrze wiedział, że matka kocha nas nade wszystko i że raczej zrezygnuje z własnego szczęścia, a nie dopuści, by jej synowie ponieśli jakąkolwiek stratę.

Trafnie odgadł. Pudentilla ustąpiła, poprowadziła wszakże całą rzecz bardzo roztropnie. Wiedziała, że dziadek już nie pociągnie długo, bo stary i schorowany. Toteż zgodziła się na zawarcie umowy małżeńskiej z Klarusem, kontrakt spisano, ale ceremonię ślubną wciąż odwlekała, pod różnymi pozorami. Nie potrafię ci powiedzieć, jakie podawała przyczyny, jako że właśnie wtedy przebywałem na studiach w Atenach, ale fakt jest faktem: ślub się nie odbył, dziadek zmarł, a w jego testamencie jako główni spadkobiercy figurowali wnukowie; z tym że ja, już pełnoletni, objąłem opiekę nad Pudensem. Właśnie wtedy przerwałem studia w ateńskiej Akademii i powróciłem do Oei, żeby objąć dziedzictwo. Po załatwieniu formalności prawnych od razu stąd wyjechałem, tym razem do Rzymu.

Nasz dom znowu zaczęli odwiedzać zalotnicy, choć matka nieco posunęła się w latach. Tym razem postanowiła wyjść za mąż, i miała po temu swoje racje. Coraz częściej zapadała na jakieś przykre dolegliwości kobiece, lekarze zaś i położne zgodnie twierdzili i twierdzą, że przyczyną schorzenia jest brak małżeńskiego pożycia. Radzą też, by koniecznie ratować zdrowie, a może i życie Pudentilli, póki jej wiek na to pozwala. Mój drugi stryj, Emilian, napisał do mnie w tej sprawie do Rzymu, wprost i bez obsłonek, dosłownie tak: „Wiem, że ona chce i powinna wyjść za mąż, ale nie wiem, kogo wybierze.” Matka także powiadomiła mnie o wszystkim, nie zataiła nawet, co spowodowało schorzenie. Nie mogę odmówić słuszności

jej rozumowaniu. Twierdzi bowiem, że zdobyła dla nas, swych synów, spadek po dziadku za cenę własnego szczęścia i zdrowia; że dobrze gospodarując powiększyła nasz majątek; że ja już jestem dorosły i mógłbym żonę pojąć, a Pudens niedługo przywdzieje męską tokę; najwyższy więc czas dla niej, żeby pożegnać samotność i zaradzić chronicznej chorobie. Nieustannie też zapewnia, że w małżeństwie będzie nas kochać tak samo, jak obecnie; i że nie mamy się co obawiać, by skrzywdziła swe dzieci w testamencie.

Po otrzymaniu listów stryja i matki natychmiast wyjechałem z Rzymu do Oei. Lękałem się, by nie wzięła sobie za męża jakiegoś chciwca, bo taki z pewnością zagarnąłby cały nasz majątek. Tak dzieje się często. Cała nadzieja na lepszą przyszłość, moja i brata, oparta jest właśnie na jej bogactwach. Dziadek w gruncie rzeczy niewiele zostawił. Natomiast majątek matki ocenia się na jakieś cztery miliony sesterców; w tym jest jakaś część należna nam po ojcu, ale nie mamy na to żadnych dowodów. Matka, jak to zwykle bywa w rodzinie, gospodarowała wszystkim łącznie. Po jej zamążpójściu mogłoby i to przepaść, proces zaś byłby w każdym razie długi i bardzo kosztowny. Sam rozumiesz, że obecnie nie mogę wprost żądać od niej zwrotu ojcowizny, bo uważałaby, że jej nie ufam i jeszcze pokrzywdziłaby mnie w testamencie. Tak więc żyję w strachu i wyjścia nie widzę. A raczej nie widziałem. Na szczęście bowiem ty przyjechałeś do Oei, zesłany przez bogów. Jesteś dość zamożny, więc o pieniądze naszej matki nie będziesz się troszczył. Zresztą znam doskonale twoją szlachetność i oddanie tylko sprawom nauki. W tobie cała nasza nadzieja!

Nazbyt przedłużyłbym swoją opowieść, gdybym powtórzył liczne argumenty, którymi starałem się przekonać Poncjana, że nie mogę zadośćuczynić jego prośbie. Wytaczałem je i wówczas, gdyśmy wracali do domu, i dni następnych; bo przyjaciel nie zaprzestawał ataków. Powoływałem się oczywiście na zamierzoną podróż do Aleksandrii i na studia filozoficzne, które pochłaniają wszystkie moje siły i czas. Mając w pamięci niedawno przeczytaną rozmowę Kefalosa z Sokratesem przytoczyłem też wspomnianą w niej wypowiedź Sofoklesa: że z największą rozkoszą wyżył się spraw miłości, jakby uciekł spod władzy pana-szaleńca. Wyznałem wprost, że ja, choć jestem mężczyzną dopiero trzydziestoletnim, również pragnę się wyzwolić i całkowicie zobojętnieć na wszelkie pokusy Afrodyty.

A Poncjana na to:

– Słusznie, właśnie o to chodzi! Toteż nie podsuwam ci laleczki, lecz kobietę nie pierwszej już młodości. Nie będzie zbyt odciążać cię od twych studiów i medytacji. Ożenić się kiedyś musisz, bo tak wypada, a jako filozof lepszej okazji nie znajdziesz.

Tak więc nie mogliśmy się przekonać przez wiele dni.

MAJĄTEK PLATONA

Naturalną kolejną rzeczą ciągle rozmowy o sprawach finansowych rodziny Poncjana sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, jakie też były stosunki majątkowe owych wielkich osób sprzed pięciu wieków, z którymi w myślach przestawałem co dzień, czytając i pisząc. Zresztą rozważania tego rodzaju przynosiły mi pewną pociechę; pokazywały bowiem, że już wtedy, w starożytności tak odległej, pieniądź był bardzo ważny, a koligacje rodzinne wiele znaczyły, nawet wśród filozofów.

Kefalos stwierdził wobec Sokratesa, że nie zdobył zbyt dużego majątku. Miało się jednak okazać, że i tak posiadał za wiele. Gdyby bowiem nie bogactwa, na rodzinę nie spadłaby zgraba, spowodowana chciwością Trzydziestu Tyranów; nie zginąłby Polemarch, nie musiałby uciekać Lizjasz. A więc Kefalos pozostawił swym synom spadek milionowy, lecz złowrogi; szczęściem dla siebie, starzec nie dożył owych dni tak tragicznych.

Co do Sokratesa, rzecz jest powszechnie znana. Nie posiadał prawie niczego. A w wieku dojrzałym zarzucił nawet ten zawód, niezłe źródło utrzymania, który odziedziczył po ojcu:

kamieniarstwo. Żył, jak sądzę, od przypadku do przypadku, głównie z łaski możliwych przyjaciół. Troskę o dom i dzieci pozostawił całkowicie żonie, Ksantypie. Sam większość czasu spędzał w gimnazjonach i na agorze; często też zaglądał do znajomych, jak właśnie owego wieczoru do Kefalosa i Polemarcha.

Adejmant i Glaukon byli, jak już mówiłem, starszymi braćmi Platona; ojciec ich zwał się Ariston, matka zaś Periktione. Rodzina ta należała na pewno do zamożnych, dziś wszakże trudno określić, jaki miała majątek. W gruncie rzeczy wszystko, co można o tym powiedzieć, sprowadza się do testamentu Platona. Brzmi on tak:

„Platon pozostawił, co następuje, i tak tym rozporządził:

Posiadłość w Ifistiadaj; jej granicę od północy stanowi droga ze świątyni w Kefizji, od południa przybytek Heraklesa w Ifistiadaj, od wschodu sąsiadem jest Archestratos z gminy Frearroj, od zachodu zaś Filip z gminy Chollidaj. Tej posiadłości nie wolno nikomu ani sprzedawać, ani oddawać, lecz ma pozostać własnością młodego Adejmanty, jak długo to możliwe.

Posiadłość w Ejresidaj, którą kupiłem od Kallimacha; od północy sąsiadem jest Eurymedont z gminy Myrrinus, od południa Demostenes z gminy Ksypete, od wschodu także Eurymedont z gminy Myrrinus, od zachodu granicę stanowi rzeka Kefizos.

Trzy miny srebra; czara srebrna wartości stu sześćdziesięciu pięciu drachm; puchar wartości czterdziestu pięciu drachm; pierścień złoty i kolczyk złoty, oba razem wartości czterech drachm i trzech oboli.

Euklejdes, kamieniarz, winien mi trzy miny.

Artemidzie daję wolność. Tychona, Biktasa, Apolloniadesa, Dionizjosa pozostawiam jako niewolników. Ruchomości zostały spisane; odpis posiada Demetrios.

Nikomu nic nie jestem winien. Wykonawcami będą: Sostenes, Speuzypos, Demetrios, Hegias, Eurymedont, Kallimach, Trazypos.”

Przytoczyłem ten testament również i po to, by udowodnić, że umysł niemal boski, patrzący wprost ku ideom krystalicznie czystym i wiecznym, może i powinien dbać skrupulatnie o swoje sprawy ziemskie oraz sporządzać inwentarze wszystkiego, co pozostawia w spadku, zgodnie z formalnymi wymogami prawa.

Pierwszy punkt testamentu wskazuje, że posiadłość rodowa Platona, odziedziczona po ojcu i jego przodkach, znajdowała się w Ifistiadaj, a więc w żyznej dolinie rzeki Kefizos, w sercu Attyki. Przekazując ją bowiem wnukowi swego brata, młodziutkiemu Adejmantowi, Platon zastrzega, iż ziemi tej nie wolno się wyzbywać w żaden sposób; a właśnie było zasadą ateńską, że posiadłość rodowa winna zawsze pozostawać w tej samej rodzinie, przechodząc z pokolenia na pokolenie.

Zresztą sam Platon gospodarzył dobrze i zapobiegliwie, skoro stać go było na dokupienie drugiego mająteczku, również nad Kefizosem, a także gruntu opodal Aten, w gaju Akademosa, gdzie założył swoją szkołę; o Akademii w testamencie nie wspomina, bo formalnie doń nie należała. A przy tym długów Platon nie miał! Mówi o tym pięknie i dumnie: „Nikomu nic nie jestem winien.”

Skoro więc mój mistrz duchowy postępował w pewnych kwestiach tak roztropnie, przyszła mi taka myśl do głowy:

Odziedziczyłem coś niecoś po ojcu w Madaurze, czemuż jednak nie miałbym uzyskać jakiegoś mająteczku na przykład w Oei? Zwłaszcza że nie muszę o to usilnie zabiegać! Przeciwnie, pieniądze sam pcha się do ręki. Nie chodzi oczywiście o cały majątek Pudentilli, o te miliony. Wystarczyłby na przykład jej posag...

ARISTON I PERIKTIONE

Znam dobrze Attykę, ten niewielki półwysep, niezbyt urodzajny, prawie w połowie pokryty skalistymi wzgórzami. Prawdziwie bogata jest tylko dolina Kefizosu i równina koło Eleusis. Tylko tam spotkać można znaczniejsze obszary ziemi uprawnej. Lecz nawet największe gospodarstwa Attyki są śmiesznie małe w porównaniu z ogromnymi latyfundiami w naszej prowincji, w Afryce. I nawet przed pięciu wiekami, w czasach Platona, majątek ziemski, choćby duży, nie mógł stanowić podstawy prawdziwego bogactwa; nie dawał bowiem takich dochodów, jakie przynosiły śmiałe przedsięwzięcia kupieckie lub warsztaty rzemieślnicze – na przykład płatnerskie Kefalosa i jego synów. Toteż dumą rodu Platona były nie pieniądze, lecz starożytne, czysto attyckie pochodzenie.

Ariston podobno zaliczał do swych protoplastów nawet królów, którzy przed wiekami władali Atenami; przez nich wywodził swój ród od Posejdona, boga morza. Wydaje mi się wszakże, że przodkowie Aristona nie odznaczyli się w historii niczym prawdziwie wielkim; co najwyżej mogli piastować te lub inne wyższe urzędy. Zastanawia mnie także, iż w dziełach Platona nigdzie nie znajduję wzmianki o krewnych lub przodkach ojca; natomiast o ludziach z rodziny matki mowa jest często, są oni nawet bohaterami niektórych dialogów. Widocznie więc ta gałąź rodziny była Platonowi bliższa lub lepiej znana. Poniekąd można by to wyjaśnić tym, że Ariston zmarł, gdy Platon był jeszcze chłopcem.

Matka Adejmanta, Glaukona i Platona oraz ich siostry zwała się Periktione. Pochodziła ze świętego rodu, który dał Atenom kilku archontów, czyli najwyższych urzędników państwa. Ale największą chlubą było pokrewieństwo z Solonem, sławnym prawodawcą sprzed prawie dwóch wieków, jednym z twórców demokracji. O Solonie Platon wspomina wielokrotnie, co dowodzi, że tradycja związków rodzinnych z owym wybitnym politykiem i poetą zarazem była w domu Periktiony bardzo żywa.

Po śmierci Aristona Periktione wyszła powtórnie za mąż, za Pyrilampesa, człowieka bardzo przystojnego i zamożnego; swego czasu należał on do otoczenia wielkiego Peryklesa.

W tym miejscu muszę wspomnieć, że w Akademii mistrzowie podawali nam także inny, prawdziwie boski rodowód jej założyciela:

Pewnego razu Ariston chciał pojąć swoją żonę siłą, został jednak odepchnięty. Wkrótce potem ujrzał we śnie Apollona; odtąd nie zbliżył się do Periktione, póki nie urodziła syna; był nim Platon.

Inni znowu twierdzili, że Apollon przybrał postać Aristona i w ten sposób zwiódł jego żonę. A jedni i drudzy wskazywali, że Platon urodził się w miesiącu thargelion, poświęconym Apollonowi, i to w dniu, w którym obchodzi się pamięć przyjścia na świat Apollona i Artemidy na wyspie Delos.

Taka jest legenda. A gdy sięgam do pism Platona, aby stwierdzić, co też on sam mówi o swym ojcu i matce, nie znajduję właściwie niczego. Człowiek tak chętnie portretujący swych przyjaciół, nauczycieli, krewnych, zdaje się całkowicie milczeć o tych, którzy dali mu życie.

Może jednak się mylę. Przychodzi mi na myśl pewien fragment ósmej księgi *Państwa*. To prawda, że nie występują w nim imiona Aristona i Periktione. Prawda też, że odmalowana tam sytuacja z pewnością często się powtarzała w wielu domach, jak i dziś się powtarza. A jednak, gdy przypominam sobie, że Ariston niczym się nie odznaczył w życiu publicznym, natomiast bracia i kuzyni Periktione przewodzili Atenom, z czego ona była na pewno tak samo dumna, jak i z wielkich imion przodków; gdy odczytuję słowa Platona, barwne i pełne humoru – nie sposób mi oprzeć się wrażeniu, że w tym fragmencie uwiecznił on portrety swych rodziców oraz zasadniczą różnicę ich postaw.

A więc Sokrates, dyskutując z Adejmantem, przedstawia taką sytuację:

SYN I RODZICE

Uczciwy człowiek żyje w państwie o złym ustroju. Postępuje więc jak należy: unika godności i nie piastuje urzędów, tak samo jak nie wszczyna procesów sądowych. Woli mieć mniej i pozostawać w cieniu, byle tylko nie ściągać na siebie kłopotów. Aliści ów człowiek ma młodego syna, który słyszy, że matka wciąż czyni ojcu wyrzuty:

– Nie należysz do osób wpływowych, a przez to i ja nic nie znaczę wśród kobiet!

Owa ambitna żona widzi też, że mąż niezbyt się troszczy o sprawy majątkowe oraz że nie atakuje innych i nie wdaje się ani w spory prywatne przed trybunałami, ani też w rozgrywki polityczne, jako że wszystko to traktuje z całkowitą obojętnością. Co najgorsze, kobieta spozstrzega, że jej mąż jest stale pogrążony w swoich myślach, a nią samą wprawdzie nie gardzi, ale też nie zdobywa się na oznaki szczególnego szacunku. To doprowadza ją do wściekłości. Wyrzeka przed synem:

– Twój ojciec to nie mężczyzna, to człowiek zupełnie rozlazły!

Oczywiście dodaje do tych słów wszystko, co kobiety zwykły wyśpiwywać przy takich okazjach. Ale również służba, niby to powodowana życzliwością, po kryjomu szepce paniczowi coś podobnego. Kiedy więc domownicy dowiadują się, że pan nie ściga sądownie ani swych dłużników, ani też tych nawet, którzy go zaczepili, doradzają młodemu:

– Jak dorośniesz, musisz dobrać się tamtym do skóry! Musisz pokazać, że jesteś prawdziwym mężczyzną, nie kimś takim jak twój ojciec!

A co widzi ów młody człowiek poza domem, w życiu publicznym? W gruncie rzeczy spotyka się z sytuacją podobną. Ci, którzy zajmują się wyłącznie tym, co do nich należy, nazywani są głupcami i nic nie znaczą; natomiast wiele mogą i zbierają pochwały wtrącający się do spraw cudzych. Młodzieniec widzi to wszystko i słyszy, z drugiej wszakże strony wpływają nań słowa ojca, którego sposób bycia obserwuje z bliska; pociąga go więc i to, i tamto. Ojciec pielęgnuje i krzewi w jego duszy pierwiastek rozumny, inni natomiast podniecają w niej pożądlivość i gniewliwość. Chłopiec nie jest zły z natury, popadł wszakże w złe towarzystwo. Tak więc, skutkiem działania sił przeciwstawnych, staje pośrodku i rządy nad samym sobą oddaje czynnikowi pośredniemu: ambicji i gniewliwości. Staje się dumny, pożąda zaszczytów.

O WSPÓLNYM POSIADANIU KOBIET

Czy Platon, marzący o karierze politycznej, nie przypominał właśnie owego młodego człowieka, w którego sercu wiodą spór różne racje i postawy? We wstępnych słowach listu siódmego sam się przyznaje do takich marzeń. Nie doceniał wtedy skromności i rozumu swego ojca, Aristona. Dopiero po wielu latach przykrych doświadczeń i klęsk osobistych miał złożyć hołd jego sposobowi bycia; ale wtedy wygasł w nim wreszcie ów, jak go nazywa, czynnik pożądlivości i gniewliwości, zwyciężył zaś pierwiastek rozumowy. Czy całkowicie? Wprawdzie po różnych nieudanych próbach Platon porzucił ambitne plany praktycznej działalności politycznej, natomiast nieprzerwanie i prawie do ostatnich lat życia snuł rozważania o idealnym ustroju państwa. A przecież takie myśli, uwiecznione w znakomitej formie literackiej, są również sposobem działania i kształtują świat zewnętrzny! Może nawet wydatniej, szerzej i trwalej niż czyn konkretny, słowo bowiem nie zna granic przestrzeni i czasu. Któż zaręczy, czy gdzieś i kiedyś nie znajdzie się społeczność, która postanowi wcielić w życie choćby część pomysłów boskiego Platona? Choćby te tylko, o których już wspomniałem: obywatela winno się wychowywać od dzieciństwa, wszelkimi metodami, nawet w dniach świątecznych i pozornego odpoczynku, nawet przez treść i formę utworów poetyckich i mu-

zycznych; dlatego dzieła te należy poddać najściślejszemu nadzorowi, nie cofając się przed selekcją i przeróbką twórczości dawnych mistrzów, aby mogły one lepiej służyć nowym celom.

Gdy myślę, że coś podobnego mogłoby stać się rzeczywistością, czym prędzej zwracam się ku studiom nad innymi dziedzinami nauk Platona; choćby nad problemem demonologii. Cokolwiek bowiem głoszą moi wrogowie, ja osobiście jestem najgłębiej przekonany, że nawet czarna magia, nawet wywoływanie duchów ludzi zmarłych stanowi mniejsze zło od pewnych poglądów, które, raz wypowiedziane, zapuszczają korzenie w świadomości zbiorowej, rozrastają się, a słowa ich stają się ciałem. A mnie przecież zarzuca się tylko zwykłe czary miłosne! Ostatecznie, gdyby nawet tak było, szkodę bezpośrednią poniosłoby tylko kilka osób, czyhających na fortunę bogatej wdowy; a tymczasem artystyczne i filozoficzne czary Platona mogą zagrozić szczęściu wielu ludów i pokoleń.

Fraszka to jednak, owi nadzorcy poezji i muzyki. Cóż bowiem rzec o piątej księdze *Państwa*? Mowa w niej o warstwie strażników, która ma być przodująca i poniekąd panująca w idealnym ustroju przyszłości. Otóż owi strażnicy nie posiadają niczego na własność. Wspólnie mieszkają i wspólnie spożywają posiłki. Nie mają nawet rodzin. Kobiety tej warstwy sprawują obowiązki wojskowe razem z mężczyznami, choć w miarę lżejsze, bo płeć to słaba; pracują też w urzędach. W zasadzie nie zawiera się małżeństw, a rodzice nie znają swych dzieci. Chodzi o to, by potomstwo było jakościowo najlepsze. Dozwolone więc jest obcowanie miłosne tylko w odpowiednim wieku. Pozornie los wyznacza, kto z kim się połączy; w istocie jednak rządzący, to znaczy strażnicy doskonali, tak kierują losowaniem, by najlepsi i najzdrowsi otrzymywali partnerki najlepsze i najzdrowsze. Pary te będzie się łączyć – chwilowo oczywiście, nie na stałe – tylko w pewnych okresach świątecznych, a poeci państwowi ułożą na tę okazję odpowiednie utwory. Prócz tego strażnicy najbardziej zasłużeni otrzymują jako nagrodę przywilej obcowania z niewiastą. Gdy zaś urodzi się dziecko, odpowiedni urząd natychmiast je zabierze i przekaże do specjalnej dzielnicy, gdzie zajmą się nim mamki i piastunki. Matki mogą odwiedzać te ochronki, ale pod żadnym warunkiem nie wolno im powiedzieć, które to dziecko jest ich własne.

Wypada mi jeszcze zwrócić uwagę, że pośrednio została tu wypowiedziana myśl, jeśli się zastanowić, potworna: rządzącym wolno kłamać i oszukiwać dla dobra rządzonych. Nie ma zbrodni, której nie można by usprawiedliwić, przyjmując tę maksymę.

RODZINA PERIKTIONE

Pozornie bardzo daleko odbiegłem od spraw związanych z domem Platona. Tak wszakże nie jest. Kto bowiem pilnie i wciąż na nowo odczytuje dzieła filozofa, łatwo dostrzeże, że wszystkie one przepojone są wspomnieniami o najbliższych oraz aluzjami do wydarzeń i osób, które były jego światem w młodości. Oczywiście nie zawsze to delikatne tło wywodów jest dla nas uchwytnie. Czasem jednak rzecz przedstawia się stosunkowo prosto. Tak właśnie ma się sprawa z piątą księgą *Państwa*, dopiero co wspomnianą. Sokrates rozmawia w niej z Glaukonem, rodzonym bratem Platona; tym, który udał się do Pireusu, aby oglądać uroczystości ku czci trackiej bogini. Otóż gdy Sokrates pragnie ugruntować zasadę, że w idealnym państwie trzeba będzie tak dobierać pary, aby ich potomstwo było pod każdym względem jak najbardziej udane, odwołuje się właśnie do Glaukonowych doświadczeń:

– Widziałem u ciebie w domu psy myśliwskie i sporo szlachetnych ptaków. Czy interesowało cię kiedykolwiek, jak one się parzą i jak się rozmnażają?

Stawiając dalsze pytania łatwo dobywa zeń maksymę hodowcy: należy łączyć zwierzęta najzdrowsze i w najlepszym wieku, inaczej bowiem odbija się to niekorzystnie na gatunku. I z całym spokojem obaj uznają, że tak samo musi się postępować doskonałąć ród ludzki.

Ten fragment rozmowy stanowi zarazem przyczynek do charakterystyki Glaukona. Młody człowiek lubuje się, jak wszyscy jego rówieśnicy z zamożnych domów, w polowaniu na drobną zwierzynę (bo innej nie było w Atyce od wieków); hoduje też ptaki. Oczywiście chodziło o specjalne odmiany ptaków walczących; ich pojedynki należały do ulubionych rozrywek Ateńczyków. Sam Platon wspomina w *Prawach*, jak to nie tylko dzieci, lecz i poniektórzy starsi ćwiczą i sposobią ptaki, a nawet dla ich wzmocnienia odbywają długie spacery, niosąc je w ręku lub pod płaszczem.

Glaukon miał imię po ojcu swej matki. Znowu więc powracam do Periktione i jej rodziny. Nikt nie udowodni, że owa ambitna żona pokój miłującego męża, tak wyraziście odmalowana przez Platona, to właśnie Periktione – choć mnie osobiście wydaje się to wielce prawdopodobne. Natomiast jest pewne, że najbliżsi jej krewni byli wręcz uosobieniem tych cech, które odwozili młodego człowieka od zasad i przykładu ojca; oni to bowiem wtrącali się do spraw cudzych, idąc za głosem pożądlivości i wielkich ambicji.

Rodzonym bratem Periktione był Charmides, bratem zaś stryjecznym Kritias. Obaj oni odgrywali ogromną rolę w rządzie oligarchicznym, który objął władzę w Atenach po wojnie peloponeskiej: Kritias przewodził Komisji Trzydziestu, Charmides zaś należał do Komisji Dziesięciu, zarządzającej Pireusem.

Gdy się o tym pamięta, słowa Platona o ówczesnym rządzie – przytoczyłem je poprzednio – nabierają szczególnej wymowy:

„Otóż złożyło się tak, że niektórzy z nich byli moimi krewnymi i znajomymi; ci od razu zaczęli zachęcać, bym wziął udział w ich działalności, jako że ona także mnie dotyczy.”

Jakiego rodzaju była ta działalność, już mówiłem. A łatwo byłoby wskazać jeszcze wiele innych zbrodni popełnionych przez Komisję Trzydziestu. Mimo to – rzecz ze wszech miar godna uwagi! – Platon nigdy i nigdzie nie potępia tych ludzi. Przeciwnie, obu krewnym swej matki, Kritiasowi i Charmidesowi, wystawił piękne pomniki. Dwa bowiem spośród jego dialogów noszą ich imiona.

O DZIWACZNOŚCI SKOJARZEŃ

Wziąłem do ręki dialog *Charmides*, by przypomnieć sobie, jak Platon charakteryzuje obu krewnych swej matki; bo i Kritias występuje w tym dziełku. Czytając jednak rozdział wstępny natrafiłem na rozważania, które niezwykle mnie zainteresowały z zupełnie innych względów. Chodzi o wielkie pytanie, co jest źródłem chorób i jak należy je leczyć; oczywiście mowa nie o wszelkich chorobach, lecz o tych, które nazywa się wewnętrznymi. Ta kwestia, zawsze intrygująca i ważna, wówczas stała mi się szczególnie bliska, jako że mieszkając w domu Pudentilli obserwowałem bardzo przykry przypadek padaczki. Jeden z jej niewolników, chłopiec imieniem Tallus, dostawał ataków trzy lub cztery razy dziennie. Rzucano go na ziemię; pniąc się tłukł głową na wszystkie strony, wyglądał okropnie. Zresztą i poza tym trudno by było nazwać go przystojnym. Twarz miał pryszczatą, oczy kaprawe, nos płaski, krowi, a wątlutkie nogi ledwie go podtrzymywały. Nikt ze służby za żadne skarby nie jadłby z nim ze wspólnej miski, nikt nie wypiłby z garnka, który on pierwszy przytknął do ust. A gdy tylko wchodził do izby, wszyscy spluwali, żeby odwrócić od siebie złego ducha.

Dziwnymi drogami chadza myśl ludzka. Boska uroda efeba Charmidesa, wychwalana w dialogu przez tyle osób, kazała mi wciąż myśleć o szpetocie nieszczęsnego Tallusa. Rozumowałem także, że jeśli w ogóle jakaś choroba, to właśnie ta, zwana świętą, winna by ulec metodzie, którą zalecał Sokrates. Spróbowałem – i drogo miało mnie to kosztować w swoim czasie. Lecz o tym później. Obecnie przypomnę ów rozdział *Charmidesa*. Warto też uprzytomnić sobie, że – według Platona – rozmowa toczyła się jeszcze przed wojną peloponeską. Charmides był wtedy dorastającym chłopcem i pozostawał pod opieką swego znacznie star-

szego brata stryjecznego, Kritiasa. I w tym dialogu, podobnie jak w *Państwie*, osobą opowiadającą Platon czyni Sokratesa. Powrócił on do Aten po dłuższej nieobecności, służył bowiem w wojsku oblegającym Potidaję. Zaraz gdy tylko stanął w murach ojczystego miasta, zajął, starym swym zwyczajem, do gimnazjum Taureasa; zbierał się tam kwiat ówczesnej młodzieży ateńskiej. Najpierw zdał sprawę, jak tam pod Potidaję.

CHARMIDES, WUJ PLATONA

Z kolei zaś – opowiada Sokrates – ja zacząłem wypytywać, co słyhać tutaj. Wywiadywałem się o filozofię, jak z nią teraz, i o młodych ludzi; czy są wśród nich jacyś wyróżniający się inteligencją lub urodą albo też obu tymi zaletami. Kritias spojrział wówczas ku drzwiom. Właśnie wchodziła gromada chłopców, kłócąc się i przepychając, a z tyłu za nimi też tłum się cisnął. Powiedział:

– Jeśli chodzi o pięknych chłopców, to coś mi się zdaje, że wnet sam się przekonasz. Bo ci, co się tam pchają, to przednia straż i wielbiciel kogoś, kto obecnie uchodzi za najurodzawszego. On sam jest chyba gdzieś niedaleko.

– A któż to taki? – zapytałem.

– Pewnie go znasz. Ale nie był jeszcze w odpowiednim wieku, gdyś wyjeżdżał. To Charmides, syn Glaukona, mego stryja.

– Znam go, to prawda. Nawet wtedy, choć jeszcze chłopaczek, wydawał się całkiem udany. A teraz to już chyba młodzieniec!

– Zaraz zobaczysz, jak wyrósł i jak wygląda.

W tym momencie wszedł na salę Charmides.

Kamień probierczy to ze mnie żaden. Złoto znajduję w każdym pięknym chłopcu, a pięknymi wydają mi się prawie wszyscy młodzi. Ale Charmides jawił się wtedy niby cud jakiś, tak był postawny i urodziwy. Odniosłem też wrażenie, że wszyscy inni są po prostu w nim zakochani. Bo kiedy tylko znalazł się w sali, jakby przestali panować nad sobą. A z tyłu jeszcze się pchała ciżba wielbicieli! Zachowanie się nas, mężczyzn dorosłych, można było jeszcze zrozumieć. Zauważyłem jednak, że także żaden z chłopców, nawet tych najmniejszych, nie patrzy w inną stronę; wszyscy wlepiali weń oczy, jakby był posągiem boga.

Kritias zwrócił się do mnie:

– Jakże znajdujesz tego młodzieniaszka? Twarz ma piękną, nieprawda?

– Przepiękną! – odparłem.

– Ale gdyby się rozebrał, zapomniałbyś o twarzy. Tak świetnie jest zbudowany.

Wszyscy zakrzyknęli, że to prawda. Rzekłem więc:

– Toż nikt się nie oprze temu człowiekowi! Oczywiście w tym wypadku, jeśli posiada on jeszcze pewną drobną zaletę.

– Jakąż to zaletę? – zapytał Kritias.

– Jeśli ma równie piękną duszę. Ale ma ją na pewno, bo przecież pochodzi z waszego rodu.

Kritias potwierdził skwapliwie:

– Oczywiście, jest doskonały pod każdym względem.

– Jakżeż więc? – zapytałem. – Może byśmy tak obnażyli tę jego duszę i przypatrzyli się jej wprzód nim ciału? Z pewnością zgodzi się porozmawiać z nami, skoro już taki dorosły.

– Z pewnością – przyznał Kritias. – Zresztą bardzo go interesuje poszukiwanie mądrości. Ma nawet uzdolnienia poetyckie. Tak sądzi nie tylko on sam, lecz także osoby postronne.

– Mój drogi Kritiasie, te uzdolnienia już od dawna przejawiają się w waszej rodzinie. Jesteście przecież spokrewnieni z Solonem. Ale pokaż mi tego młodego człowieka. Poproś go

tutaj. Gdyby nawet był młodszy, mógłby bez wstydu porozmawiać z nami w twojej obecności, boś jego bratem stryjecznym i opiekunem.

Kritias przyznał mi rację i zwrócił się do kogoś ze służby:

– Chłopcze, przywołaj tu Charmidesa. Powiedz, że chcę przedstawić go lekarzowi. W sprawie tej choroby, na którą niedawno się skarżył.

A zwracając się do mnie wyjaśnił:

– Powiedział mi kiedyś, że rano zwykle boli go głowa. Chyba nic ci nie szkodzi udawać przed nim, że potrafisz leczyć te bóle?

Nie miałem nic przeciw temu, więc rzekłem:

– Byle tylko tu przyszedł!

– Przyjdzie na pewno!

Tak też się stało. Przyszedł i sprawił, że wybuchł gromki śmiech. Każdy bowiem z nas ustępował mu miejsca i odpychał sąsiadów; jeden z tych, co siedzieli na samym skraju ławy, wstał, drugiego natomiast zrzucano na ziemię.

RECEPTY ZAMOLKSISA

Charmides usiadł pomiędzy mną a Kritiasem. W tym momencie odczułem nagle dziwne zmieszanie. Gdzieś się podzielała ta moja niedawna śmiałość, kiedy mi się zdawało, że rozmowa pójdzie łatwo. Potem Kritias powiedział, że znam lekarstwo; on zaś spojrzał na mnie wzrokiem, którego opisać nie sposób, i gotował się do odpowiedzi na pytania. Wszyscy, ilu ich było w palestrze, otoczyli nas kołem. Dojrzałem jego ciało pod płaszczem. Gorąco mnie oblało i już nie władałem sobą...

Mimo to gdy zapytał, czy znam lekarstwo, przeciw bólowi głowy, zdołałem wykrztusić, choć z trudem, że znam rzeczywiście.

– Jakież to lekarstwo?

Odrzekłem, że chodzi o pewne ziele, a także o zaklęcie; jeśli ktoś wymówi zaklęcie i jednocześnie posłuży się ziele, lek uczyni go całkowicie zdrowym; bo bez zaklęcia ziele nie skutkuje.

On na to:

– Więc zapiszę sobie słowa zaklęcia!

– Za moją zgodą czy nawet bez niej?

Roześmiał się i odparł:

– Oczywiście, że tylko za twoją zgodą, Sokratesie!

– Doskonale. Widzę, że znasz moje imię.

– Jeśli nie sprawia ci to przykrości. Wśród moich rówieśników dużo się mówi o tobie. Pamiętam także, że kiedy byłem jeszcze chłopcem, przestawałeś z Kritiasem.

– To pięknie z twojej strony. Wobec tego będę mógł szczerze objaśnić cię w sprawie zaklęcia. A właśnie się kłopotalem, w jaki sposób przedstawić ci jego działanie. Bo jest ono tego rodzaju, że może uzdrowić nie tylko głowę. Słyszałeś zapewne, jak postępują dobrzy lekarze, gdy ktoś przyjdzie do nich skarżąc się na ból oczu. Powiadają pacjentowi: nie sposób leczyć tylko oczu; jeśli chce się naprawdę wzrok uzdrowić, trzeba koniecznie zająć się całą głową; a znowu wielki to byłby nierozum sądzić, że można kurować samą tylko głowę, lekceważąc stan reszty ciała. Zgodnie z tą zasadą badają ciało i starają się leczyć część wraz z całością. Wiesz chyba o tym?

– Wiem dobrze – odpowiedział.

– Uważasz więc te twierdzenia za słuszne i godzisz się na nie?

– Jak najbardziej!

Gdym tylko posłyszał, że przystaje na wszystko, nabrałem ducha. Powoli wróciła mi także śmiałość i znowu żar mnie ogarnął. Rzekłem:

– Więc i z tym zaklęciem rzecz ma się podobnie. Nauczyłem się go tam, pod Potidają, w czasie wyprawy wojennej, od pewnego Traka; był to jeden z lekarzy boga Zamolksisa. Podobno potrafią oni dać człowiekowi nawet nieśmiertelność. Otóż ów Trak objaśnił mnie, że poglądy lekarzy helleńskich, które właśnie przedstawiłem, są bardzo słuszne. Lecz – wywodził on dalej – Zamolksis, nasz król, który jest także bogiem, przykazuje: skoro nie należy leczyć tylko oczu, nie dbając o głowę, i tylko głowy, nie dbając o resztę ciała, nie wolno też zabierać się tylko do leczenia ciała, nie myśląc o duszy. I właśnie to jest przyczyną, że helleńscy lekarze nie potrafią poradzić sobie z wielu chorobami: nie zwracają uwagi na całość. Bo jeśli ona ma się dobrze, części również muszą być zdrowe. Twierdził też mój tracki znajomy, że wszelkie cielesne zło i dobro zaczyna się właśnie w duszy i stamtąd wypływa. O to więc należy dbać najpierw i przede wszystkim! Rzekł wreszcie, mój przyjacielu, że duszę leczy się przy pomocy pewnych zaklęć; są nimi mądre słowa. Bo z tych słów rodzi się w duszach panowanie nad sobą, które stanowi podstawę zdrowia całego ciała.

EPILEPSJA I DEMONOLOGIA

Ze wszystkich dialogów Platona najbardziej cenię *Timajosa*. Oczywiście jako źródło wiedzy; przyznaję bowiem, że jest to rzecz napisana językiem trudnym i artystycznie chybiona. Dziełko powstało u schyłku życia boskiego nauczyciela i zawiera jakby esencję jego poglądów na powstanie i budowę świata oraz człowieka. Poucza też, jakie to choroby wynikają z zakłóceń w układzie cząstek naszego organizmu. Otóż świętą chorobę, czyli epilepsję, Platon przypisuje połączeniu się, w pewnych warunkach, białej flegmy z czarną żółcią; ta trucizna przez żyły dochodzi aż do głowy i natychmiast otępia królewską część ducha, która właśnie w mózgu ma swoją siedzibę i stamtąd rządzi całością; jeszcze pół biedy, jeśli atak w czasie snu się zdarzy, bo wtedy objawami są tylko duszności i lęk; w innym wszakże wypadku chory nagle traci przytomność i pada na ziemię, miotając się jakby w agonii.

Lecz z drugiej strony tenże sam Platon naucza w *Charmidesie* ustami Sokratesa, że wszelkie choroby ciała zaczynają się w duszy i w niej mają swoje istotne korzenie. Wynikałoby stąd, że również świętą chorobę można by leczyć działając odpowiednio na psychikę jej ofiary. Powołując się na trackiego lekarza Sokrates powiada, że zawsze należy uzdrawiać ciało przez duszę, na tę zaś wpływają najskuteczniej pewne zaklęcia, czyli słowa piękne i mądre. To wszystko brzmi poetycko i wzniośle, a nawet przekonywająco, ale tylko wtedy, jeśli jako pacjenta ma się przed sobą urodziwego chłopca, Charmidesa. Natomiast sama myśl, by prowadzić dialog filozoficzny ze zwyrodnialcem i debilem Tallusem, wydawała się wręcz niedorzeczna i śmieszna. Może jednak – tak rozważałem – należałoby w tym wypadku potraktować określenie „zaklęcia” dosłownie, jako zamawianie metodą magicznych zabiegów i formułek? Może to właśnie miał na myśli tracki lekarz, Sokrates zaś dostosował jego wskazówki do wymogów chwili i poziomu pacjenta z właściwą sobie przekorną swobodą?

Jeszcze jedna okoliczność skłaniała mnie, aby poddać Tallusa próbie.

W pismach Platona zawarta jest w załączku pewna wielka idea, następnie podjęta i rozbudowana przez pokolenia jego następców w Akademii. Myślę o demonologii. Jak wiadomo, demonami zowie się istoty pośrednie pomiędzy bóstwami a człowiekiem, krążące w strefie powietrznej naszego świata. Od nas zanoszą one ku bogom modlitwy i ofiary, stamtąd zaś przekazują rozkazy; bóstwo bowiem bezpośrednio nie wchodzi w kontakt z człowiekiem – ani na jawie, ani we śnie. Także wszelkie wróżby i w ogóle odsłaniania przyszłości jakimkolwiek sposobem dokonują się tylko dzięki demonom. Każdy człowiek ma przydanego sobie spośród nich stróża, który jest jego opiekunem, a zarazem niewidzialnym świadkiem nie tylko

czynów, lecz nawet najbardziej skrytych myśli i pragnień. Po śmierci człowieka demon natychmiast porывa jego duszę i prowadzi ją tam, gdzie sąd się odbywa; potwierdza lub zbija jej zeznania o tym, jak się prowadziła, od niego więc w istocie zależy, jaki los czeka zmarłego w zaświatach.

Zagadnienia demonologii studiowałem od dawna ze szczególnym zapałem. Dzięki pilnej lekturze starożytnych autorów znalazłem wiele ciekawych świadectw. Mówiły one również o tym, że właśnie chłopcy, jeśli podda się ich odpowiednim zabiegom, łatwo wchodzą w kontakt z demonami i odsłaniają sprawy ukryte oraz wszystko, co dopiero ma się zdarzyć. Podam jeden przykład, który wydaje mi się szczególnie wiarogodny:

Było to za panowania cesarza Augusta, a więc przed półtora wiekiem. Pewnemu człowiekowi ukradziono sporą sumę pieniędzy. Poszkodowany zwrócił się o pomoc do Nigidiusza, który służył wówczas w Rzymie z wiedzy tajemnej, a jako senator i były konsul cieszył się wielkim autorytetem. Otóż Nigidiusz odprawił magiczne obrzędy nad kilku wybranymi chłopcami, a ci wyjawili, gdzie złodzieje zakopali część monet skradzionych, a nawet i to, gdzie znajdują się te, które już puszczono w obieg; jedna z nich przypadkowo dostała się do sakiewki Marka Katona, znanego z nieposzlakowanej uczciwości.

Długo się zastanawiałem, lecz wciąż nie jest to dla mnie zbyt jasne, jaki chłopiec może łatwiej nawiązać kontakt ze światem demonów: czy bosko piękny, dobrze urodzony, wykształcony i uwielbiany powszechnie, jakim był na przykład Charmides, czy też ułomny, schorowany i wręcz odrażający niewolnik, jakim jest Tallus. Za obu poglądami przemawiają równie mocne argumenty i przykłady. Demony bowiem, jako istoty półboskie, winny by szczególnie chętnie szukać łączności z tymi spośród nas, którzy posiadają najwięcej zalet psychicznych i fizycznych. Ale z drugiej strony – prawda to stara i powszechnie znana – bogowie są zawistni i nie darzą życzliwością tych, co się wybijają ponad przeciętność. Może więc demony łaskawiej patrzą właśnie na upośledzonych, w ten sposób wynagradzając ich za wszelkie krzywdy i za cierpienia ziemskiego bytowania?

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że Tallusowi nic już nie zaszkodzi; kto wie, czy zaklęcia i ewentualny kontakt z demonami jakoś mu nie pomogą. Tak więc zabrałem się do swego „Charmidesa”.

PRÓBUJĘ UZDROWIĆ TALLUSA

Wszystko przygotowałem jak należy. W małym, ciemnym pokoju paliły się świece na ołtarzyku, przed którym na mój rozkaz stanął Tallus. Aby mieć świadków, że chodzi tylko o uzdrowienie chłopca i że nie dzieje się nic zdrożnego, zaprosiłem obu Appiuszów (tych samych, u których zatrzymałem się zaraz po przybyciu do Oei) oraz Pudensa, młodszego syna Pudentilli; obecność tego ostatniego była konieczna i z tej racji, że Tallus stanowił własność jego matki. Poncjana w tym czasie nie było w mieście.

Ceremonia zakończyła się bardzo szybko – pełnym, by rzec prawdę, niepowodzeniem. Tallus swoim zwyczajem runął na ziemię, nim jeszcze zdołałem wymówić pierwsze słowa zaklęcia. Przypuszczam, że przeraziła go tajemnicza sceneria. Chłopiec miotał się po podłodze i z pianą na ustach bełkotał wyrazy, które płynęły na pewno nie z natchnienia demonów.

Dnia następnego Tallusa nie było już ani w naszym domu, ani w ogóle w Oei. Dowiedziałem się najpierw od służby, że Pudentilla wyprawiła go do któregoś ze swych majątków wiejskich, wiele mil od miasta. Wszelako gdy ją spotkałem, początkowo w ogóle nie poruszała tego tematu. Dopiero pod koniec rozmowy powiedziała, pozornie zupełnie mimochodem, że Tallusa wyprawiła na wieś, bo reszta służby mogłaby zarazić się od niego przykrą chorobą. Oczywiście natychmiast przeprosiłem panią domu, że usiłowałem uleczyć chłopca bez jej

wiedzy; zapewniłem jak najsoleńniej, że kierowały mną złośliwe intencje. Nic nie odrzekła, skinęła głową, uśmiechnęła się tajemniczo.

Ten uśmiech nie dawał mi spokoju przez wiele dni. Zachodziłem w głowę, co on naprawdę oznacza. Czyżby mi nie wierzyła? Czyżby tak drobna i nieważna sprawa miała ją zrazić do mnie? Niestety, Poncjana wciąż jeszcze nie było: a tylko on mógłby szczerze i otwarcie porozmawiać z matką. Wreszcie, po wielu dniach, doznałem olśnienia. Zrozumiałem wszystko. Było z pewnością tak:

Po nieudanej ceremonii uzdrowienia Pudens oczywiście opowiedział matce całą rzecz, chyba nie szczędząc ubarwień. Pudentilla zaczęła się zastanawiać, dlaczego chciałem poddać Tallusa próbie zaklęć. Była kobietą roztropną i praktyczną, toteż na myśl by jej nie przyszło, że istotną przyczyną są tylko i wyłącznie moje szczytne zainteresowania naukowe. Podejrzała natomiast, że chciałem osiągnąć przy pomocy obrządków nad epileptykiem coś bardzo konkretnego i poznać jakąś tajemnicę. Jaką? Poncjana od pewnego czasu wciąż ją przekonywał, że powinna mnie poślubić; wiedziała też, że i ja jestem do tego nakłaniany. W jej oczach byłem człowiekiem stosunkowo młodym, nieśmiałym i niedoświadczonym, oddanym tylko nauce, pograżonym w mądrych księgach starożytnych. Uważała więc za rzecz całkowicie naturalną, iż nie mam odwagi sam z nią rozmawiać o wspólnej sprawie; tłumaczyła sobie, że obieram drogę czarów, bo chcę się dowiedzieć, jakie są widoki zdobycia jej względów. Od tej strony cała historia mogła jej tylko pochlebić. Ale była inna kwestia: wziąłem jako pośrednika osobę chorą i odrażającą; to było przykre, niemiłe i musiało ją dotknąć.

A mimo to Pudentilla pierwsza uczyniła gest pojednawczy! Ażeby dowieść, że wcale nie jest przeciwna moim studiom i poważnie traktuje wyjaśnienie w sprawie Tallusa, poprosiła znajomego lekarza, by przyprowadził do mnie swoją pacjentkę, która cierpiała na epilepsję. Oczywiście w tym wypadku nawet nie próbowałem obrzędów i zaklęć. Zapytałem ją tylko, czy odczuwa dzwonienie w uszach i w którym bardziej; odpowiedziała, że w prawym.

Tak więc ostatecznie rozwiązał się mój niepokój. Lepiej nawet, wyszedłem z całej tej sprawy z pewnym zyskiem i zadowoleniem: Pudentilla mi sprzyjała, to było oczywiste.

Powróciłem do studiów nad Platonem z nowym zapałem.

PLATON I RODZINA MATKI

Rozmowa Sokratesa z Charmidesem stopniowo doprowadziła do pytania, czym właściwie jest *sofrosyne*, czyli roztropne panowanie nad sobą (wydaje mi się, że tak najlepiej przetłumaczyć ten grecki wyraz). Kritias bowiem zapewniał, że Charmides już posiada tę piękną cechę charakteru i że ona to właśnie wyróżnia go spośród rówieśników. Na co Sokrates grzecznie odrzekł, że to zupełnie zrozumiałe, bo chłopiec pochodzi ze świetnego domu. Przodków jego ojca sławił Anakreont, Solon i wielu innych poetów. Tak samo ma się rzecz z rodziną matki Charmidesa; jej brat Pyrilampes uchodził swego czasu za najprzystojniejszego mężczyznę w Atenach, a nawet na całym kontynencie azjatyckim, ilekroć posłował do króla perskiego.

Słowa, które Platon włożył w usta Sokratesa, uważam za bardzo znamienne. Charmides, powtarzam, był rodzonym bratem matki Platona; a więc wychwalając jego przodków Platon zarazem składał hołd swym macierzystym dziadom i pradziadom. Ciekawy jest również ukłon w stronę Pyrilampesa; matka Platona, jak już wspomniałem, poślubiła go po śmierci swego pierwszego męża, Aristona, owego miłośnika spokoju; wyszła więc za swego wuja. Widocznie Pyrilampes umiał zjednać sobie serce pasierba, skoro ten pisze o nim tak serdecznie.

Wynika stąd jasno, że Platon był gorąco przywiązany do rodziny matki, choć portret Periktione odmalował w raczej ciemnych barwach. Szczycił się dawną tradycją i pragnął przekazać potomnym jak najpochlebniejszy obraz krewnych. Co wszakże najbardziej zdumiewające, to fakt – na który już wskazałem – że nawet Kritias, tak zniesławiony przywódca Komi-

sji Trzydziestu, nigdy nie spotkał się ze strony Platona z wyraźnym, imiennym potępieniem. Przeciwnie. W dialogu *Timajos*, o którym mówiłem poprzednio, Kritias jest jedną z głównych postaci, inny zaś utwór, stanowiący kontynuację *Timajosa*, nosi wprost tytuł *Kritias*.

A przecież był to człowiek, którego czyny słusznie wzbudzały ogólne oburzenie. Zamierzał zgubić nawet Sokratesa, powierzając mu zadanie doprowadzenia do Aten obywatela bezprawnie skazanego na śmierć. Gdzieś poprzednio przytoczyłem urywek listu siódmego, w którym Platon, pisząc o tej sprawie, konkluduje:

„Oczywiście chodziło im o to, aby Sokrates stał się współnikiem ich spraw, nawet wbrew swej woli. On jednak nie posłuchał. Gotów był na wszystko, byle nie uczestniczyć w zbrodni.”

Ciekawe, że Platon mówi tu bardzo ogólnie „oni”. A więc nie przemógł się na tyle, by wyraźnie wskazać Kritiasa! Wielbił i cenił Sokratesa, lecz honor członka rodziny był dlań również świętością; nie mogąc go bronić w tej sprawie, przynajmniej przemilcza jego imię. Wiadomo wszakże, iż to właśnie Kritias był w Komisji Trzydziestu głównym wrogiem Sokratesa. Mówi o tym bez obsłonek Ksenofont, prawie rówieśnik Platona i także uczeń wielkiego mędrca. Opowieść, którą czytam w jego *Wspomnieniach*, jest tej treści:

KRITIAS I SOKRATES

Kritias, zakochany w niejakiemu Eutydemie, pragnął za wszelką cenę zaspokoić swe pożytkowości, Sokrates natomiast usiłował odwieść go od tego. Wskazywał, że nie przystoi zachowywać się jak żebrak wobec człowieka, którego bardzo się miłuje i któremu chciałoby się wydać kimś prawdziwie wartościowym. Jednakże Kritias był głuchy na wszelkie perswazje. Oburzony tym Sokrates powiedział w licznym towarzystwie, i to w obecności samego Eutydemę, coś bardzo niegrzecznego o postępowaniu Kritiasa.

Stąd właśnie zrodziła się nienawiść Kritiasa do Sokratesa. Toteż gdy jako przywódca Komisji Trzydziestu wprowadzał nowe ustawy, zarządził, że nie wolno nauczać sztuki wymowy, ponieważ wpływa ona deprawująco na młodzież. Zarządzenie to godziło również w Sokratesa, choć nie pobierał on żadnych opłat za swoje nauki. Kritias jednak nie mógł znaleźć innego punktu zaczepienia, zarzucał więc mu to, o co zwykle oskarża się filozofów przed opinią publiczną.

Komisja Trzydziestu zgładziła wielu obywateli, a wielu innych zmusiła do popełnienia zbrodni. Sokrates rzekł wówczas publicznie:

– Dziwne by było, gdyby nie potępiono pasterza, którego stado marnieje. Ale jeszcze dziwniejsze, jeśli przywódca państwa, w którym obywatele stają się coraz podlejsi, nie dostrzega tego i nie jest w stanie pojąć, że źle rządzi!

O tych słowach oczywiście natychmiast doniesiono Komisji, Kritias i Charikles zawezwali Sokratesa. Pokazali mu tekst ustawy i zabronili rozmów z młodzieżą. On zaś, jak to było jego zwyczajem, zapytał skromnie:

– Czy wolno mi prosić o wyjaśnienie, jeśli czegoś nie rozumiem?

– Wolno – odparli.

– Jestem gotów zastosować się do postanowień ustawy. Ale chciałbym prosić o pewne dodatkowe pouczenia, żebym przez niewiedzę przypadkowo nie stał się przestępcą. Zakazujecie szkolić w sztuce wymowy. Dlaczego?

Charikles odrzekł tonem podniesionym:

– Skoro tego nie rozumiesz, wydamy zarządzenie łatwiejsze do pojęcia: w ogóle nie wolno ci rozmawiać z młodymi ludźmi!

Lecz Sokrates nie ustępował i nadal udawał naiwnego:

– Ale żeby nie było wątpliwości, musicie mi określić, do którego to roku jest się młodym!

Charikles odparł:

– Młody jest ten, kto jeszcze nie może wejść w skład Rady. Wynika stąd, że nie powinieś rozmawiać z ludźmi, którzy jeszcze nie doszli do trzydziestki.

Sokrates wszakże wciąż miał wątpliwości:

– To znaczy, że jeśli sprzedawca nie ma jeszcze lat trzydziestu, nie wolno mi zapytać, jaka jest cena towaru?

Charikles objaśnił go łaskawie:

– W takich wypadkach wolno. Jednakże ty zazwyczaj zadajesz wiele pytań, choć dobrze wiesz, o co w istocie chodzi. Więc właśnie takich pytań nie stawiaj!

– Czyli nie powinienem także odpowiadać, jeśli ktoś młody zapyta mnie na przykład, gdzie mieszka Charikles lub gdzie można spotkać Kritiasa?

Charikles wciąż nie tracił cierpliwości:

– W takich wypadkach oczywiście powinieś udzielić odpowiedzi.

Kritias wtrącił się do rozmowy.

– Ale będziesz musiał trzymać się z dala od tych twoich szewców, murarzy i kowali. Bo myślę, że oni są bardzo zmęczeni, skoro w swych rozmowach bez przerwy o nich wspominasz.

Sokrates jeszcze się upewnił:

– A więc mam trzymać się z dala również od tego, co z tych rozmów wynika: od sprawiedliwości, od pobożności i od wszelkich spraw tego rodzaju?

Teraz z kolei Charikles udał, że nie rozumie dwuznaczności tych słów. Powiedział więc tonem pogroźki, nawiązując do tego, co rzekł Kritias:

– Tak. Również od pasterzy trzymaj się z daleka. Bo jeśli nie, to może się zdarzyć, że właśnie z twojej winy zmniejszy się pogłowie bydła.

Co należało rozumieć: z twojej winy – o ciebie.

O POCZĄTKACH RELIGII

Kritias, nim jeszcze zdobył sobie ponury rozgłos jako przywódca Trzydziestu Tyranów, cieszył się sławą dobrego poety, śmiałego myśliciela, czynnego polityka. Doskonale rozumie, że taka osobowość musiała wręcz fascynować Platona w jego latach chłopięcych; bo i w nim, w Platonie, wcześniej wzbudziły się zainteresowania literackie, a także polityczne. Wiadomo przecież, że układał dramaty i dytyramby; podobno zamierzał nawet wystawić swoje sztuki w czasie świąt Dionizosa, w nadziei, że zdobędzie nagrodę i sławę; Sokrates wszakże, jak twierdzą nasi mistrzowie w Akademii, odwiódł go od ambicji pisarskich, tak często spotykanych, że aż pospolitych, i wskazał cel szlachetniejszy – dążenie do prawdziwej mądrości. Natomiast z polityką Platon nie pożegnał się tak łatwo. Przecież w liście siódmym szczerze wyznaje, że pragnął się jej poświęcić, gdy tylko dojdzie do pełnoletności. I w gruncie rzeczy, jak mi się zdaje, tym swoim młodzieńczym ambicjom pozostał wierny do końca życia. Gdy nie udała się kariera w ojczyźnie, usiłował realizować swoje pomysły ustrojowe w innym kraju. A w jego dziełach wciąż przewija się pytanie, jaki ma być doskonały ustrój państwa i jak wychowywać obywateli. Wyznaje, że dla mnie, obywatela Imperium, które jak korona wieńczy rozwój wszystkich ludów, te rozważania wydają się puste i niepotrzebne. Czyż można sobie wyobrazić coś świetniejszego od rzeczywistości, w której żyć nam wypadło dzięki łasce bogów? Owszem, ludzie pozostali tak ułomni, jak byli. Jednakże system państwowy jest doskonalszy i sprawiedliwszy, niż mogło się marzyć Platonowi w najśmielszych snach; a w swych rojeniach miał on na oku zawsze jedno tylko miasto, podczas gdy nasze Imperium obejmuje tysiące miast i setki krain, od mrocznej północy aż po rozpalone piaski pustyni. Toteż wolałbym, by Platon mniej mówił o społeczeństwie i wychowaniu, więcej na

tomiast o tajemnicach budowy świata, widzialnego i niewidzialnego, szczególnie zaś o demonach. Państwa bowiem i ich ustroje przemijają, jak uczy historia; demony natomiast zawsze istniały i istnieć będą.

Spośród bliskich Platona tylko Kritias parał się na równi polityką i pisarstwem. Z jego dzieł znam jedynie fragmenty. Wiem, że był dramaturgiem oraz autorem traktatów, w których przedstawiał politeje, czyli ustroje, Tesalii i Lacedemonu; wychwalał przede wszystkim to drugie państwo; twierdził, że inne państwa winny pod każdym względem naśladować Lacedemon. Trudno mi w tym miejscu nie przypomnieć, że idealny ustrój, wymyślony przez Platona, jest w znacznej mierze rozwinięciem założeń, na których opierał się lacedemoński porządek i tamtejszy system wychowania. A więc Platon poważnie traktował wskazówki swego wujka, które z pewnością nieraz słyszał z jego własnych ust za młodu.

Lecz dość już o polityce. Z zachowanych ułamków Kritiasowej twórczości tylko jeden utkwiał mi w pamięci. Pochodzi on z dramatu *Szyf*. Pewna osoba rozwija w nim poglądy tej treści:

W pradawnych czasach ludzie żyli w bezładzie i po zwierzęcemu, a korzyli się tylko przed siłą. Nie nagradzano uczciwych, ale też nie karano przestępców. Dopiero później ustanowiono surowe prawa; chciano bowiem, by sprawiedliwość jednakowo władła wszystkimi, a kara spadała na każdego, kto złamie ustawy. Lecz owe prawa powstrzymywały ludzi przed popełnianiem tylko jawnych przestępstw, potajemnie zaś nadal źle czyniono. Wówczas to – tak sobie wyobrażam – jakiś człowiek bystry i rozumny pierwszy wpadł na pomysł, że ludzie muszą bać się bogów; wtedy bowiem będą się lękali nawet skrycie grzeszyć myślą, mową, uczynkiem. W ten to sposób wprowadzono pojęcie bóstwa. Głoszono, że jest to duch wiecznie żyjący, który słyszy i widzi samym umysłem, wszystko ogarniając; który pojmuje każde słowo ludzkie i każdy czyn dostrzega. Więc gdybyś nawet milcząc knuł zło jakieś, nie ukryje się to przed bogami, jako że mają oni moc postrzegania wszystkiego. Przy pomocy takich właśnie wywodów ów człowiek ustanowił jedną z najprzemysłniejszych nauk, a fałszywym słowem okrył prawdę. Twierdził także, że bogowie tam przebywają, skąd przychodzi największa groza, ale też największe pożytki dla nędzy naszego bytowania: na górnym obwodzie. Stamtąd bowiem padają gromy i błyskawice, lecz tam również rozpościera się gwiazdzista szata nieba i goreje jasne słońce, stamtąd wreszcie deszcz rosi ziemię. Taki to lęk ludziom wpoił i pięknie osadził bóstwo w należnym mu miejscu, bezprawie zaś prawem ujarzmił.

BÓG I BOGOWIE

Tak więc jeden z najbliższych krewnych Platona był po prostu ateistą. Wspomniałem już poprzednio, że sam założyciel Akademii z oburzeniem odrzucał takie poglądy, jakkolwiek osobiście nie darzył żadnego bóstwa szczególną czcią i chyba nie dostąpił wtajemniczeń w żadne misteria. Przytoczyłem także ów rozdział z dziesiątej księgi *Praw*, który, jak przypuszczam, przekazuje pewne wspomnienia z dziecięcych lat Platona; matka opowiadała mu wtedy baśniowe podania o bogach, ojciec zaś w dniach świątecznych, otoczony przez całą rodzinę, składał nieśmiertelnym ofiary przy domowym ołtarzu.

Ale skoro już dotknąłem tu spraw religii, wypada pokrótce określić, jaka jest platońska doktryna o istocie bogów i jakie wyznacza im miejsce w naszym świecie.

Chyba najpewniej odpowiada filozof na te pytania w dialogu pisany już u schyłku życia, a mianowicie w *Timajosie*. A trzeba też przypomnieć, że jednym z rozmówców w tym utworze jest właśnie Kritias! Osoba tytułowa dialogu, czyli sam Timajos, mędrzec i astronom przybyły z miasta Lokroj w Italii, wyklada tam, co następuje:

Istnieje wieczny bóg, który stworzył świat jeden, materialny, widzialny, zbudowany z czterech pierwiastków: z ognia, ziemi, wody, powietrza. Ten świat sam jest istotą żywą i zawiera

w sobie wszelkie istoty żywe; posiada kształt najdoskonalszy, a więc kuli, i porusza się wokół siebie ruchem obrotowym; wyszedł z ręki boga i jest również bóstwem, a dusza jego znajduje się w nim i wokół niego.

Bóg stworzył też w owym świecie słońce, księżyc i pięć planet; stworzył je z materii ognia. Położył je na kulistych obręczach wokół ziemi, aby poruszały się po owych torach; na pierwszej obręczy znajduje się księżyc, na drugiej słońce, na trzeciej Jutrzenka, na czwartej Hermes, potem zaś kolejno cztery inne planety. A wszystkie owe ciała, poczynając od ziemi, są istotami żywymi i boskimi. Czas zaś pojawił się w świecie dopiero wtedy, gdy one zostały stworzone.

Prócz tych bóstw istnieją także inne bóstwa, o których wiemy dzięki starym legendom. Bóstwa te są potomstwem Ziemi i Nieba; na ich czele stoją Zeus i Hera, potem zaś idą te wszystkie, którym tak powszechnie cześć się oddaje. Otóż właśnie owym to bóstwem, zrodzonym, lecz nieśmiertelnym, polecił bóg-stwórca wykonać ciała innych istot żywych.

Jednakże natura istot żywych jest złożona, podwójna: co w nich boskie i nieśmiertelne, pochodzi od samego boga-stwórcy, co zaś śmiertelne, od bogów zrodzonych. Uczynił więc bóg-stwórca tyle dusz, ile jest gwiazd; osadził każdą duszę na gwieździe i pokazał jej obraz wszechświata. Potem zaś przekazał owe dusze bogom młodszym. Ci wykonali dla nich ciała i mniej doskonale części duszy.

Prawo zaś ustanowiono takie: która z dusz żyć będzie w ciele panując nad sprzecznymi składnikami swej natury, ta znowu powróci na swoją gwiazdę i tam trwać będzie w szczęściu; która natomiast ulegnie, narodzi się powtórnie, i to w ciele kobiety. Jeśliby zaś i w tym drugim życiu błędziła, wstąpi w ciało zwierzęce, zależnie od swych uczynków; tak odradzając się wciąż na nowo nie przestanie cierpieć, póki się nie oczyści i nie powróci do stanu, od którego bieg swój zaczęła.

WIELOŚCIANY

Odczytując na nowo dialog *Timajos* napotkałem w dalszym jego ciągu rozważania bardzo zawile. Chodzi mianowicie o problem, jakiego to kształtu są cząsteczki owych czterech pierwiastków, z których zbudowany jest wszechświat. Otóż uczony Timajos najpierw ustala, że podstawowa ich forma to zestawienia różnych trójkątów; a więc ścianki brył muszą być trójkątne. Następnie przeprowadza dowód, że elementy, a raczej cząsteczki ognia, są czworoscienne, ziemi sześcioscienne, powietrza ośmio-, a wody dwudziestościenne.

Cała ta partia dialogu wydaje mi się szczególnie trudna, zapewne z tej racji, że sam nigdy nie celowałem znajomością zasad geometrii i arytmetyki. Przyznaję, się do tego z wielkim żalem, dobrze bowiem pamiętam, że nad wejściem do Akademii widnieje prastary napis, wyryty ponoć z polecenia samego Platona:

„Nie znającym matematyki wstęp wzbroniony.”

Zapewne niegdyś przestrzegano tego zakazu; dziś nawet wykładający tam mistrzowie chybą nie potrafili przeprowadzić poprawnego dowodu geometrycznego jakiegoś bardziej skomplikowanego twierdzenia.

Właśnie gdy biedziłem się nad zrozumieniem tych rozdziałów *Timajosa*, powrócił do Oei Poncjana; przez jakiś bowiem czas przebywał w jednym z majątków na wsi. Niezbyt miałem ochotę znowu wdawać się w dyskusję o pożytkach małżeństwa z Pudentillą, bo sam już dobrze i wszechstronnie przemyślałem tę sprawę. Zresztą od czasu historii z Tallusem pomiędzy mną a panią domu nawiązała się nić cichego porozumienia. Byłem pewien, że potrafimy doprowadzić rzecz do szczęśliwego zakończenia bez cudzej pomocy, oczywiście gdy czas dojrzeje. Toteż kiedy Poncjana wszedł do mojego pokoju, od razu po pierwszych słowach powitania zagadnąłem go, jak właściwie rozumie naukę Platona o budowie pierwiastków, a zwłaszcza

cza jak sobie wyobraża owe bryły o ściankach trójkątnych. Poncjani również nie miał jasnego obrazu figur geometrycznych. Znalazł wszakże wyjście nieoczekiwane. Powiedział, że jest tu, w Oei, pewien rzemieślnik – ni to stolarz, ni to rzeźbiarz – który wykonuje w swym warsztacie przedziwne przedmioty o wymyślnych kształtach.

Zaraz też tam poszliśmy, by sprawdzić, czy nie znajdzie się coś, co by przypominało wielościany Timajosa.

TAJEMNICZA SPRAWA POSĄŻKA

Warsztat Korneliusza Saturnina mieścił się w uliczce wąskiej i mrocznej; był cały otwarty na zewnątrz. Właściciel, starzec chuderlawy, o bardzo przenikliwym spojrzeniu, siedział tuż przy wejściu na niskim stołeczku; pilnie coś majstrował, dopasowując cienkie deszczułki bukszpanowe.

Stanąłem jak wryty, gdym ujrzał kunsztowne dzieła, ustawione na stole pod ścianami. Były tam przeróżne figury znane z geometrii, płaskie i bryły o ścianach krągłych lub ostrych. Były też rzeźby, jedne maleńkie, inne wcale okazałe, wyobrażające bogów, ludzi, zwierzęta. Doprawdy, Saturnin potrafił kształtować drewno niby glinę! Choć nie odnaleźliśmy wśród mnóstwa jego prac niczego, co by dokładnie odpowiadało owym cząsteczkom opisanym w *Timajosie*, zrozumieliśmy od razu, że mistrz potrafiłby bez trudu odwzorować w drzewie każdy wielościan zbudowany z trójkątów.

Pełen zachwytu dla talentu i umiejętności tego skromnego rzemieślnika wdałem się z nim w dłuższą rozmowę, choć nie był to człowiek gadatliwy. Zapytałem, czy nie mógłby wykonać dla mnie pewnej dość wymyślnej maszyny; miał to być rodzaj zabawki, ale o poważnym, niemal naukowym przeznaczeniu. Opracowałem projekt tego urządzenia jeszcze w Madaurze, tam jednak nie mogłem znaleźć odpowiedniego majstra. Tymczasem Saturnin w lot pojął, o co chodzi i jak ma działać owa maszyna; obyło się nawet bez szkicu. Wyczułem, że ogromnie mu się podoba praca tego typu, wymagająca sporo kunsztu i dowcipu. Nie tylko więc zgodził się ukończyć rzecz szybko, ale jeszcze sam zapytał, czy nie potrzebowałbym posążka jakiegos bóstwa.

Zupełnie jakby czytał w moich myślach! Nim jednak zdołałem odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się Poncjani:

– I po cóż ci taki posążek? Mało to mamy w domu? A jeśli już to wolałbym statuetkę nie z drewna, lecz z metalu!

Wyjaśniłem Poncjaniowi, że zwykłem zawsze mieć przy sobie podobiznę bóstwa; stawiam ją w pokoju, w którym pracuję, i cześć oddaję, a w dniach świątecznych palę przed nią kadzidło; kiedy zaś zmęczone pracą myślową, w niej szukam odpoczynku. Wyjeżdżając z Madaury nie wziąłem ze sobą żadnej statuetki, miałem bowiem nadzieję, że wnet dotrę do Aleksandrii i tam nabędę coś odpowiedniego, prawdziwie egipskiego, uświęconego tradycją wieków. Przy końcu pozwoliłem sobie na mały wykład, nie bez ukrytej myśli, że przypodobam się mistrzowi:

– A co się tyczy kwestii, z jakiego materiału ma być wykonany posążek, należy zawsze pamiętać o naukach Platona, zawartych w dwunastej księdze *Praw*. Mowa tam o tym, że składając ofiary bogom godzi się we wszystkim zachować umiar. I tak, ponieważ ziemia oraz ognisko domowe są już same przez się bóstwom poświęcone, nie musi się raz jeszcze, specjalnym aktem, oddawać ich nieśmiertelnym. W bardzo wielu krajach przedmioty ze złota i srebra stanowią ozdobę domów prywatnych, a także bożych przybytków. Jednakże te drogie metale wywołują zawiść i pożądliwość. Natomiast kość słoniowa pochodzi z martwego zwierzęcia, nie jest więc czystym darem. Nie wolno wreszcie zapominać, że spiż i żelazo służą jako narzędzia wojny. Jakież stąd wnioski? Kto pragnie ofiarować dar prawdziwie miły,

winien użyć materiału pozornie najskromniejszego, ale właśnie dlatego najwłaściwszego, a więc drewna lub kamienia!

Saturnin był wyraźnie zadowolony z tej przemowy. Toteż gdyśmy już odchodzili, powiedział:

– Zrobię naprawdę piękny posążek Merkurego.

Zatrzymałem się zdumiony. Przecież skutkiem zapomnienia w ogóle mu nie wskazałem, jakiego to bóstwa chciałbym mieć statuetkę! Istotnie jednak przez cały czas myślałem o Merkurym-Hermesie. Może Saturnin zdołał to odgadnąć z tej prostej przyczyny, że ów bóg jest od prawieków i we wszystkich krajach cywilizowanych opiekunem poetów i filozofów? Może. Kto wie jednak, czy tajemniczy mistrz snyderstwa nie odczytuje cudzych myśli?

SPOTKANIE Z RUFINEM

Uszliśmy zaledwie kilka kroków, gdy zastąpił nam drogę Herenniusz Rufinus. Otyły, łysy, obleśny, pozdrowił nas z wylewną serdecznością, choć po prawdzie znał dobrze tylko Poncjana; ze mną widział się dotychczas chyba raz, po mojej sławnej deklamacji w bazylice miejskiej. Łatwo było odgadnąć, czemu to obecnie szuka naszego towarzystwa, ludzi stosunkowo młodych i majątnych; cała bowiem Oea plotkowała już od lat z wielką uciechą o tym człowieku i o jego sprawach domowych.

Scharakteryzować go można krótko i precyzyjnie: pieniacz, fałszerz, oszczerca, intrygant, żarłok, rozpustnik, od dzieciństwa deprawowany i deprawator. Już jako chłopiec chętnie służył do wszelkich bezeceństw. Jako młodzieniec, nim zeszpeciła go łysina, występował na scenach teatrów, tańcząc w sztukach pantomimicznych; a tańczył tak – mówili mi ci, co widzieli – jakby w ogóle nie miał ścięgien i kości; była to wszakże miękkość bez sztuki, rozlazła i prymitywna. Panuje opinia, że jedyne, co w nim było z prawdziwego aktora, to bezwstyd. Gdy doszedł do wieku dojrzałego, cały jego dom stał się rajfurski. Żona jest ladaczną, o tym wszyscy wiedzą, synowie zaś uczą się od ojca. Dniami i nocami jurna młodzież kopie w bramę i wyśpiewuje na ulicy lubieżne piosenki. W jadalni pijacy, w sypialni gachy. Układ pomiędzy tą parą małżeńską jest powszechnie znany. Kto ofiaruje żonie ładny prezent, swobodnie wchodzi i wychodzi, kiedy zechce, nikt nawet nie zwróci nań uwagi. Ale jeśli ktoś ośmieliłby się przyjść z próżnymi rękami, na dany znak służba łapie go jako uwodziciela. I nie wcześniej opuści dom tak gościnnie, póki nie udowodni, że umie się podpisywać.

Trzeba wszakże, jak sędzę, ulitować się nad biedakiem. Co ma robić, skoro zmarnotrawił już cały majątek, ponad spodziewanie odziedziczony po ojcu? Ten bowiem, zadłużony po uszy, wołał pieniądz niż honor. Zewsząd atakowali wierzyciele, a kiedy wychodził na ulicę, każdy niemal przechodzień starał się go schwytać, goniąc jak za furiatem, groźnym dla otoczenia. Rzekł więc pewnego razu: Pokój z wami! – i oznajmił, że jest niewypłacalny. Ugodził się co do jakiejś części z wierzycielami i odrzucił wszystkie oznaki swego dostojnego stanu. Wpierw jednak większą część majątku przepisał, przy pomocy arcysprytnego kruczka prawnego, na nazwisko żony. Żył odtąd jako człowiek ubogi, niczego nie posiadający, bezpieczny własną hańbą. Za to swemu synowi, Rufinowi, pozostawił trzy miliony; tyle bowiem otrzymał on w spadku z majątku matki. Wszystko to wszakże Rufinus zdołał przepuścić w ciągu zaledwie kilku lat. Można by rzec, że lęka się panicznie, by nie mówiono, iż cokolwiek zyskał dzięki ojcowemu oszustwu.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym żona, już nie pierwszej młodości, oznajmiła, że nie będzie utrzymywać całego domu. Trzeba było rozejrzeć się za jakimś sposobem wyjścia z biedy. Ponieważ córka już podrosła, zacny ojciec postanowił wydać ją za kogoś zamożnego. Oferował dziewczynę – głośno o tym było w całym mieście – co majątniejszym młodym ludziom: podobno niektórzy otrzymywali ją nawet na próbę.

Było więc zupełnie oczywiste, jakie to krył w sercu zamiary, gdy jął nas ścisnąć i obejmować w owej wąskiej uliczce, przy której mieścił się warsztat Saturnina.

SZKIELET I KRÓL

Bystre oczka naszego nowego przyjaciela oczywiście od razu spostrzegły, skąd wyszliśmy. Zaczął więc natrętnie wypytywać, co też porabialiśmy u tego dziwaka Saturnina. Nie omieszkał zaś dorzucić półszepsem, z miną bardzo znaczącą, że mógłby nam sporo o nim powiedzieć, bo człowiek to niesamowity.

Rufinowi chodziło oczywiście o to, by nas zaciekawić, wciągnąć w rozmowę i w ten sposób podbudować znajomość, którą następnie skierowałyby umiejętnie ku celom sobie użytecznym. Wprawdzie osoba niezwyklego rzemieślnika rzeczywiście mnie interesowała, wołałem wszakże pozbyć się obmierzłego starucha. Na poczekaniu więc wymyśliłem bajeczkę:

– Wiemy o wszystkim. Właśnie dlatego wybraliśmy się do niego. Na razie zamówiliśmy tylko drewnianą figurkę kościotrupa, bo to rzecz po prostu niezbędna. Mając ją wystarczy wymówić odpowiednie zaklęcia i już zyskuje się moc nad światem zmarłych!

Rufinus spojrział na mnie z niedowierzaniem, ale też jakby ze strachem. Zapewne słyszał już coś o tym, że studiuje filozofię, a może nawet doszły doń jakieś plotki o moich próbach uleczenia Tallusa z choroby. Oea doprawdy nie jest wielkim miastem i cokolwiek się wydarzyło w którymś ze znamienitszych domów, wnet stawało się wiadome wszystkim. Ale twarżda to była sztuka! Nie dał się zbyć byle czym. Uznał, że mówię raczej poważnie, toteż chętnie podjął ciekawy temat:

– I ja o tym słyszałem. Mam tu w Oei przyjaciela, Krassus się nazywa, który co roku kilka miesięcy spędza w Aleksandrii. I teraz tam siedzi. Otóż nie tak dawno pokazał mi złoty pierścień, kupiony w Egipcie, podobno od kapłana. Wyryty jest na nim taki obraz: stoi wyprostowany lew, zamiast głowy ma on królewski znak Izydy, a prawą łapę opiera na czaszce leżącego kościotrupa. Krassus przysięgał, że pierścień ma cudowną moc nie tylko leczenia, lecz nawet czynienia człowieka niewidzialnym. A tajemniczy znak nazywa się podobno „król nad szkieletem”.

Poncjan, pragnąc popisać się wiedzą w tej materii, zrobił nam na miejscu mały wykład o symbolach i nazwach, którymi posługują się nauki tajemne; bo taki szkielet, jeśli został zrobiony z odpowiedniego drzewa nosi imię króla, czyli po grecku *basileus*; a to dlatego, że władca wszystkimi bóstwami oraz istotami żyjącymi. Kończąc zaś dodał uprzejmie:

– Ale drzewo musi być specjalne, rzadkie i drogie. Nie taki sobie zwykły bukszpan. Najlepsze byłoby hebanowe. Ja ci się postaram o nie, Apulejuszu. Znam pewną matronę, która ma skrzynecką hebanową.

Miałem już dość tej rozmowy, choć obserwowanie miny Rufinusa było dobrą zabawą; nie wiedział bowiem, czy z niego drwimy, czy też poważnie i otwarcie przyznajemy się do uprawiania ponurych praktyk magicznych. Byliśmy już na forum. Powiedziałem, że muszę jeszcze odwiedzić kogoś znajomego, pożegnałem się i szybkim krokiem odszedłem. Miałem pewien żal do Poncjana. Mówiąc bowiem o „królu” uczynił przejrzystą aluzję do jednej z najtajniejszych nauk naszej Akademii. Sam Platon wyklada ją tylko pod postacią symboli w pewnym miejscu listu drugiego. Píše tam do Dionizjosa:

„Twierdzisz, że natura tego, co zowie się «Pierwsze», nie została ci okazana w sposób dostateczny. Należy więc powiedzieć ci o tym, ale przy pomocy symboli, aby jeśli tę tabliczkę spotka coś złego na morzu lub na ziemi, odczytujący nie zrozumiał treści. Rzecz ma się tak: wszystko, co jest, jest w stosunku do króla wszystkiego; z jego przyczyny wszystko, i on jest sprawcą wszystkiego, co piękne. W stosunku do «Wtórego» jest wszystko wtóre, a w stosunku do «Trzeciego» wszystko trzecie.”

Z drugiej wszakże strony – rozmyślałem po drodze – Platon chętnie korzystał z przypowieści o cudach i magii. Także o pierścieniu, który daje posiadaczowi moc niezwykłą. Co prawda zawsze wiąże się to z jakimś wielkim, ogólnym zagadnieniem. Tak właśnie jest w drugiej księdze *Państwa*, gdzie Glaukon, brat Platona, rozwija myśli w gruncie rzeczy zgodne z tezami ateisty – Kritiasa; nauczał on, jak już mówiłem, że boga wszystkowiedzącego wymyślono, aby powstrzymać ludzi od czynienia źle.

PIERŚCIEŃ GIGESA

Glaukon wystąpił ze śmiałym twierdzeniem. Uczynił to chyba wbrew własnym przekonaniom, trochę z przekory, ale głównie po to, by zmusić Sokratesa do pełnego wyłożenia swych poglądów. Otóż twierdzenie Glaukona brzmiało w swej osnowie następująco:

Ludzie postępują sprawiedliwie i uczciwie tylko dlatego, że nie mają dość sił i odwagi, by czynić to, czego naprawdę pragną i co by było dla nich rzeczywiście korzystne.

Podając różne argumenty na poparcie swej tezy Glaukon przytacza też pewną opowieść legendarną:

Było to przed wiekami. Żył wówczas w Lidii prosty człowiek, niejaki Giges, który służył królowi tej krainy i pasał jego trzody. Zdarzyło się pewnego razu, że spadły gwałtowne deszcze, a po nich przyszło trzęsienie ziemi. W okolicy, w której wtedy Giges przebywał, ziemia pękła w jednym miejscu i jakby się rozwarła. Pasterz śmiało zapuścił się w głąb rozpadliny. Ujrzał tam rzeczy przedziwne. W pieczarze stał olbrzymi koń ze spiżu, a w jego tułowiu znajdowały się drzewczki. Giges otworzył je i zajrzał do środka; zobaczył zwłoki wielkoluda. Trup był całkiem nagi, ale na palcu miał wspaniały pierścień. Pasterz zdjął go i jak najszybciej wyszedł z powrotem na światło dzienne.

Wkrótce potem wszyscy pasterze okoliczni zebrali się, by wspólnie przeliczyć trzody i zdać sprawę królowi. Giges jak zwykle usiadł wśród towarzyszy. Przypadkowo, bawiąc się pierścieniem (a może starając się ukryć przed nimi przedmiot tak drogocenny?), odwrócił go kamieniem ku dłoni. Ku swemu zdumieniu wnet spostrzegł, że tamci zaczynają się rozglądać i dopytywać, gdzie podział się Giges; rozmawiają o nim jakby o nieobecnym i dziwią się, że znikł tak nagle. Po chwili więc znowu odwrócił kamień na zewnątrz i od razu stał się widzialny. Tym sposobem stwierdził, że pierścień ma cudowne właściwości i zaczął przemyśliwać, jak by je spożytkować. Podjął się posłowania do króla, by go powiadomić o liczebności i stanie trzód. Ale gdy znalazł się w pałacu, wykorzystał moc pierścienia. Najpierw uwiódł żonę króla, a potem wspólnie z nią zamordował go i sam zasiadł na tronie.

Z tej opowieści Glaukon wyciągał wnioski ogólniejsze. Mówił:

– Załóżmy, że na świecie znajdują się dwa takie pierścienie. Jeden z nich dostał się do rąk człowieka uczciwego, drugi natomiast – zwyczajnego łajdaka. Jestem przekonany, że obaj korzystaliby z czarodziejskiego środka tak samo. Bo przecież nawet najuczciwszy człowiek z całą pewnością nie oparłby się przemożnej pokusie: móc czynić zupełnie bezkarnie wszystko, na co tylko przyjdzie ochota! Wchodziłby więc do każdego domu i zabierał, co by mu się spodobało. Mógłby też zabijać swobodnie i znieścacka, a także uwalniać z więzień. Byłby niemal bogiem.

Tym sposobem Glaukon doszedł do takiej konkluzji:

– Pierścień Gigesa, gdyby rzeczywiście istniał, dowiódłby naocznie, że każdy woli postępować nieuczciwie, jeśli tylko nie grozi mu za to odpowiedzialność.

RZĄDY KRITIASA

Kritias w każdym razie postępował, jak by miał pierścień Gigesa. Niczego się nie lękał, na nic nie zważał, a już najmniej na opinię społeczną. Był – lub sądził, że jest – ponad dobrem i złem. Dość już podałem przykładów, jak tyrańsko rządziła Komisja Trzydziestu, której on przewodził. Chciał możliwie ściśle związać ze sobą także Platona, jako członka rodziny. Oczywiście nie mógłby on wejść w skład Komisji lub Rady, był bowiem zbyt młody, liczył lat dopiero dwadzieścia cztery. Zapewne więc myślano o powierzeniu mu jakichś funkcji nieoficjalnych, lecz ważnych. Sam Platon początkowo zastanawiał się i wahał. Wynika to jasno ze słów listu siódmego, które mają służyć jako swego rodzaju usprawiedliwienie:

„Nie należy się dziwić, że ulegałem wtedy pewnym złudzeniom; byłem przecież bardzo młody. Wydawało mi się, że te rządy poprowadzą państwo od zła ku praworządności. Dlatego pilnie baczylem, jak będą postępować nowi władcy.”

Owe wahania Platona można zrozumieć. Demokraci, którzy kierowali państwem poprzednio, splamili się wielu zbrodniami, zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej; oni też ponosili główną odpowiedzialność za klęskę wojenną. Spodziewano się więc powszechnie, że nowy rząd wyciągnie naukę z oczywistych błędów minionego ustroju i będzie postępował rozsądniej. Należy również pamiętać, że początkowo Komisja Trzydziestu nie stosowała metod nazbyt surowych i bezwzględnych. Terror narastał stopniowo. W ostatniej fazie jego ofiarami byli nie tylko zwykli obywatele i mieszkańcy Aten, lecz nawet sami członkowie Komisji. Kritias doprowadził do zguby swego towarzysza rządów, Teramenesa, zwolennika kursu umiarkowanego. Upadek tego człowieka dokonał się publicznie. Rada, do której Teramenes się odwołał, zachowała grobowe milczenie, a to ze strachu przed zbirami Kritiasa i mieczami spartańskiej załogi. Nikt nie zaprotestował ani słowem, gdy siłą oderwano niešťczęśnika od ołtarza i w biały dzień wleczono go przez rynek do więzienia, gdzie musiał wypić dzban cykuty.

Potem Kritias rządził nie oglądając się na nic. Prześladowano co majątniejszych obywateli, skazywano na śmierć ludzi zupełnie niewinnych. Ogólna liczba zamordowanych wyniosła, jak już wspomniałem, chyba ponad tysiąc pięćset osób. Około pięciu tysięcy szukało ratunku za granicami Aten. Najwięcej uchodźców zebrało się w Tebach. Na ich czele stał Trazybul.

A jak reagował Platon na te wydarzenia? Sam stwierdza, że najbardziej wzburzyły go usiłowania Trzydziestu, by zmusić Sokratesa do udziału w zbrodniach. W liście siódmym dodaje następnie ogólnikowo:

„Patrzyłem na to wszystko i jeszcze na inne sprawy, całkiem nie bez znaczenia. Wstręt mnie ogarnął. Toteż odsunąłem się od zła, które wówczas się działo. Ale niedługo potem upadły rządy Trzydziestu i cały tamten ustrój”.

Tak, w jednym tylko zdaniu, Platon zbywa niezwykle dramatyczne wypadki, które rozegrały się w Atenach w drugim roku olimpiady 94 [rok 403 p.n.e.]. A przecież dotknęły one także jego rodzinę, i to jakże boleśnie! Może właśnie dlatego wołał nie rozwodzić się nad minioną tragedią?

POWSTAŃCY W FILE I ZBRODNIA W ELEUSIS

Z początkiem zimy grupa siedemdziesięciu emigrantów pod wodzą Trazybula skrycie wyruszyła z Teb i przez góry wkroczyła na ziemie Attyki. Tutaj opanowała małą twierdzę w miejscowości File; leży ona na stokach góry Parnes, od Aten zaś jest odległa tylko o pół dnia drogi. Na wiadomość o tym Komisja Trzydziestu natychmiast wyprowadziła z miasta trzy tysiące ciężkozbrojnych piechurów oraz oddział jazdy; w wojsku służyli tylko ci obywatele, którym Komisja mogła ufać całkowicie.

Wydawało się, że siły te aż nadto wystarczą, by za jednym uderzeniem zgnieść garstkę zuchwalców. Ale kiedy co młodsi żołnierze ruszyli ku murom forteczki, posypał się stamtąd grad pocisków i strzał; toteż szturmujący zaraz odstepili, unosząc sporo rannych. Mimo to nikt nie wątpił, że zagłada powstańców jest tylko kwestią czasu, i to krótkiego. Aby nie narażać swych ludzi na niepotrzebne straty, Komisja postanowiła otoczyć forteczkę wałem i tym sposobem odciąć ją od wszelkich dróg zaopatrzenia. Jednakże po dotychczasowej pięknej pogodzie w nocy nastąpiła gwałtowna zmiana; bez przerwy padał gęsty śnieg. Nie przygotowani na to żołnierze, stojący pod gołym niebem, dotkliwie cierpieli od zimna. Postanowiono więc zrezygnować na razie z budowy wału. Wojsko powróciło do miasta. W czasie marszu nie obyło się bez pewnych strat, powstańcy bowiem uczynili śmiały wypad na tabory i zagarnęli sporo zwierząt jucznych.

Tutaj muszę uczynić pewną uwagę. Wydaje mi się rzeczą wielce prawdopodobną, że w wyprawie przeciw powstańcom wzięli też udział bracia Platona, a może on sam. Wszyscy oni bowiem byli w odpowiednim wieku, posiadali znaczny majątek rodzinny, a z przywódcami Komisji wiązało ich bliskie pokrewieństwo.

Po tym pierwszym niepowodzeniu Komisja wysłała pod File Spartan i część jazdy. Oddział ten stanął obozem w pobliskim mieście i stamtąd miał czuwać, aby powstańcy nie zaopatrywali się w żywność. Tymczasem do Trazybula dołączyło już wielu ludzi z okolicy; obecnie miał on pod swymi rozkazami około siedmiuset zbrojnych. Na ich czele zstąpił cichaczem z górskiej twierdzy i wczesnym rankiem znieacka uderzył na stanowiska nieprzyjaciół. Atakujący położyli trupem około stu dwudziestu hoplitów i kilku jeźdźców. Reszta uciekła w popłochu aż do samych Aten. Oczywiście stamtąd natychmiast pospieszyły posiłki, lecz Trazybula był już bezpieczny za murami górskiej twierdzy.

Porażka sprawiła, że Komisja zaczęła niepokoić się o przyszłość. Licząc się z najgorszym uznała, że trzeba z góry przygotować miejsce, w którym można by się bronić w razie ataku powstańców na same Ateny. Wybór padł na okręg świątynny w Eleusis, obszerny i otoczony murami. Jak już bodaj wspominałem, miejscowość ta leży niezbyt daleko od Aten, jakieś pół dnia drogi; wokół niej rozciąga się żyzna równina, okalająca piękną zatokę morską. Kritias wyjechał tam natychmiast i podstępnie uwięził wszystkich mężczyzn. Odstawił ich do Aten, a następnie zwołał do wielkiej sali koncertowej – zwie się Odeon, zbudował ją Perykles – zebranie owych trzech tysięcy najzamożniejszych obywateli, którzy stanowili ostoję rządu. Oświadczył im z brutalną szczerością:

– W budowie i trwałości obecnego ustroju zainteresowani jesteśmy zarówno my, członkowie Komisji, jak i wy wszyscy. Stąd oczywisty wniosek, że musicie ponosić swoją część ryzyka. Jest waszym obowiązkiem skazać na śmierć więźniów z Eleusis, aby ta sama odpowiedzialność obciążała nas wszystkich.

Zarządzono głosowanie jawne. Ponieważ w drugiej części Odeonu znajdowali się uzbrojeni Spartanie, jego wynik był zgodny z życzeniami Kritiasa.

Mnie zaś nasuwa się pewne pytanie: jak głosowali bracia Platona? Chyba byli obecni na zgromadzeniu, bo przekroczyli już trzydziesty rok życia.

W każdym zaś razie zbrodnia popełniona przez Kritiasa na mieszkańcach Eleusis tłumaczyłaby, dlaczego Platon nie został wtajemniczony w tamtejsze misteria.

BITWA W PIREUSIE

W jakiś czas potem, już wiosną, Trazybula skupił wokół siebie około tysiąca ludzi. Spod File przeszedł ku Pireusowi; nocą opanował port i miasto. Ale siły jego były zbyt szczupłe, by bronić całego obwodu murów. Toteż gdy od Aten stawiły się wojska Trzydziestu wraz z oddziałem Spartan, powstańcy wycofali się na wzgórze Munichia. Tam właśnie wznosiła się

owa świątynia trackiej bogini Bendis i tam corocznie odbywały się procesje i nocne wyścigi konne z pochodniami; jak przypomniałem wyżej, niegdyś podziwiał te obchody Sokrates i bracia Platona, a może i sam Platon.

Ludzie Trzydziestu stanęli w zwartych, głębokich szeregach na rynku Pireusu. Było ich znacznie więcej niż powstańców, ale znajdowali się w gorszym położeniu. Gdyby bowiem chcieli atakować, musieliby iść pod górę. To narażało ich bardziej na pociski i strzały; zresztą powstańcom sprzyjała także ludność miejscowa, która w braku innej broni razila ciemieczów kamieniami. Kiedy doszło do bitwy, wojska Trzydziestu nie popisały się odwagą. Legło spośród nich tylko siedemdziesięciu – ale wśród zabitych był zarówno Kritias, jak i Charmides. Reszta uciekła w popłochu.

Zwycięzcy zachowali się na pobojowisku bardzo rycersko. Poległym odebrali tylko oręż. Wnet przybyli po ciała krewni z miasta. Wśród nich na pewno był ktoś z domu Platona, może nawet on sam, jako że oddanie zmarłym ostatniej posługi należało do najświętszych obowiązków rodziny.

Wytworzyła się więc taka sytuacja, że Pireus znalazł się w ręku Trazybula, same natomiast Ateny pozostawały pod władzą uszczuplonej Komisji i jej popleczników. Jednakże nastroje wśród tych ostatnich były tak burzliwe, że już następnego dnia Trzydziestu musiało ustąpić z miasta. Wyjechali do Eleusis, do owego świętego okręgu, który tak przewidująco zabezpieczył Kritias, a na ich miejsce powołano nową Komisję, Dziewięciu.

Istniały więc obok siebie jakby dwa, a może i trzy państwa: demokratyczne w Pireusie, oligarchiczne w Atenach, tyrańskie w Eleusis. Stan ten utrzymywał się prawie przez całe lato. Do walk już nie dochodziło, ale obie strony, ci z Pireusu i z Aten, czyniły wypadki na okoliczne pola; tam od czasu do czasu zdarzały się krwawe utarczki.

Wówczas dopiero Lacedemon zdecydował się na bezpośrednią ingerencję w sprawy ateńskie. Do Attyki wkroczyły wojska Spartan. Gdyby od razu uderzyły na powstańców w Pireusie, ci musieliby się poddać. Jednakże w łonie rządu lacedemońskiego ścierały się dwie tendencje, podsycane wzajemnymi animozjami pomiędzy królem Puzaniaszem a doświadczonym wodzem Lizandrem. Ponieważ ten ostatni stanowczo domagał się, by ruch Trazybula zgnieść jak najszybciej, król Puzaniasz z przekory doprowadził do porozumienia pomiędzy Atenami a Pireusem. Zasadnicze warunki były proste: w całym państwie przywraca się ustrój demokratyczny, ale nikt z obywateli nie będzie pociągany do odpowiedzialności za czyny popełnione w minionym okresie – z wyjątkiem tych osób, które wchodziły w skład Komisji Trzydziestu, Jedenastu i Dziewięciu. Ogłoszono więc, po raz pierwszy w dziejach Aten, amnestię polityczną.

Powstańcy z Pireusu jesienią wkroczyli do miasta jako zwycięzcy. Najpierw udali się na Akropol, gdzie złożyli ofiarę dziękczynną bogini Atenie, opiekunce ludu i państwa.

PLATON I DEMOKRACI

Dla Platona i jego bliskich owe miesiące pełne były denerwującego napięcia i niepokoju o przyszłość. Żałoba w domu panowała od chwili śmierci obu krewnych; później zaczęto się obawiać, by zwycięzcy demokraci nie podeptali uroczystej przysięgi i nie zapragnęli wziąć pomsty za wszystkie czyny Komisji Trzydziestu. Mogliby uwięzić i wygnąć stronników dawnego reżimu oraz skonfiskować ich majątki. W takim wypadku Platon i jego bracia ucierpiełoby jako jedni z pierwszych, ponieważ byli siostrzeńcami Charmidesa i Kritiasa.

Jednakże nikomu nie stało się nic złego. Demokraci dotrzymani słowa. Arystoteles, kreśląc w kilkadziesiąt lat później dzieje ustroju Aten, tak charakteryzuje ów okres:

„Zarówno jednostki, jak i ogół zachował się wobec minionych nieszczęść tak pięknie i z takim rozumem jak nigdzie. Nie tylko bowiem wymazali z pamięci przewinienia w przeszło-

ści, ale nawet oddali Lacedemończykom pieniądze, które rząd Trzydziestu pożyczył na wojnę, chociaż w zawartym układzie postanowiono, że obie strony, to jest oligarchowie z miasta i powstańcy z Pireusu, mają spłacić swe długi oddzielnie. Sądzieli jednak, że od tego przede wszystkim trzeba zacząć zgodę. Natomiast w innych miastach zwycięskie stronnictwo ludowe nie tylko nie dokłada jeszcze ze swego, ale nawet przeprowadza nowy podział ziemi. Także i z tymi obywatelami, którzy osiedlili się w Eleusis, pogodzili się w trzy lata po ich wyemigracji.”

Platon, świadek wydarzeń, nie jest co prawda tak entuzjastyczny w ocenie nowego rządu. Biorąc wszakże pod uwagę jego specyficzną sytuację rodzinną, należy uznać, że powściągliwe słowa listu siódmego są i tak nader wymowne:

„Znowu więc, choć nie tak silnie jak poprzednio, ale jednak zaczęła kusić mnie chęć zajęcia się sprawami społecznymi i politycznymi. Wprawdzie działo się wówczas, jak to zwykle w okresie zamętu, wiele rzeczy, na które słusznie można by się oburzać. Nie należy się dziwić, że w trakcie gwałtownych zmian poniektórzy zbyt surowo mścili się na swych wrogach. Wszelako ci, co wówczas powrócili do miasta, zachowywali wielką powściągliwość.”

Tak więc Platon wahał się, obserwował, czekał. Za to tym chętniej i gorliwiej przestawał z Sokratesem.

ŚLONECZNY DZIEŃ NAD RZEKĄ

Wnet po obaleniu Trzydziestu Tyranów do Aten powrócił Lizjasz. Ten sam, o którym była już mowa: syn Kefalosa, brat Polemarcha, zgłodzonego przez Komisję. Lizjasz, pojmany w dniach terroru, cudem tylko się uratował. Zbiegł najpierw do Megary, a stamtąd do Syrakuz, skąd pochodziła jego rodzina. Obecnie usiłował odzyskać skonfiskowany majątek, co mu się jednak nie udało.

Lizjasz był już cenionym adwokatem i sławnym mistrzem retoryki. Wprowadzał do Aten pewne chwytły i sposoby argumentacji, które już dawniej wynaleziono w Syrakuzach. Tutejszej publiczności, jeszcze nie obznajmionej z błyskotliwością nowego rodzaju krasomówstwa, łatwo było zaimponować; grupy przyjaciół i wielbicieli Lizjasza zbierały się w różnych domach prywatnych, gorąco przyjmując jego wypowiedzi i odczyty.

Temat jednej z mów stanowiło twierdzenie bardzo paradoksalne: młodzieniec, który jest przedmiotem starań miłosnych, winien wybrać właśnie nie wielbiciela, lecz kogoś, kto szczerze wyznaje, że nie jest zakochany. Argumentacja była zręczna, przewrotna, płytka. Mimo to jeden z młodych słuchaczy, Fajdros, wyszedł oczarowany. Zdołał zdobyć rękopis Lizjasza i wprost z popisu swego mistrza udał się na przechadzkę za miasto; chciał niejako wytrzeźwieć po tym upajającym przeżyciu i raz jeszcze odczytać rzecz tak wspaniałą. Zresztą Fajdros słuchał Lizjasza od rana, obecnie było już po południu, wypadało przespacerować się nieco. A ponieważ przyznawał rację tym, którzy zalecali odpoczywać nie na ulicach, lecz wśród pól, poszedł drogą wiodącą za mury.

Spotkał Sokratesa. Starzec wnet zeń wyciągnął, skąd idzie, kogo słuchał, dokąd zmierza. Wybrali się więc razem, bo i Sokrates był ciekaw Lizjaszowej mowy. Idąc wzdłuż rzeczki Ilisos pilnie się rozglądali, gdzie by usiąść lub położyć się w cieniu. Doszli wreszcie do jaworu, widnego z daleka; był bowiem wysoki i rozłożysty, a opodal stała piękna wierzba, obsypana pachnącym kwieciami. Tuż pod jaworem tryskało źródło; Sokrates dotknął wody stopą; była bardzo zimna. Wokół stały posążki nimf i bóstw. Powiew szedł miły i łagodny, niosąc ze sobą śpiew świerszczy. Ale nade wszystko rozkoszna była trawa; zapraszała, by się na niej rozciągnąć.

Sokrates chwalił to miejsce z takim zachwytem, że Fajdros się zdziwił:

– Cóż za niezwykle człowiek z ciebie! Mówisz, jakbyś przyjechał tu z daleka i w ogóle nie był rodowitym Ateńczykiem! Rzeczywiście, wydaje mi się, że nigdy nie wychodzisz poza mury miasta.

Sokrates usprawiedliwiał się jak najuprzejmiej; zresztą zawsze celował w zgrabnym posługiwaniu się grzecznymi słówkami, choć czasem brzmiały one nieco ironicznie. Tym razem wysunął znamieny argument:

– Pragnę nieustannie się kształcić, a przecież ziemia i drzewa niczego mnie nie nauczą, lecz właśnie i tylko ludzie w mieście.

Gdy wreszcie wygodnie ułożył się na trawie, od razu poprosił o odczytanie mu mowy Lizjasza.

Taki jest początek platońskiego dialogu, który nosi tytuł *Fajdros* – od imienia owego młodego człowieka. Jak wszystkie inne osoby, występujące w utworach Platona, postać to w pełni realna, choć w historii Aten niczym się nie zaznaczyła. Fajdros był zapewne rówieśnikiem Platona; należał do jego przyjaciół, przestawał z Sokratesem, znał wielu wybitnych ludzi. Wydaje się wszakże, że dla tych pięknych zainteresowań literaturą i sztuką całkowicie zaniedbał troskę o sprawy domowe. Wyczytałem bowiem w pewnej mowie sądowej, że stał się człowiekiem ubogim; z ostatecznej nędzy uratowało go tylko poślubienie dziewczyny, która wniosła mu posag spory, choć nie zawrotnie wysoki.

Platon nie występuje w żadnym ze swych dialogów jako osoba działająca. Twórca skromnie pozostaje w cieniu, jakkolwiek należał do osób najbliższych Sokratesowi w ostatnich latach jego życia. Wysuwa natomiast na plan pierwszy swych krewnych i przyjaciół. Piękny to hołd, złożony ich pamięci! W wielu wszakże wypadkach trudno mi oprzeć się wrażeniu, że Platon, kreśląc tło i scenerię dialogu, posługuje się bardzo osobistymi wspomnieniami; mówiłem już o tym w związku z początkiem *Państwa*. Tutaj sprawa jest nieco trudniejsza i dowieść tego nie potrafię, jestem jednak przekonany, że to nie Fajdros, lecz właśnie sam Platon rozmawiał z Sokratesem w pewien piękny dzień letni nad Ilissosem, u stóp wysokiego jaworu, gdzie tryskała zimna woda źródłana.

Były to szczęsne lata pokoju i swobody.

RADY FAJDROSA

Piękne imię greckie Fajdros można by swobodnie przetłumaczyć jako Promienny. Toteż ilekroć wyobrażam sobie postać tego przyjaciela Platona, widzę młodego człowieka, jaśniejącego urodą, wdziękiem ruchów, świetnością intelektu. Ale gdy obecnie uświadomiłem sobie, że ten uroczy efeb, żyjący, by tak rzec, blaskiem poezji i subtelnością filozoficznych dociekań, w latach późniejszych musiał się rozglądać za kobietą z byle jakim posagiem, bo zdziałał zupełnie, natychmiast przejrzałem: toż i ja wkroczyłem na tę samą drogę! Studia w Atenach, podróże po Grecji, pobyt w Rzymie, obecna wyprawa do Egiptu, wszystko to poważnie naruszyło moje finanse. Uchodziłem wciąż za bogatego, to prawda i w pewnym sensie nim byłem. Odziedziczony po ojcu majątek w Madaurze jest duży, ocenia się go na trzy miliony sesterców. Wszelako ciężą na nim długi. Musiałem bowiem zaciągnąć pożyczki, aby zdobyć gotówkę, a dochody z ziemi nie wystarczały na ich pokrycie; procenty rosły. Losy Fajdrosa uprzytomniły mi, jak bliskie jest niebezpieczeństwo. Mówiłem sobie:

Celem mojego życia jest zgłębienie filozofii i nauk tajemnych, aby przy ich pomocy zbratać się z duchami i wznieść się ku bogom. Nie dla mnie więc uciechy stołu i łoża, nie dla mnie rozkosze życia rodzinnego. Moim obowiązkiem jest praca, nauka, umartwianie ciała i duszy. Nie wynika stąd wszakże, bym miał z góry wyrzekać się pewnych udogodnień, jakie daje dom dobrze urządzony i mądrze kierowany. Oczywiście, jeśli bym wziął sobie żonę młodą, wniosłaby mi wiele kłopotów i ciągły niepokój. Musiałbym jej służyć, dbać o jej stroje, drzeć,

czy mnie nie zdradza, płodzić dzieci. Co innego Pudentilla. To kobieta doświadczona, ma już potomstwo, sprawy łoża tylko o tyle dla niej ważne, o ile to konieczne dla zdrowia. Nikt jej nie uwiedzie. Widzę, że dom potrafi prowadzić znakomicie. Czemuż więc nie miałbym właśnie w jej ręce złożyć troski o uciążliwe drobiazgi codziennego życia? W Madaurze zajmują się tym moje stare wyzwolenice, com je dostał w spadku po rodzicach. Kradną na pewno. A ja nawet nie mam sposobu sprawdzić, czy nie przekraczają miary w swym procederze. Nie sposób przecież jednocześnie badać poglądów Platona oraz chodzić po targu i wypytywać przekupki, po ile dziś suszone ryby i zielenina.

A co do kwestii majątkowych, to tak sobie układałem:

Posag nie musi być wysoki, właściwie nie muszę nawet otrzymywać go w gotówce. Wystarczy, jeśli odpowiedni pieniądz zostanie zabezpieczony w majątku żony. Dom w Madaurze można by zlikwidować, przeniósłbym się tu ze wszystkim. Koszty utrzymania i studiów pokrywałbym z dochodów Pudentilli.

Przez pewien czas niepokoiła mnie jeszcze sprawa wyjazdu do Egiptu. Z tego planu nie chciałem zrezygnować, bo traktowałem podróż jako pielgrzymkę śladami Platona i Pitagorasa. Jednakże w porę przypomniałem sobie, co Rufinus mówił o swym znajomym, jakimś Krassusie; człowiek ten, mieszkając w Oei, znaczną część roku spędzał w Aleksandrii. To był dobry pomysł, godny naśladowania; ostatecznie do stolicy Egiptu było stąd nie tak daleko – byle przejść jakoś wybrzeża Wielkiej Syrty.

OBRAZ KOSMOSU

Pogrążony w rozważaniach tak istotnych nawet nie spostrzegłem, że w drzwiach mego pokoju stanął Korneliusz Saturnin, ów stolarz-artysta, u którego przed kilku dniami zamówiłem statuetkę Merkurego oraz pewne urządzenie. Wszedł trzymając w rękach jakiś duży, choć niezbyt ciężki przedmiot, dobrze osłonięty lnianą płachtą. Postawił go na stole i z widoczną dumą, ruchem niemal teatralnym, ściągnął przykrycie.

Aż klasnąłem z radości. Oto miałem przed sobą model kosmosu, wykonany tak właśnie, jak to sobie wymarzyłem i jak starałem się rzecz słownie wyjaśnić Saturninowi.

Kula ziemską umieszczoną była na wysokiej, rzeźbionej podstawie, ale w ten sposób, że od podstawki do kuli szedł pręt poziomy. Natomiast przez samą kulę przechodziła pionowa oś w kształcie bardzo wydłużonego wrzeciona, a na niej osadzonych było osiem obręczy. Największa z nich, zewnętrzna, oznaczała niebo gwiazd stałych. Kolejno szły obręcze coraz mniejsze, po których krążyły planety: Saturn, Jowisz, Mars, Merkury, Wenus, Słońce, Księżyc. A wszystkie one obracały się wokół nieruchomej kuli naszej Ziemi.

W Atenach i w Rzymie widywałem już podobne urządzenia. Podróżowałem do Aleksandrii właśnie i w tym celu, by tam kupić sobie lub obstałować u dobrego rzemieślnika ów obraz kosmosu; wiadomo przecież, że w Egipcie wciąż kwitną nauki o niebie, a to zarówno dzięki starym szkołom kapłanów, jak też wielkiej bibliotece greckiej i uczonym w niej pracującym. Doprawdy, w najśmielszych marzeniach nie mogłem przypuścić, że tutaj, w Oei, mieścinie nie najświetniejszej, znajdę wykonawcę wręcz znakomitego.

Oczywiście model nie był całkowicie wierny. Bo też z pewnością nikt ze śmiertelnych nie potrafiłby ze zwykłych materiałów i przy pomocy normalnych narzędzi odtworzyć tego, co opisuje Platon pod koniec dziesiątej księgi *Państwa*. Opowiedziana tam jest niezwykła historia Era, syna Armeniosa, który raniony czy też ogłuszony w bitwie leżał bez przytomności wiele dni wśród zabitych. Odnaleziony i uznany za martwego miał już spłonąć na stosie pogrzebowym; ocknął się z letargu dopiero w ostatniej chwili. Otóż ów Er ujrzał na własne oczy losy dusz ludzkich po śmierci, a także oglądał budowę wszechświata, która tak się przedstawia:

Przez cały kosmos przechodzi na wskroś wielka Oś Konieczności, która przebija też znajdującą się w centrum świata Ziemię. Jest osiem kręgów, a raczej sfer, dokładnie nałożonych na siebie. Sfera pierwsza, największa, otula cały wszechświat jakby płaszczem; sfery wewnętrzne poruszają się, mają jednak różne kierunki obrotu i różne prędkości. Najszybszy jest bieg sfery ósmej, czyli księżycowej; wolniej, lecz za to stale jednakowo, obraca się sfera siódma, słoneczna, oraz szósta i piąta, Hermesa i Afrodyty. Różne także są barwy sfer niebiańskich. Pierwsza migoce tysiącami gwiazd; siódma płonie najintensywniej, ósma zaś tylko połyskuje światłem odbitym. I wreszcie: każda sfera ma swoją syrenę, która wraz z nią się obraca i śpiewa odmiennym głosem; wszystkie jednak melodie są od siebie zależne i łącznie tworzą boską harmonię.

Ten obraz kosmosu jest stosunkowo prosty; w rzeczywistości wszakże ruchy planet wydają się bardzo skomplikowane i pozornie trudno je określić. O tym zagadnieniu Platon nieco szerzej wspomina w *Timajosie*. Stwierdza tam ogólnie, że nie da się opisać korowodów planet, ich wzajemnych spotkań, przecinania się torów, po których biegną. Ale i w *Timajosie* mistrz nie wdaje się w żadne szczegóły i nie odsłania tajemnicy planetarnych obrotów. Z jakiej więc racji miałbym wymagać, aby Saturnin, człowiek bystry, lecz nieuczony, przedstawił w drewnianym modelu to, czemu nie sprostały nawet słowa założyciela Akademii? Wiem, że dzisiejsi badacze aleksandryjscy potrafią dużo powiedzieć o drogach planet. Na modele takie jak mój patrzą chyba z uśmiechem pobłażania. Któż jednak zaręczy, czy za dwadzieścia wieków poglądy naszych uczonych nie będą uchodziły za błędne i naiwne? A potem znowu powstaną inne hipotezy, pełniejsze i doskonalsze. Nikt bowiem nie ma prawa powiedzieć o sobie: jam zgłębił i przejrzał w najdrobniejszym szczególe zamysł Demiurga, stwórcy kosmosu. Wszystko, co tylko oglądamy, jest jedynie cieniem i ułamkowym odbiciem wiecznego porządku. Tak zawsze nauczał Platon, ja zaś nigdy nie pojmowałem jego słów tak jasno i naturalnie, jak w owej chwili, gdym po raz pierwszy spojrział na kulę i kręgi z bukszpanowego drewna, wykonane ręką Saturnina.

Myślałem wtedy:

Prawda, że bardzo to niedoskonały i uproszczony obraz kosmosu, ale jednak obraz! Wi-nieniem więc kontemplować i czcić ten przedmiot tak samo, jak czci się posągi bogów. Przecież to właśnie Platon wskazuje, że cały wszechświat jest bogiem, żywym i nieśmiertelnym. Boskimi istotami są również jego części: planety krążące po swych torach i kula ziemską. Posągi bogów olimpijskich oraz wszystkich innych wyobrażają postacie, których nie widzieliśmy nigdy. Co więcej, owi bogowie zostali stworzeni dopiero w drugiej kolejności, już po boskich ciałach niebiańskich. Należy więc przede wszystkim oddawać hołd temu, co pierwsze, potężniejsze, znamienitsze. Nawet w tym wypadku, jeśli odbicie i obraz wiecznego porządku wszechświata jawi się pod postacią tak skromną i kruchą, jak dzieło rzemieślnika z Oei.

PLATON I ASTROLOGIA

Zapytałem Saturnina, jak to się stało, że tak szybko i wiernie wykonał moje zlecenie. Odpowiedział, że ta praca sprawiła mu ogromną radość, bo już od dawna interesują go sprawy gwiazd i nieba; jest przekonany, że rację mają ci, co tamtym zjawiskom przypisują przemożny wpływ na nasze sprawy, a nawet z konstelacji ciał niebieskich odczytują przyszłość; nie zna wszakże tajników tej nauki, zaledwie coś słyszał od miejscowych i przyjezdnych astrologów, którzy stawiają horoskopy na forum lub nawet na jego uliczce; natomiast wysoko ceni moją mądrość i wiedzę, bom przecież studiował filozofię w Atenach; doszło też do jego uszu, jak powszechnie chwalono moją mowę, wygłoszoną przed kilku miesiącami w miejskiej bazylice.

Pochlebily mi te słowa, choć pochodziły z ust człowieka bardzo prostego. Cóż wszakże miałem mu odrzec? Nie studiowałem nigdy zasad astrologii i mam pewne wątpliwości co do metod stosowanych przez wielu jej mistrzów. Mówiąc najogólniej, klienci słyszą od nich dokładnie to, co pragną usłyszeć. Jak łatwo bowiem, przejrzeć tęsknoty i plany ludzi z pospólstwa! A w wypadkach mniej jasnych nie tak trudno ubrać odpowiedź w formę wieloznaczną. Ale z drugiej strony nie potępiam astrologii z gruntu i w całości, wiem bowiem, że już od tysiącleci cieszy się ona ogromnym poważaniem w krajach, z których wywodzi się wiele tajemnych umiejętności.

Zawsze też intryguje mnie pewne miejsce w Platońskim *Timajosie*. Mowa tam o skomplikowanych ruchach i korowodach planet; o tym, jak się spotykają i oddalają od siebie; o tym, że zdarzają się ich koniunkcje i opozycje; o tym wreszcie, że czasem jedna z nich przesłoni drugą. A zaraz potem następuje zdanie:

„W ten sposób ślą obawy i oznaki przyszłości tym, którzy nie potrafią rozumować.”

Pięknie. Wynikałoby stąd, że Platon patrzy z politowaniem na ludzi, którzy chcą odgadnąć przyszłość z takich zjawisk, jak ruchy planet lub też ich zaćmienia, uważa bowiem, że wszystko to odbywa się według pewnych praw, da się więc przewidzieć i ustalić drogą rachunku. Cóż z tego, kiedy w niektórych rękopisach zdanie to brzmi:

„W ten sposób ślą obawy i oznaki przyszłości tym, którzy potrafią rozumować.”

Ale w takim wypadku mamy tu pochwałę i uzasadnienie astrologii! I nie ma co do tej sprawy zgody wśród mistrzów Akademii; są zwolennicy i przeciwnicy obu wersji.

Jednakże Saturnin nie dawał za wygraną! Zaczął mi opowiadać, o czym szepcą jego sąsiedzi: Rufinus, którego tam spotkał, pytał pewnego astrologa, zamieszkałego przy tejże uliczce, jak będzie z małżeństwem córki; otrzymał odpowiedź, że dziewczyna wkrótce wyjdzie za mąż, ale wnet owdowieje, dziedzicząc po zmarłym wielkie bogactwa.

– Jakże to? – zapytałem. – Skoro już głośno o tym wyroku niebios, nikt się nie ośmieli poślubić Herennii!

Saturnin był innego zdania:

– Rozmowę Rufina z astrologiem podsłuchał ktoś ze służby. Nawet trzeba, żeby dowiedział się o niej jak najwięcej ludzi. Bo jeśli mimo wszystko Herennia wyjdzie za mąż i sprawdzi się reszta przepowiedni, któż się odważy drwić z astrologów?

Nie lubiłem Rufina, nic mnie nie obchodziła jego córka, a cała ta rozmowa wydała mi się niepoważna. Z drugiej wszakże strony nie chciałem zbyt raptownie odprawić Saturnina, żeby nie uchodzić za nadętego uczonością zarozumialca, jednego z tych, co to nie poświęcą ni chwili swego cennego czasu prostemu człowiekowi. Muszę zresztą raz jeszcze powtórzyć, że ten rzemieślnik ogromnie mi się podobał.

Ażeby więc poruszyć temat inny, godniejszy, zapytałem wskazując model kosmosu:

– Zrobiłeś to w ten sposób, że kręgi poruszają się w jedną lub w drugą stronę. Dlaczego?

Saturnin, zapewne nieco dotknięty, zaczął się usprawiedliwiać:

– Ja oczywiście wiem doskonale, że krąg nieba toczy się tylko ze wschodu na zachód, ale jednostronny obrót trudno byłoby wykonać. Pomyślę jeszcze o tym!

Natychmiast go pocieszyłem:

– Ależ ja wcale tego nie chcę! Właśnie dobrze zrobiłeś. Obrót bowiem wszechświata nie zawsze jeden ma kierunek – ten, do któregośmy przywykli. Bywa też odwrotny.

– Jak to odwrotny? – zawołał Saturnin, szczerze zdziwiony. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem!

– Bo też wiedzą o tym tylko prawdziwi filozofowie, pilnie studiujący nauki Platona. Posłuchaj, czego naucza on w swym dialogu zatytułowanym *Politikos*!

WIELKA PRZEMIANA

Zdarza się to bardzo rzadko, w odstępach kilku lub kilkunastu tysięcy lat, ale jednak się zdarza. Kula kosmosu nagle się zatrzymuje i potem rozpoczyna obrót wsteczny. Zjawisko to jest oczywiście połączone ze strasliwym kataklizmem, który sprawia, że ginie większość istot żywych, a ludzie przede wszystkim. Mimo to niektóre stworzenia, także i ludzie, utrzymują się przy życiu, doznając czegoś przedziwnego, co nawet trudno sobie wyobrazić i trudno wysłować. Oto cofa się czas! Wszystko się powtarza, lecz w kierunku odwrotnym. By rzecz najkrócej i najprościej: kto w chwili przemiany był starcem siwowłosym, stopniowo przeistacza się w dojrzałego mężczyznę, potem w młodzieńca, później w chłopca i w dziecko, aż wreszcie wstępuje w łono matki. Co jeszcze bardziej niesamowite: w każdym momencie pojawiają się i rozpoczynają wsteczną drogę życia ludzie już zmarli. Wylaniają się z ziemi, powstają z grobów, gdzie ich prochy i kości zrastają się na nowo. Nie ma więc wówczas rodzenia się, jest tylko zmartwychwstanie.

Tak naucza Platon. Podałem ci jego słowa w pewnym skrócie. Warto jednak zastanowić się nad tą opowieścią, prowadzi bowiem do ciekawych wniosków. Przede wszystkim musisz pojąć, co dzieje się w umysłach owych, ludzi, których życie się cofa. Zapewne przypuszczasz, że są wstrząśnięci, że bytują w jakimś potwornym strachu i przerażeniu. Nic podobnego! Są tak samo spokojni i normalni, jak my obecnie. Zachowują się najzwyczajniej. Uważają, że wszystko dzieje się tak, jak powinno. Zważ bowiem, że skoro świat i czas się cofają, całkowitemu zniszczeniu ulega również pamięć człowiecza. Ludzie znają swoją przyszłość, nie wiedzą natomiast nic o przeszłości. Są jak wędrowcy, którzy nie pomną, skąd idą i jakie mają za sobą trudy, widzą wszakże jak najdokładniej i we wszystkich szczegółach wijącą się przed nimi drogę. Taka sytuacja wydaje się im nie tylko czymś normalnym, ale wręcz jedynie możliwym. Nie potrafią nawet wyobrazić sobie, że mogłoby być inaczej. Przypuśćmy wszakże, że ktoś im objawia nasz sposób życia. Z pewnością ogromnie by się zdziwili. Pytaliby:

– Cóż to za egzystencja? Nie wiedzieć, co będzie, pamiętać natomiast, co było? Przecież znajomość przyszłości jest konieczna i zbawienna – nawet jeśli nie potrafimy jej odmienić – natomiast pamięć rzeczy przeszłych nie ma najmniejszego znaczenia. Co minęło, i tak nie wróci.

My znowu moglibyśmy na to odpowiedzieć:

– To byłoby potworne, znać przyszłość w każdym szczególe i nie móc jej zmienić ani na jotę! Lepiej już umrzeć od razu, skoro i tak wiadomo, co uczynię za chwilę, za rok, za lat dwadzieścia; skoro ustanowiony jest każdy mój gest, każde słowo, każda myśl nawet.

Wynika stąd, że człowiek, niezależnie od tego, w którą stronę świat się obraca, nigdy nie będzie szczęśliwy i zadowolony. Tylko bogowie panują nad przeszłością i nad przyszłością.

Nie wiem, ile z mych słów zrozumiał zacny mistrz snycerstwa i wielbiciel astrologii. Słuchał wszakże bardzo uważnie, niemal z nabożeństwem. Nic dziwnego; chyba po raz pierwszy w swym życiu mógł czerpać naukę wprost z ust prawdziwego filozofa. Odszedł pełen szczerzej wdzięczności; byłem w jego oczach chyba najwybitniejszym mędrcom spośród wszystkich ludzi żyjących obecnie na naszym świecie. Muszę przyznać, że bardzo mi to pochlebiało.

Byłem jednak nieco zmęczony owymi podniebnymi wzlotami, obcowaniem z Demiurgiem, stwórcą kosmosu, rozważaniami nad zmiennością obrotu kuli wszechświata. Pragnąłem znowu kontaktu z wydarzeniami choćby przeszłymi, lecz konkretnymi. Toteż z pewną przyjemnością powróciłem do materiałów o życiu Platona. Pozostawiłem go w Atenach, które po obaleniu Komisji Trzydziestu znowu stały się demokratyczne. Były to lata szczęsne, piękne i swobodne – jak ów słoneczny dzień letni, kiedy to Sokrates i Fajdros rozmawiali w cieniu jaworu, nad brzegiem Ilissosu, o popisowej mowie Lizjasza.

A jednak owa pogoda była bardzo złudna.

WYPRAWA CYRUSA

Wkrótce po przewrocie demokratycznym do Aten przybył pewien cudzoziemiec, który mimo swego młodego wieku – liczył zaledwie dwadzieścia lat – łatwo znalazł dostęp do wielu świetnych domów. Zwał się Menon. Pochodził z Tesalii, należał do najwybitniejszych rodów tamtejszej arystokracji. Był bardzo przystojny, inteligentny i rzutki, ciekaw obcych krajów i ludzi, żądny przygód. W Atenach bawił tylko przejazdem, wybierał się bowiem w podróż daleką i niebezpieczną; żywił wszakże nadzieję, że otworzy mu ona wspaniałą przyszłość, da sławę i bogactwo w baśniowych krainach Wschodu. Sprawa tak się przedstawiała:

Perski książę Cyrus, namiestnik w Azji Mniejszej, werbował w Helladzie żołnierzy przez swych pośredników. Czynił to skrycie, ale za cichą zgodą rządu Sparty, który miał wówczas w Helladzie najwięcej do powiedzenia. Cyrus pragnął ruszyć na czele najemnej armii przeciw swemu rodzonemu bratu, królowi Persji, Artakserksesowi, aby obalić go i zawładnąć całą monarchią. Oczywiście książę trzymał w najściślejszej tajemnicy zasadniczy cel swej wyprawy. Oficjalnie mówiono tylko o karnej ekspedycji przeciw jakiemuś krnąbrnemu ludowi w górach Azji Mniejszej. Ale zaufani agenci Cyrusa z pewnością dawali do zrozumienia, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, żołnierze zostaną wynagrodzeni ponad najśmielsze swe marzenia. Toteż w różnych krajach Hellady zgłaszały się setki chętnych. Trudno temu się dziwić: ubogie ziemie zostały ostatnio wyniszczone długoletnią wojną.

W samych Atenach werbownicy Cyrusa niewiele zdziałali. Znalazł się jednak i tutaj pewien młody człowiek, który poważnie się zastanawiał, czy by jednak nie pójść na służbę do perskiego księcia. Owym młodzieńcem był Ksenofont. Miał wówczas niespełna trzydzieści lat, a więc należał niemal do rówieśników Platona i jak on pochodził ze starej rodziny ateńskiej. Tak więc Platona i Ksenofonta wiele łączyło; obaj też byli niechętni demokratom. Nade wszystko jednak winna by ich zbliżyć ku sobie osoba wspólnego mistrza, Sokratesa.

Do wzięcia udziału w wyprawie zachęcił Ksenofonta stary przyjaciel jego rodziny, Prok-senos. Bawił on już dość dawno w Azji, u boku Cyrusa, i stamtąd przysłał list, w którym pisał:

„Gdy przyjedziesz do nas, polecę cię Cyrusowi, którego kocham ponad własną ojczyznę.”

Ksenofont prosił o radę Sokratesa, a ten orzekł:

– Wiążąc się z Cyrusem narazisz się naszemu rządowi, bo w czasie ostatniej wojny Cyrus pomagał Spartanom. Najlepiej więc uczynisz, jeśli pojedziesz do Delf i zapytasz Apollona, jak z tą podróżą.

Tak też Ksenofont postąpił. Zwrócił się do wyroczni i zapytał:

– Któremu z bogów mam złożyć ofiary? Do kogo mam się modlić, aby podróż wypadła pomyślnie? Aby wrócić do ojczyzny zdrow i cały?

Otrzymał odpowiedź i zadowolony powrócił do Aten. Jednakże Sokrates nie był tym zachwycony i czynił Ksenofontowi wyrzuty:

– W istocie to ty sam zdecydowałeś, że masz udać się w podróż. Powinieneś prosić o wskazówkę, co lepiej: jechać czy też siedzieć w domu, a nie o to, jak się do drogi przygotować. Ale skoro już tak się stało, nie pozostaje ci nic innego, jak zastosować się do poleceń boga.

Ksenofont więc złożył ofiary bogom, których wskazał mu Apollon, i wyjechał do Azji; być może, podróżował tam wspólnie z Menonem, którego musiał spotkać w Atenach.

Przytoczona opowieść o radach Sokratesa jest całkowicie wiarogodna, bo podał ją w swych wspomnieniach sam Ksenofont. Wynika z niej jasno, w jak ścisłych stosunkach pozostawał z mędrcom; uważał się za jego ucznia i wielokrotnie dawał temu wyraz w swych późniejszych pismach. Jakżeż więc często musiał stykać się z Platonem! Razem przebywali w otoczeniu mistrza i przysłuchiwali się jego rozmowom. Jednakże rzecz to zastanawiająca: w

swych pismach Platon ani razu, o ile pamiętam, nie wymienia Ksenofonta. I odwrotnie: we wspomnieniach Ksenofonta o Sokratesie imię Platona pojawia się raz tylko, i to rzucone zupełnie przypadkowo. Widocznie obaj wzajem serdecznie się nie znosili.

MENON I KSENOFONT

Powracam jednak do Menona, do jego pobytu w Atenach. Doskonale rozumiem, że promieniejący urokiem młodości arystokrata tesalski ściągnął na siebie uwagę Sokratesa i jego przyjaciół. Znajomość można było zawrzeć bez trudu, choćby w gimnazjone, gdzie co dzień zbierali się mężczyźni, by ćwiczyć i dyskutować; Sokrates spędzał tam często całe dni. Tam też zapewne odbyła się rozmowa, którą Platon zachował w miłej pamięci na długo. Uwiecznił ją po latach – oczywiście po swojemu przetworzoną – w dialogu, któremu dał tytuł *Menon*, bo właśnie Menon występuje jako główny rozmówca mędrca. Dyskusja poświęcona jest ważnemu zagadnieniu, do którego Platon wciąż wraca w swych dziełach: czy *arete*, to jest dzielność obywatelska, może być przedmiotem nauki, czy też jest darem wrodzonym. Dialog nie daje zdecydowanej odpowiedzi, zawiera natomiast wiele wskazówek dla dalszych rozważań.

W swym utworze Platon charakteryzuje Menona tylko pośrednio, poprzez jego wypowiedzi:

Młody człowiek jest dumny ze swej urody, w czym zresztą utwierdza go grono wielbicieli. Jak każdy przedstawiciel arystokracji za najwyższe dobra w życiu uważa majątek, zaszczyty, wysokie urzędy. Posiada wykształcenie, jak na owe czasy, wszechstronne. Jest czytany w poezji, bardzo ceni mistrza sofistyki Gorgiasza. Nieraz brał udział w dyskusjach filozoficznych.

Tymczasem Ksenofont, który przecież znał Menona lepiej i dłużej, bo razem uczestniczyli w wyprawie Cyrusa, wystawił mu świadectwo jak najgorsze. Utrzymuje, że Menon powodował się przede wszystkim żądzą bogactwa i władzy, a dla ich osiągnięcia gotów był posłużyć się każdym sposobem, nawet oszustwem i krzywoprzysięstwem. Głosił ponoć – jeśli wierzyć Ksenofontowi – że tylko głupiec zważa na prawdę i uczciwość, przyjaźń zaś okazywał tym tylko, przeciw którym w danej chwili intrygował. Natomiast od ludzi sobie podobnych, to jest od kłamców i oszustów, Menon trzymał się z daleka, żerując głównie na naiwności osób prostolinijnych. Chępił się, jak sprytnie zastawia sidła, tych zaś, co tego nie potrafili, traktował jako niedojdów.

Moim zdaniem nie jest to obraz przekonywający, bo z całą oczywistością zbyt przesadzony. Ileż to razy sam stwierdziłem, że człowiek naprawdę sprytny nigdy się tym nie chwali, przeciwnie, udaje nierozgarniętego prostaczka. Menon, jeśli już wierzyć Ksenofontowi, postępował raczej z jawnym cynizmem, tak częstym u młodych ludzi, butnych i pewnych siebie. W każdym zaś razie nie ukrywana pasja, bijąca z przytoczonych słów, każe podejrzewać, że Ksenofont wręcz nienawidził Menona. Widocznie w czasie wyprawy doszło między nimi do jakiegoś zatargu. Podejrzewam, że wszystko zaczęło się od przypadkowej sprzeczki, która wybuchła między ludźmi Menona i Klearcha u brzegów Eufratu; niewiele brakowało, a zakończyłaby się ona krwawą, bratobójczą bitwą. Otóż należy pamiętać, że Klearch należał do najbliższych przyjaciół Ksenofonta; odtąd obaj oni wspólnie uważali Menona za swego wroga.

Jednakże Ksenofont stara się wmówić swym czytelnikom, że właściwy powód, dla którego tak surowo osądza Menona, jest inny, znacznie głębszy, poparty faktami. Sprawa ta wiąże się z losami wyprawy Cyrusa.

Młody książę stał się z wojskami swego brata, króla Artakserksesa, na równinach Babilonii. Zwyciężył dzięki odwadze swych greckich najemników – lecz sam zginął w walce. Grecy pozostali bez przywódcy, otoczeni przez nieprzejrzane zastępy nieprzyjaciół, niemal w sercu

wrogiego kraju. Nie widząc innego wyjścia rozpoczęli pertraktacje z dostojnikami króla. W czasie tych rokowań Persowie zdradziecko pojmali greckich oficerów i zaraz potem ich wymordowali. Co prawda nie przyniosło to Persom spodziewanych korzyści, albowiem helleńscy żołnierze i tak się nie poddali. Gdy ochłonęli z przerażenia, zdecydowali się na krok rozpaczliwy. Z bronią w ręku przedarli się przez zagradzające im drogę wojska z równin Babilonii na północ. Maszerowali przez wysokie, śniegiem pokryte góry Armenii. Odpierali ustawiczne ataki wroga. Wreszcie, zwycięsko pokonawszy wszystkie niebezpieczeństwa i trudy, dotarli do wybrzeży Morza Czarnego. Tamtejsze miasta greckie ułatwiły im powrót do ojczyzny.

Otóż jednym z dowódców owego odwrotu „dziesięciu tysięcy” był właśnie Ksenofont. On też spisał relację o tych niezwykłych wypadkach. Przedstawiając dramatyczne chwile bezpośrednio po bitwie, gdy wszczęto rozmowy z Persami, Ksenofont daje do zrozumienia, że Menon porozumiewał się wówczas z wrogiem za plecami innych i gotów był wydać swych towarzyszy. Ale mimo twierdzeń Ksenofonta wydaje się to zwykłą potwarzą. Przecież Persowie podstępnie schwyтали Menona wraz z innymi oficerami. Nie został on wprawdzie ścięty od razu, jak tamci, ale spotkał go los chyba sroższy.

Menona więziono i torturowano przez cały rok; prawdopodobnie uśmiercano go wschodnim zwyczajem stopniowo, po kolei obcinając mu ręce, nogi, uszy, a pewnie i oczy mu wydłubano. Zginął jak łotr – powiada Ksenofont pogardliwie i jakby z satysfakcją. Ale sąd tak bezlitosny był chyba odosobniony. Wieść o męczeńskiej śmierci młodego człowieka musiała uczynić wstrząsające wrażenie na wielu Ateńczykach, który tak niedawno gościli go u siebie. Platon na pewno należał do owych boleśnie dotkniętych; nigdy nie zapomniał o Menonie, a jego imię i postać rozślawił na wieki.

Tesalski arystokrata zginął w dalekiej krainie wschodniej zapewne w drugim roku olimpiady 95 [rok 399 p.n.e.]; a w tymże samym roku odszedł też ze świata żywych jego ateński rozmówca, Sokrates.

ANYTOS W SPRAWIE MŁODZIEŻY

W dyskusji w dialogu *Menon* udział biorą tylko dwie osoby: sam Menon oraz Sokrates. W pewnym jednak momencie na scenie pojawia się trzecia postać. Sokrates tak ją przedstawia:

– W samą porę przysiadł się do nas Anytos. Bo dobrze zrobimy, jeśli go poprosimy, by uczestniczył w naszych poszukiwaniach. Po pierwsze, jest on synem człowieka majątnego i mądrego, Antemona, który stał się bogaty nie przypadkiem i nie dzięki czyimś darom. Sam zdobył wszystko przemyślnością i pracą. I nie był to obywatel arogancki, pyszny, uciążliwy, lecz spokojny i użyteczny. Co równie ważne, tego oto Anytosa dobrze wychował i wykształcił. Tak przynajmniej sądzi się w Atenach. Toteż wybierają go na najwyższe urzędy państwowe. Uważam, że właśnie wspólnie z takimi ludźmi należy badać, czy istnieją nauczyciele obywatelskiej dzielności, czy też nie.

Zaczął więc Sokrates wypytywać Anytosa. Gdyby Menon miał zostać lekarzem, rymarzem, fletnistą, to oczywiście posłałoby się go na naukę do lekarza, rymarza, fletnisty. Ale Menon wciąż twierdzi, że pragnie tej wiedzy, która by mu pozwoliła dobrze zarządzać domem i państwem, szanować rodziców, właściwie zachowywać się wobec obywateli i cudzoziemców. Gdzież więc posłać Menona, do jakich nauczycieli, by wiedzę tę posiadał? Chyba do tych, którzy głoszą o sobie samych, że za pieniądze uczą jej każdego z Hellenów. A więc wyślemy Menona do sofistów!

Lecz Anytos zakrzyknął przerażony:

– Zamilcz, Sokratesie! Oby nikt z moich domowników i przyjaciół nie popadł w takie szaleństwo! Przecież to rzecz oczywista, że sofisci psują i deprawują tych, z którymi przestają.

Sokrates udał zdziwienie:

– Jak to? Więc oni nie tylko że nie pomagają, lecz jeszcze szkodę przynoszą? I w zamian za to jawnie ośmielają się brać pieniądze? Trudno mi uwierzyć. Wiem przecież, że sofista Protagoras dzięki tej umiejętności zarobił więcej niż Fidiasz, rzeźbiarz tak znakomity; ba, więcej niż dziesięciu rzeźbiarzy razem wziętych. Gdyby szewc lub krawiec wziął do naprawy buty albo płaszcz i oddał je w gorszym stanie, rzecz zaraz by się wydała, a oni sami rychło zmarliby z głodu. A tymczasem Protagoras zdołał zataić przed całą Helladą, że deprawuje tych, co z nim przestają! I to przez całych lat czterdzieści! Bo zdaje mi się, że zmarł mając koło siedemdziesiątki, a swoją umiejętność uprawiał przez większą część życia. Co jeszcze dziwniejsze, zawsze cieszył się doskonałą opinią, i tak jest jeszcze do dnia dzisiejszego. Zresztą nie tylko on, ale też mnóstwo innych sofistów, starszych od niego i młodszych. Cóż więc powiemy, trzymając się twego zdania: że oni świadomie oszukują i psują młodzież czy też po prostu nie zdają sobie z tego sprawy? Tak czy owak wypadałoby uznać, że ci, których ogół czeni jako mędrców, to właściwie szaleńcy!

Anytos odparł z głębokim przekonaniem:

– Nie oni są szaleńcami, lecz ci młodzi ludzie, którzy im płacą. A jeszcze większymi krewni, którzy im na to pozwalają. Lecz najbardziej szaleńczo postępują państwa, zgadzając się na pobyt sofistów i nie pędząc ich precz!

Sokrates zapytał z ojcowską troskliwością:

– Może skrzywdził cię któryś z sofistów?

Anytos oburzył się:

– Nigdy nie przestawał z żadnym z nich! I nie pozwoliłbym na to nikomu z moich.

– To znaczy, że nie masz żadnego osobistego doświadczenia, jeśli chodzi o tych ludzi?

– I obym nigdy nie miał!

– Więc jakimże sposobem, mój drogi Anytosie, możesz cokolwiek wiedzieć, o działalności sofistów, czy dobra ona, czy też zła, skoro brak ci wszelkiego doświadczenia?

– Zwyczajnie. Już ja tam wiem, co to za jedni? Wszystko jedno, czy ich znam, czy nie!

– Jasnowidz z ciebie, Anytosie. Bo jak inaczej mógłbyś zdobyć pogląd na tę sprawę? Ale już nie badajmy, jacy to naprawdę są ci sofisci, którzy tak deprawująco mieliby wpłynąć na Menona. Skoro tak chcesz, godzimy się na twoją o nich opinię. Wskaż jednak naszemu gościowi, do kogo ma się udać w tym wielkim mieście, aby zdobyć upragnioną dzielność obywatelską!

– A czemuż ty sam mu nie wskażesz?

– Już wskazałem – tych, których uważałem za dobrych nauczycieli. Ale widać nic mądrego nie rzekłem, jak przynajmniej ty sądzisz. Może zresztą masz rację. Więc powiedz ty z kolei, do kogóż spośród Ateńczyków ma zwrócić się Menon. Wymień jakieś nazwisko!

– A czemuż by tylko jedno nazwisko? Każdy człowiek uczciwy, z którym zetknie się w Atenach, na pewno lepiej nań wpłynie niż sofisci.

Ale Sokrates nie ustępował:

– Lecz owi ludzie piękni i dobrzy sami z siebie stali się tacy? Od nikogo się nie uczyli? I potrafią tak samo ukształtować innych?

– Myślę, że nauczyli się od innych, którzy też byli piękni i dobrzy. Chyba zgodzisz się ze mną, że w naszym mieście nigdy nie brakowało takich osób.

Sokrates odpowiedział z powagą:

– Myślę Anytosie, że mamy wielu dobrych polityków i że również poprzednio było ich wielu. Ale czy potrafili oni przekazać innym te obywatelskie zalety, które sami posiadali? Bo właśnie o tym dyskutujemy, a nie o tym, czy w naszym mieście są ludzie piękni i dobrzy, czy

też ich nie ma. I także nie o tym, czy tacy żyli przedtem. Zastanawiamy się natomiast, czy dzielność obywatelska może być przedmiotem nauczania, czy też nie.

DOBRY OJCOWIE I ŹLI SYNOWIE

W tym miejscu Platon – oczywiście wciąż ustami Sokratesa – przechodzi do omawiania sprawy, która nieraz powraca w jego dziełach; widocznie więc problem ten wydawał mu się szczególnie doniosły. Istotną treść owego zagadnienia można tak ująć:

Wszyscy się zgadzają, że Temistokles, Arystydes i Perykles, a więc najwybitniejsi przywódcy Aten w niedawnej przeszłości, byli dobrymi politykami i obywatelami. Wiadomo też powszechnie, że dbali oni jak najusilniej o wykształcenie swych synów. Nie szczędzili starań i kosztów. Zapewnili im najlepszych, jakich tylko mogli wynaleźć, nauczycieli różnych umiejętności, a więc na przykład jeździectwa, muzyki, gimnastyki, zapasów. Wynika stąd z całą oczywistością, że ci ojcowie pragnęli przekazać synom także swoją mądrość polityczną; z pewnością uczyniliby wszystko, aby tak się stało. A jednak właśnie tego nie zdołali dokażać! Ich synowie niczym się nie zapisali w życiu politycznym. Ani sami ojcowie nie wpoili swym spadkobiercom cnót obywatelskich, ani też nie wystarali się o dobrych nauczycieli wychowania obywatelskiego. Wniosek stąd prosty: *arete*, czyli dzielność obywatelska, nie może być przedmiotem nauczania; trzeba dojść do niej samemu, własnym wysiłkiem.

Odpowiedź Anytosa na długi wywód Sokratesa jest znamienita:

– Coś mi się zdaje, Sokratesie, że bardzo łatwo przychodzi ci źle mówić o ludziach! A ja dałbym ci pewną radę, bylebyś tylko jej posłuchał: miej się na baczności. Zapewne w wielu państwach łatwiej jest szkodzić ludziom niż pomagać, ale w naszym szczególnie łatwo!

Na tę pogroźkę Sokrates nie odpowiedział wprost Anytosowi, lecz zwrócił się do Menona:

– Wygląda mi na to, że Anytos się rozgniewał. Wcale się nie dziwię. Pewnie myśli, że ja oskarżam tamtych wielkich polityków, a siebie samego oczywiście również zalicza do wielkich.

Tym ostrym akcentem pogroźki z jednej strony, a pogardliwej aluzji z drugiej kończy się w dialogu scena rozmowy z Anytosem. W trzy lata później Anytos znalazł się w liczbie tych, którzy pozwali Sokratesa przed sąd. Oskarżono starca o lekceważenie bóstw uznawanych przez państwo, o wprowadzanie bóstw nowych oraz o deprawowanie młodzieży.

PORTRET ANYTOSA

Ojciec Anytosa doszedł do bogactwa tylko swoimi siłami. Sokrates mówi wyraźnie: własną pracą i przemyślnością. To on założył warsztat garbarski, który następnie odziedziczył i prowadził Anytos. A więc, w przeciwieństwie do Kritiasa, Platona lub Ksenofonta, Anytos nie był arystokratą i zapewne nie posiadał majątku ziemskiego. Należał do tej warstwy, która czerpała spore zyski prowadząc różnego rodzaju przedsiębiorstwa. Ateny bowiem, stolica Związku Morskiego, dawały ogromne możliwości ludziom z inicjatywą. Pole do działania było tak szerokie, że zachęcano nawet cudzoziemców, by się tu osiedlili. Przecież Kefalos, ojciec Lizjasza i Polemarcha, przybył do Aten aż z Syrakuz, nakłoniony przez samego Peryklesa; otworzył warsztat płatnerski i rychło stał się człowiekiem bardzo majątnym. Z drugiej jednak strony znajduję w ówczesnej literaturze wiele dowodów, że ateńscy panowie, przedstawiciele starych rodów i właściciele ziemskich, patrzyli zawsze z nie ukrywaną niechęcią na owych dorobkiewiczów. Zwłaszcza w komediach Arystofanesa wciąż się szydzi z kielbaśników, szewców, garbarzy, co to zajmują się polityką i chcą przewodzić ludowi.

A właśnie takie były ambicje Anytosa. Mając, dzięki zapobiegliwości ojca, zapewniony byt i odpowiednie środki pieniężne, mógł myśleć o wielkiej karierze. Związał się z demokratami. Przez pewien czas należał do zwolenników Alkibiadesa, a nawet, jak podejrzewam, był jego wielbicielem. Potem wszedł w skład kolegium strategów. Dowodząc jedną z armii poniósł w walkach ze Spartą porażkę, nie z własnej zresztą winy. W jakiś dziwny sposób zdołał uchronić się wtedy przed gniewem ludu i nie został skazany, jak to zwykle bywało w Atenach w podobnych wypadkach; sądzę, że po prostu przekupił sędziów. Gdy po przegranej wojnie rządy objęła Komisja Trzydziestu, Anytos jako demokrat poszedł na wygnanie. Powrócił z niego wraz z tymi, którzy zajęli twierdzę File; należał nawet do najbliższego otoczenia Trazybula. Zrozumiałe więc, że po ostatecznym zwycięstwie demokratów Anytosa zaliczano do polityków bardzo wpływowych.

Jednakże gdy odczytuję słowa, którymi Sokrates w *Menonie* prezentuje Anytosa, wyczuwam wyraźną nutę ironii:

– Ojciec dobrze go wychował i wykształcił. Tak przynajmniej sądzi się w Atenach.

Dalszy przebieg rozmowy pokazuje bardzo pięknie, jak uzasadnione było to zastrzeżenie. Anytos objawił się jako ignorant i beczelny pyszałek. Przyznaje bowiem, że jest wrogiem sofistów, choć w ogóle ich nie zna i nigdy z żadnym z nich nie przestawał. Twierdzi z pewnością siebie, tak typową dla prostaków:

– Już ja tam wiem, co to za jedni! Wszystko jedno, czy znam ich, czy też nie!

Oczywiście Platon umyślnie wprowadził ten motyw do dialogu. Pragnął pokazać, że człowiek, który w niedalekiej przyszłości oskarży Sokratesa, wypowiada krzywdzące sądy bez zastanowienia i całkowicie bezpodstawnie, powodowany jedynie niechęcią do ludzi wykształconych, która zawsze cechuje pospólstwo.

Natomiast o ojcu Anytosa Sokrates mówi:

– Nie był to obywatel arogancki, pyszny, uciążliwy, lecz spokojny i użyteczny.

Tych wszakże zalet nie zdołał on przekazać synowi. I nie wychował go należycie, wbrew temu, co o Anytosie sądzi ogół Ateńczyków. Wnet jednak okazuje się, że nie tylko on nie potrafił należycie wpłynąć na swego potomka. Kiedy bowiem Anytos występuje z twierdzeniem, że zalet obywatelskich można uczyć się tylko przez obcowanie z właściwymi ludźmi – pogląd całkowicie zrozumiały u demokraty – Sokrates przypomina mu, że nawet najslawniejsi politycy nie potrafili wychować własnych synów. Anytos nie odpowiada na te słowa żadnym rozumowym argumentem, oburza się natomiast i grozi starcowi. Czemu? Oczywiście nie dlatego, by sam uważał się za jednego z tych, którzy nie zdołali przejąć *arete* od swych ojców. Nie. Anytos poczuł się urażony jako ojciec.

Myśląc tylko o własnej karierze, o syna nie dbał. Sokrates zwrócił mu kiedyś uwagę:

– Skoro państwo obdarza cię najwyższymi godnościami, nie wypada, aby twój syn wychowywał się w garbarni.

A o chłopcu tym Sokrates był dobrego mniemania. Mówił do jednego z przyjaciół:

– Spotkałem go kiedyś. Rozmawialiśmy krótko, ale wydawało mi się, że to silna osobowość. Dlatego twierdzę, że nie zniesie tego trybu życia, godnego niewolnika, jaki zgotował mu ojciec. A ponieważ nie ma żadnego odpowiedniego opiekuna, da się ponieść jakimś niskim namiętnościom i daleko zabrnąć w upodleniu.

Co też się stało. Syn Anytosa rozpił się i do niczego nie doszedł.

O TAK ZWANYCH STERNIKACH NAWY PAŃSTWOWEJ

Sokrates karciał tak surowo nie tylko Anytosa. Publicznie wytykał różnego rodzaju przewinienia i niedostatki wielu ludziom, z którymi się stykał. Nie zważał przy tym na ich pozycję i

wpływy, nie myślał w ogóle o skutkach, jakie może wywołać gniew dostojnych rozmówców. Przypomniałem już, jak ostro napiętnował pożądlivości Kritiasa. Zresztą postępował tak nie tylko wobec jednostek. W ostatnich latach wojny z Lacedemonem zdarzyło się, że sam jeden miał cywilną odwagę sprzeciwić się woli całego ludu, który, poduszczony przez klikę cynicznych polityków, domagał się śmierci kilku strategów. Zarzucono im, że wprawdzie stoczyli zwycięską bitwę morską, ale nie wyłowili ciał poległych w niej żołnierzy ateńskich. Nie pomogły wyjaśnienia, że zaraz po bitwie rozpułała się straszliwa burza i trzeba było myśleć nie o martwych, lecz o ratowaniu całej floty. Lud, głuchy na wszelkie argumenty, szedł za swymi ówczesnymi przywódcami i domagał się bezzwłocznego głosowania, nawet z pominięciem podstawowych zasad procedury. Tylko Sokrates, wówczas członek Rady, sprzeciwił się temu wnioskowi i żądał postępowania legalnego. Bezskutecznie. Głosowano; rzekomi winowajcy zostali skazani na śmierć. Wyrok wykonano. Później, gdy przyszło opamiętanie, powszechnie żałowano tego, co się stało. Oczywiście ów żal nie oznaczał jeszcze, by stanowisko Sokratesa uznano za słuszne. Przeciwnie, umocniła się opinia o nim, że to uparty dziwak, który chętnie działa na przekór wszystkim, bo w gruncie rzeczy gardzi całym ludem.

Zresztą Sokrates krytykował także pewne formy ustrojowe, które w Atenach uchodziły za szczytowe osiągnięcia demokracji. Do takich należała zasada, że na niektóre wyższe urzędy wyznaczano kandydatów przez losowanie. Starzec wskazywał:

– Gdzież człowiek, na całym szerokim świecie, który by losem się kierował przy wyborze rzemieślnika? A przecież jeśli rzemieślnik źle coś wykona, szkoda stosunkowo mała. Jak wielka natomiast, gdy zbłądzi sternik nawy państwowej!

Toteż Sokrates z nie ukrywaną lubością udowadniał poszczególnym politykom, że są zwyczajnymi głupcami, groźnymi jednak, bo biorą się do przewodzenia państwu i społeczności. To samo, ignorancję w sprawach ogółu i zbytnią pewność siebie, wykazywał poetom i pisarzom. Nie pomijał też, gdy zdarzyła się okazja, wykpiwania rzemieślników; bo każdy z nich, znając się doskonale na swojej robocie, ale tylko na niej, był zarazem najgłębiej przekonany, że powinien i potrafi zabierać głos w każdej sprawie, zwłaszcza politycznej.

A wszystko to Sokrates czynił rzekomo dlatego, by wykazać bogu Apollonowi, że mimo swej boskości jest omylny. Chodziło o sprawę, którą – jeśli wierzyć Platonowi – Sokrates tak przedstawił w swej mowie obrończej:

SOKRATES I POLITYCY

Chyba jeszcze pamiętacie Chajrefonta. Już jako młody człowiek był on moim przyjacielem, a także dobrym towarzyszem wielu z was. Toteż razem z wami poszedł na wygnanie za tyranii Trzydziestu i z wami powrócił. Pamiętacie chyba, jaki to był Chajrefont: jak dzielnie brał się do wszystkiego, co tylko sobie zamierzył. Otóż pewnego razu wybrał się do Delf i tam śmiało zapytał wyroczni – a nie zaczynajcie hałasować w związku z tym, co powiem teraz! – otóż zapytał, czy jest ktoś mądrzejszy od Sokratesa. Na to pytanie Pytia odpowiedziała: Nie ma nikogo! A że wszystko to rzeczywiście tak było, poświadczajcie nam ten oto brat Chajrefonta, bo on sam już zmarł.

Kiedy mi doniesiono o słowach wyroczni, tak sobie pomyślałem:

Co też właściwie bóg przez to mówi? Ja sam wiem dobrze, że nie jestem mądry, ani bardzo, ani nawet trochę. Co więc chce powiedzieć twierdząc, że właśnie ja jestem najmądrzejszy? Bo przecież nie kłamie, to oczywiste, jemu nie wolno!

Przez długi czas nie mogłem zrozumieć, o co bogu chodziło. Wreszcie, choć z wielkimi oporami, zabrałem się do poszukiwania sensu tej wypowiedzi. Zastosowałem taką oto metodę:

Poszedłem do kogoś, kto cieszył się opinią niezwykle mądrego. Chciałem tym prostym sposobem zbić twierdzenie wyroczni i wykazać bogu: oto jest człowiek mądrzejszy ode mnie, a więc ty się pomyliłeś! Zacząłem dobrze się przypatrywać temu mężowi i często z nim rozmawiałem; wolę nie wymieniać nazwiska, ale to był pewien polityk. I cóż się okazało? Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że człowiek ten wydaje się mądry wielu innym, a szczególnie sobie samemu, ale w rzeczywistości całkiem tak nie jest. Próbowałem więc wykazać mu, że ma błędne mniemanie o sobie. Niestety, skutek tych moich usiłowań był taki, że ściągnąłem na siebie nienawiść i jego, i wielu osób postronnych. Toteż kiedy powróciłem do domu, pomyślałem:

Od tamtego polityka chyba ja jestem mądrzejszy. Bo wprawdzie obaj nie wiemy, co to piękno i dobro, ale tamtemu wydaje się, że wie, choć nie wie, ja zaś też nie wiem, lecz nawet nie uważam, że wiem. Wypada więc tak, że od tamtego jestem mądrzejszy o ten drobiazg: nie wydaje mi się, bym wiedział to, czego nie wiem.

SOKRATES I MŁODZIEŻ

Tak rozpoczęła się wielka wędrówka starca wśród mieszkańców miasta. Te poszukiwania zjednały mu, co sam szczerze przyznaje, serdeczną nienawiść mnóstwa Ateńczyków, ludzi różnych stanów i zawodów. Wśród wrogów Sokratesa znalazły się nawet osoby należące do ówczesnej elity intelektualnej; nieprzypadkowo bowiem oskarżenie wnieśli Meletos i Likon, poeta i retor; przyłączył się do nich polityk Anytos.

Ale były też inne przyczyny niechęci i podejrzliwości w stosunku do Sokratesa. On sam tak o tym mówił:

Młodzi ludzie towarzyszą mi wszędzie z własnej woli. Oczywiście są to ci, którzy mają najwięcej wolnego czasu, a więc pochodzący z domów najbogatszych. Bardzo ich bawi obserwowanie, jak to badam ludzi, czy są naprawdę mądrzy. Toteż często mnie naśladują i sami próbują badać tego lub owego. Znajduję, jak przypuszczam, całe zastępy takich, którym wydaje się, że coś wiedzą, choć wiedzą mało lub nic. Owi zaś poddawani próbie gniewają się nie na siebie samych, lecz na mnie. I powiadają, gdzie tylko mogą, że jest tu jakiś arcygłupiec Sokrates, deprawator młodzieży. Ale kiedy ktoś ich zapyta, co też czyni lub mówi ów Sokrates, nie potrafią rzec nic sensownego. Żeby się jednak nie wydało, że brak im konkretnych danych, wywlekają to, co zwykle zarzuca się wszystkim filozofom: że rozprawiam o tym, co na niebie i co pod ziemią; że nie uznaję bogów; że uczę, w jaki sposób czarne przedstawiać za białe, a białe za czarne.

To były słowa Sokratesa. Ja zaś myślę, że sprawa nie sprowadzała się wyłącznie do tego. „Badania” poważnych ludzi przez pewnych siebie młodzików musiały wywoływać wiele scysji, nieporozumień, obraz i gniewów. Przecież łatwo sobie przedstawić, że większość wypytywanych widziała w swych rozmówcach tylko aroganckich wyrostków, którym stary dziwak poprzewracał w głowach. Co więcej, bardzo wiele obrażonych miało rację! Iluż bowiem z tych, co naśladowali Sokratesa, potrafiło to czynić z jego taktem i dowcipem? Nie wszyscy zdolni są pojąć, na czym polega różnica pomiędzy prostotą a prostactwem i gdzie przebiega granica między bezpośredniością a bezczelnością.

Chodziło jeszcze i o to, kim byli owi młodzi ludzie. Sam Sokrates musiał przyznać, że gromadzili się wokół niego przede wszystkim synowie bogaczy, ówczesna złota młodzież ateńska. Już to samo nie mogło się podobać ludziom z warstw niższych. Co gorsze, wielu z owych młodzików, którzy w różnych okresach przestawali z Sokratesem, źle się zapisało w pamięci społeczeństwa; byli bowiem cyniczni, zdolni do wszelkich zbrodni, bezwzględni zarówno w polityce, jak i w życiu prywatnym. Wystarczy wymienić Alkibiadesa i Kritiasa. Nie

wszyscy wiedzieli, że między przywódcą Trzydziestu Tyranów a Sokratesem doszło do gwałtownej kłótni; niewielu też było świadków owej pięknej sceny, kiedy to starzec odmówił wykonania rozkazu i zamiast na Salaminę poszedł sobie do domu. Natomiast ludzie starsi dobrze pamiętali, że Sokrates często rozmawiał z Kritiasem i zachwycał się urodą jego bratanka, młodzieńczego Charmidesa. A kiedy Kritias i Charmides zginęli, do otoczenia Sokratesa należeli najbliżsi ich krewni: Platon i jego bracia.

DUCH OPIEKUŃCZY I POLITYKA

Tak więc Sokrates dyskutował z wielu ludźmi, starszymi i młodszymi. Omawiał pytania zasadnicze, dotyczące całej społeczności.

– Jednakże – powiada sam Sokrates w swej mowie obrończej – można by uznać za rzecz dziwną, że ja tylko prywatnie udzielam takich rad i o takie rzeczy się troszczę, nie mam zaś odwagi publicznie wystąpić przed wami, zgromadzonymi razem, by otwarcie zabrać głos w sprawach państwa. Jaka tego przyczyna, często słyszeliście ode mnie przy różnych okazjach. Oto czasem spotyka mnie coś z woli bóstwa lub ducha opiekuńczego; zaczęło się to dziać, gdy był jeszcze chłopcem; chodzi o pewien głos; odzywa się on zawsze tylko po to, by mnie powstrzymać od jakiegoś czynu, nigdy wszakże nie wskazuje, co powinienem czynić. Ten właśnie głos zabrania mi zajmować się polityką. I sądzę, że jak najśluszniej zabrania. Dobrze bowiem wiecie, że gdybym wcześniej zwrócił się ku polityce, już dawno bym zginął; i nie pomógłbym w niczym ani wam, ani też sobie samemu. Nie miejcie mi za złe, że mówię prawdę. Każdy bowiem człowiek, który uczciwie sprzeciwia się czy to wam, czy też innej społeczności i nie pozwala, by działy się w państwie rzeczy tak złe i bezprawne, musi zginąć. Niestety, tak to już jest: kto pragnie rzeczywiście walczyć o słuszną sprawę, a zarazem utrzymać się przynajmniej przez czas jakiś, winien stronić od polityki.

Jest bardzo możliwe, iż Sokrates rzekł coś podobnego w swej mowie przed sądem ateńskim. Z drugiej wszakże strony wydaje mi się, że ze słów tych przebija także osobiste doświadczenie Platona: gorycz, niechęć do polityków typu Anytosa – a przecież właśnie tacy zawsze są górą! – oraz rosnące przekonanie, że w rozgrywkach na forum publicznym nigdy niczego nie osiągnie. Chętnie wierzę, iż duch opiekuńczy odciągał Sokratesa od czynnego udziału w życiu politycznym. Ale z całą pewnością nie inny był także głos ducha opiekuńczego Platona czy też po prostu jego zdrowego rozsądku. Wszystko to wynika wyraźnie z bardzo ostrych i osobistych sformułowań w liście siódmym, o którym mówiłem już kilkakrotnie. Platon pisał go już w podeszłej starości. Wracał myślą do owych ponurych miesięcy, gdy ateńscy demokraci oskarżyli i skazali na śmierć Sokratesa. Raz jeszcze przeżywał ból, który odczuwał wówczas nie tylko z powodu śmierci mistrza, lecz także dlatego, że po raz wtóry musiał zrezygnować ze swych ambicji politycznych.

„Złożyło się tak, że pewni wpływowi ludzie pozwali przed sąd naszego przyjaciela, Sokratesa. Wysłunięto przeciw niemu zarzut najniegodziwszy, a zarazem, właśnie gdy chodziło o jego osobę, z gruntu nieprawdopodobny. Tak więc jedni oskarżyli go o bezbożność, drudzy zaś, sędziowie, wydali nań wyrok śmierci. Zabili człowieka, który nie chciał wziąć udziału w zbrodniczym uprowadzeniu jednego z nich, gdy oni sami, demokraci, znajdowali się w ciężkim położeniu jako wygnańcy.”

SZYBSZE OD ŚMIERCI

Nikt z postronnych nie miał jasnego wyobrażenia o treści nauk Sokratesa. Iluż spośród sędziów – byli to przeważnie prości chłopcy lub rzemieślnicy – zdolnych było pojąć, że nie jest on twórcą żadnego systemu? Że nade wszystko chodzi mu o drogę, o sposób dochodzenia do prawdy? Oskarżyciele znali nastroje społeczeństwa. Doskonale wiedzieli, jak podejrzliwie odnosi się ono do wszelkich nowinek i do ludzi wykształconych. Toteż nie zadali sobie zbyt wiele trudu. Zarzucili Sokratesowi po prostu to, o co z reguły obwiniano wówczas wszystkich filozofów: bezbożność oraz wywoływanie zamętu myślowego wśród młodzieży, a więc jej deprawowanie.

Muszę przypomnieć, że Ateńczycy byli społeczeństwem nie tylko religijnym, ale wręcz zabobonnym. Sprawa, którą wytoczono Sokratesowi, nie była pierwszą tego typu. Już w latach poprzednich odbyły się w Atenach procesy przeciw kilku myślicielom. W okresie tuż przed wojną peloponeską chciano pociągnąć do odpowiedzialności sądowej jako bezbożnika starca Anaksagorasa; był on nauczycielem Peryklesa, lecz mimo tak wysokiej protekcji musiał opuścić miasto. W kilka lat później oskarżono i skazano, także pod zarzutem bezbożnictwa, Protagorasa z Abdery; był to jeden z najpoważniejszych sofistów i cieszył się wielkim szacunkiem w całej Helladzie. Książki Protagorasa publicznie spalono. On sam ratował się ucieczką na Sycylię, ale jego okręt podobno zatonął na pełnym morzu. W kilka lat później płonęły w Atenach książki Diagorasa z Melos, także rzekomego bezbożnika. Ich autor ukrywał się na Peloponezie, trwożnie, bo ateńscy heroldzi wszędzie głosili, że kto go wyda, otrzyma wielką nagrodę.

Sokrates, w przeciwieństwie do tamtych nieszczęśników, nie uciekł – choć jego oskarżyciele zapewne oczekiwali, że właśnie tak postąpi. Pozostał w Atenach, zjawił się przed sądem, wygłosił mowę obrończą, czyli apologię, śmiała i wręcz zaczepną. Skazano go na karę śmierci i odprowadzono do więzienia. Mógł uciec jeszcze stamtąd. Przyjaciele zebrali dość pieniędzy, by przekupić strażników; w Atenach wszystko było na sprzedaż. Pomiedzy procesem a wykonaniem wyroku musiało upłynąć sporo czasu, jako że nie wolno było nikogo karać śmiercią przed powrotem świętego okrętu wysłanego na wyspę Delos, do przybytku Apollona. Czasu więc było sporo. Starzec jednak uporczywie odrzucał wszelkie możliwości ratunku. A przecież zdawał sobie sprawę, że wystarczyłoby tylko gest, aby ocalić życie. Przed sądem, w ostatnich swych słowach, powiedział:

– W każdej niebezpiecznej sytuacji istnieje wiele sposobów uniknięcia śmierci, jeśli tylko człowiek zagrożony nie wzdraga się przed żadnym czynem i słowem. Doprawdy, nie tak trudno uciec przed śmiercią. Znacznie natomiast trudniej ustrzec się od zła; bo szybciej ono biegnie od śmierci.

Wiosną drugiego roku olimpiady 95 Sokrates wypił dzban cykuty.

ZAWRÓT GŁOWY

Nie będę się tutaj rozwodził nad ostatnimi chwilami Sokratesa. Nie będę też powtarzał rozmów, które prowadził on ze swymi przyjaciółmi i uczniami w celi ateńskiego więzienia. Wszystko to bowiem uwiecznił Platon w dwóch dialogach, w *Fedonie* i w *Kritonie* – choć sam, ponoć z powodu choroby, nie był obecny przy śmierci mistrza. Nie będę też starał się przedstawić, jaka była pierwsza i bezpośrednia reakcja Platona na wiadomość, że starzec, tak ukochany, już odszedł. Zapewne płakał – jak płakali ci wszyscy, ludzie różnego wieku, którzy stali u łoża skazanego. Patrzyli, wstrząśnięci i bezsilni, jak dozorca dotyka drętwiejących nóg i rzeczowo objaśnia:

– Gdy trucizna dojdzie do serca, umrze.

Przejdę wprost do właściwego tematu mej pracy. Przypomnę słowami samego Platona – wziętymi oczywiście z listu siódmego – jaki był jego nastrój i poglądy w okresie bezpośrednio po śmierci Sokratesa, która świadczyła przecież o głębokim schorzeniu ustroju, a może i całego społeczeństwa:

„Patrzyłem na to wszystko i na ówczesnych polityków. A im bardziej rozpatrywałem obowiązujące prawa i obyczaje – wciąż posuwając się w latach – tym trudniejszy wydawał mi się czynny udział w sprawach państwa. Z jednej strony było to niemożliwe bez pomocy przyjaciół i wiernych towarzyszy; ale tych, których znałem dawniej, już nie dało się odnaleźć, a nowych nie sposób byłoby pozyskać. Z drugiej zaś strony zarówno ustawy, jak też obyczaje psuły się. I to w tempie tak zastraszającym, że ja, dotychczas rwący się do działalności społecznej, zacząłem cierpieć wręcz zawroty głowy – bom patrzył i widział, jak wszystko pędzi ku zagładzie.

Co prawda nie przestałem też rozglądać się, czy skądś nie przyjdzie ratunek. Wciąż oczekiwałem odpowiedniego momentu, żeby wziąć się do czynu. W końcu wszakże doszedłem do wniosku, że wszystkie obecnie istniejące państwa, ile ich jest, są źle rządzone. Ich prawa są nieuleczalnie chore – chyba żeby zastosować jakiś niezwykły zabieg; ale w takim wypadku musiałyby współdziałać różne szczęśliwe okoliczności. To zmusiło mnie do stwierdzenia chwały prawdziwej filozofii. Bo tylko z jej wyżyn można dostrzec, co jest sprawiedliwe tak w życiu państwowym, jak i osobistym. A więc: zło nie przestanie gnębić rodzaju ludzkiego, póki...”

DWIE DECYZJE

Doskonale rozumiem, że chwyt to aż nazbyt łatwy: przerwać ważną relację w połowie zdania. I to właśnie tuż przed słowami, w których Platon ma wyjawić, w czym widzi ostateczny ratunek dla państw, a więc i dla całej ludzkości! Wielu pisarzy stosuje podobne zabiegi, aby podtrzymać zaciekawienie czytelnika i skłonić go do dalszej lektury. Ja wszakże nie czynię tego z takich powodów; nie kieruję się również przewrotnym wyrafinowaniem, właściwym wielu literatom. Przyczyna jest inna, prosta: pragnę unaocznic, w jak gwałtowny i niespodziewany sposób wydarzenia rzeczywistego życia wkraczały w krainę moich studiów filozoficznych. Tak się bowiem złożyło, że właśnie w trakcie rozważań nad tym rozdziałem listu siódmego w domu Pudentilli zapadły dwie doniosłe decyzje.

Oszczędzę moim czytelnikom drobiazgowego opowiadania o tym, jak doszło do pierwszej z nich, bo i tak poświęciłem tej sprawie chyba zbyt wiele miejsca. Krótko mówiąc: postanowiłem poślubić Pudentillę. Powiadomiłem o tym Poncjana, ten zaś matkę. Przyjęła moją propozycję bardzo wdzięcznie. Widocznie wszystkie moje poprzednie zabiegi – czary i zamawiania, rozmowy i aluzje – odniosły swój skutek.

Aliści, gdy tylko rzecz została uzgodniona, Poncjana zaczął usilnie nalegać, aby ślub odbył się jak najrychlej. Pudentilla, przy pełnym moim poparciu, podniosła zastrzeżenia:

– Wpierw Pudens musi przywdziać togę męską, a ty powinieneś znaleźć sobie żonę. Chcę podjąć nowe obowiązki ze świadomością, że w pełni wywiązałam się z dawnych i że moi synowie są już całkowicie samodzielni.

Poncjana jakiś czas jeszcze kołował, potem zaś rzekł z miną bardzo skromną, że właściwie już wybrał sobie dziewczynę.

– Kogóż to? – zapytała Pudentilla.

– Żenię się z Herennią, córką Rufina – odrzekł Poncjana bardzo stanowczo, niemal hardo.

Ośłupieliśmy.

OBLUBIENICA PONCJANA

Długo i jak najusilniej odradzaliśmy Poncjelowi małżeństwo z Herennią, on jednak uparcie trwał przy swoim, głuchy na wszelkie argumenty, moje i matki. Widocznie dziewczyna, biegła w sztuce miłosnej, zdołała do cna odebrać mu rozeznanie. A przecież doskonale wiedział – sam mu o tym doniosłem – że Herennię ostatnio często odwiedzał pewien młody człowiek ze znakomitej w Oei rodziny. Powtórzyłem mu także, co swego czasu opowiadał mi Saturnin: astrolog wyczytał w gwiazdach, że córka Rufina wnet wyjdzie za mąż, lecz wkrótce owdowieje. Okazało się jednak, że Poncjelan nie gorzej ode mnie pamięta nauki naszych mistrzów w Akademii, odrzekł bowiem cytując najspokojniej zdanie z *Timajosa*:

– Planety ślą obawy i oznaki przyszłości tylko tym, którzy nie potrafią rozumować!

Czyż miałem mu odpowiedzieć, że bardziej prawdopodobna wydaje mi się inna lekcja tego zdania, pomijająca przeczenie „nie”? Wydało mi się rzeczą absurdalną i wręcz humorystyczną wszczynać w tym afrykańskim miasteczku dyskusję nad właściwą formą Platońskiej wypowiedzi – i to tylko po to, by odwieść rozpalonego namiętnością młodzieńca od małżeństwa z dziewczyną o bardzo niepewnej przeszłości.

Spisano umowę ślubną. Panna młoda uroczyście przybyła do domu oblubieńca. Przybyła zupełnie spokojna, niemal obojętna, nie płonąć się rumieńcem, bo już dawno od tego odwykła. Lektykę niosło przez ulice miasta ośmiu tragarzy. Świadkowie pochodzą z pewnością na zawsze zapamiętali ten niecodzienny widok: w drodze do domu męża dziewczyna ostentacyjnie pozwałała się podziwiać i z całą swobodą kokietowała młodych. Policzki miała uróżowane, oczy podmalowane i uwodzicielskie; wszystko to można było dojrzeć, choć twarz jej, jak każe stary obyczaj, lekko przesłaniał welonik koloru płomieni, tak zwane *flammeum*.

Przynosiła ze sobą posag w gotówce, to prawda. Czteryście tysięcy. Ale wszystek ten pieniądz co do grosza dnia poprzedniego wzięto od wierzyciela! Był to zresztą posag znacznie większy, niż pozwałało ubóstwo tak dietnej rodziny. Ale stary Rufinus wiedział, co robi. Majątku nie miał, natomiast nigdy nie brakowało mu pomysłów. Apetyt także dopisywał, zwłaszcza na cztery miliony Pudentilli. Dodatkową otuchę czerpał z orzeczeń astrologów. Aby jednak owe zbożne zamiary i przewidywania mogły się zrealizować, trzeba było wpierw mnie usunąć. Wówczas łatwo by przyszło osaczyć naiwne zięcia i osamotnioną Pudentillę.

Starzec rażno zabrał się do dzieła. Gromił Poncjelana przy każdej sposobności. Służba donosiła nam o takich jego przemowach do zięcia:

– Co cię opętało, że wydajesz matkę za tego Apulejusza? Czyś do cna zgłupiał, żeby dobrowolnie ofiarowywać obcemu człowiekowi rodzinny majątek? Na jakie narażasz się ryzyko! A wszystko dlatego, żeście gdzieś tam słuchali czegoś tam o Platonie! Cóż to za rękojmia przyjaźni i uczciwości w sprawach pieniężnych? Póki czas wycofaj się z tego interesu!

Zagroził zięciowi, że jeśli tego nie zrobi, odbierze mu córkę; nie może bowiem pozwolić, by jego ukochane dziecko żyło z kimś nieodpowiedzialnym i z całą oczywistością skazanym na nędzę. Nietrudno mu przyszło przekonać prostodusznego Poncjelana, tym bardziej że z drugiej strony działała innymi środkami perswazji dopiero co poślubiona małżonka. Tak więc zgodnie z wolą tych obojga mój przyjaciel wybrał się do swej matki, by odradzić jej małżeństwo ze mną. To małżeństwo, do którego jeszcze niedawno sam najgoręcej nakłaniał!

GROŻBY RUFINA I LIST PUDENTILLI

Pudentilla przyjęła słowa syna ze zwykłą sobie powagą. Pozostała niewzruszona. Wypomniała mu bardzo surowo, że postępuje lekkomyślnie i nieprzemyślnie. Poncjelan jak niepyszny wrócił z tym do teścia. Ponoć usprawiedliwiał się przed nim i gęsto tłumaczył, że matka jest w ogóle osobą konsekwentną i niełatwo zmienia raz powziętą decyzję; obecnie zaś

jeszcze się utrwałała w swym zamiarze, bo żądanie zerwania ze mną boleśnie ją dotknęło; wiadomo przecież, że gniew zwykle przydaje sił uporowi. Powtórzył też słowa Pudentilli:

– Dobrze wiem, że przychodzisz do mnie z poduszczenia Rufina. Właśnie dlatego tym bardziej muszę się starać, bym miała w osobie męża obronę przed bezczelną chciwością tego człowieka.

Rufin aż zadygotał z wściekłości. Zaczął obrzucać Pudentillę, kobietę nieposzlakowaną i jakże skromną, najohydniejszymi wyzwiskami, godnymi swego domu. I to w obecności jej syna! Wiele osób było świadkami zajścia i powtórzyło nam słowa, które wówczas padły:

– Twoja matka to uwodzicielka! Jej kochanek, Apulejusz, to czarownik i truciciel! Własnymi rękami bym go udusił!

Tymczasem Pudentilla, zdenerwowana całą sprawą i nieoczekiwaną zmianą w postawie syna, postanowiła wyjechać na jakiś czas z Oei. Udała się, oczywiście w moim towarzystwie, do swego podmiejskiego majątku. Stamtąd to, wciąż jeszcze rozżalona i gniewna, napisała list do syna; pisała po grecku, jako że tym językiem władała swobodnie. W owym to liście znalazły się również słowa znamienne:

„Chciałam wyjść za mąż z powodów, o których wspomniałam wyżej. Ty sam przekonałeś mnie, bym wybrała właśnie Apulejusza, a nie kogoś innego. Wyrażałeś się o nim z podziwem i dokładałeś wszelkich wysiłków, by przez małżeństwo ze mną mógł on wejść do naszej rodziny. Teraz tamci podli ludzie atakują nas i zdołali cię przeciągnąć; i oto od razu Apulejusz staje się magiem, ja zaś kocham dlatego, że zniewoliły mnie jego czary. Przyjedź więc do mnie, póki jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach!”

To ostatnie zdanie można by oczywiście rozumieć różnie. Zakończyła jednak list jasnym stwierdzeniem:

„Nie jestem ofiarą czarów i nie jestem zakochana. Nikt wszakże nie może uciec od tego, co mu przeznaczone.”

Poncjan, naiwny i łatwowski, uczynił rzecz najgłupszą z możliwych: nie tylko pokazał, lecz nawet oddał ów list teściowi.

POSAG I ŚLUB

Powolny życzeniu matki Poncjana rzeczywiście przyjechał do nas na wieś, i to wraz z żoną. Wszyscy bawiliśmy tam przez dwa miesiące, choć sytuacja była raczej dziwna, a nastrój niezbyt pogodny; rzekłbym nawet, że jakby przedburzowy. Pudentilla zajmowała się bardzo pracowicie prowadzeniem majątku; co dzień osobiście i skrupulatnie przeglądała sprawozdania zarządcy, koniuchów, owczarzy. Mimo to znajdowała jeszcze czas i siły, by przy każdej sposobności wypominać Poncjelowi jego zachowanie się i zamiary. Gromiła go ostro i napominała, by strzegł się zasadzek Rufina. Miała mu za złe to szczególnie, że fragmenty jej listu odczytywał wraz z teściem różnym ludziom, choć mogli oni zrozumieć je całkiem opacznie; oczywiście chodziło głównie o zdanie ironicznie nazywające mnie magiem, który do miłości zniewala czarami.

Wtedy też, w owej willi za miastem, odbył się nasz ślub i podpisanie umowy majątkowej. Każdemu, rzecz to naturalna, nasunie się pytanie, czemu wybraliśmy właśnie tę ustronną miejscowość? Wyjaśnienie jest proste. Przed nie tak dawnym czasem Pudentilla wyłożyła z okazji ślubu Poncjana około pięćdziesięciu tysięcy sesterców; były to jej własne pieniądze i wszystkie poszły na podarunki dla obywateli Oei, którzy stawili się tłumnie, by uświetnić uroczystość. Tak nakazywał stary zwyczaj i trzeba było przeboleć tę stratę. Nikt jednak nie może mieć nam za złe, że pragnęliśmy zaoszczędzić sobie tak znacznego wydatku. Chcieliśmy też odsunąć od siebie owe przyjęcia i odwiedziny, do których zgodnie z obyczajem zobowiązani są nowo poślubieni. To, i tylko to, sprawiło, że ceremonii zaślubin dokonaliśmy w

pewnej odległości od miasta, skromnie i cicho. Wszelako osoby mniej nam życzliwe oraz zawiedzione w swych rachubach na przyjęcie i podarunki wnet zaczęły rozpuszczać pogłoski, że to ja jestem winien wszystkiemu; ponoć wywiozłem Pudentillę na wieś, by tam bezpiecznie omotać ją swymi intrygami i czarodziejskimi zabiegami. Nic fałszywszego!

Umowa ślubna postanawiała, że Pudentilla wnosi mi w posagu trzysta tysięcy. Był to więc posag o sto tysięcy mniejszy od tego, który otrzymała Herennia. A przecież Pudentilla należała do najbogatszych kobiet w całym mieście, a może i w całej prowincji. Jakież może być lepszy dowód, że zupełnie mi nie chodziło o wzbogacenie się na ożenku z Pudentillą?

Co więcej: ów posag nie został mi wypłacony w gotówce, lecz pozostał jako wierzytelność w majątku Pudentilli. Była też dodatkowa klauzula, zastrzegająca, że posag ma w całości przypaść jej synom, Poncjaniowi i Pudensowi, gdyby zeszła ze świata nie mając dzieci ze mną; gdyby natomiast urodziła dziecko, wtedy przypadnie mu połowa posagu, druga zaś połowa obu synom z pierwszego małżeństwa.

W podobnych wypadkach umowy ślubne brzmią zwykle inaczej. Nikt się nie dziwi, jeśli wdowa średniej urody i wieku nieco ponad średniego pragnąc wyjść za mąż zwabia konkurenta wielkim posagiem i szczególnie dogodnymi warunkami majątkowymi; zwłaszcza jeśli chodzi o człowieka młodego, przystojnego, wykształconego, stosunkowo zamożnego.

PONCJAN BIJE SIĘ W PIERSI

Twierdzi się często, że studium filozofii odwodzi od spraw tego świata, czyni niezaradnym w kwestiach majątkowych, skazuje na biedę i poniewierkę. Nigdy tak nie uważałem, a nawet starałem się w miarę swych skromnych możliwości zadać kłam owemu nazbyt rozpowszechnionemu mniemaniu. Ostro zabrałem się do pracy, zwłaszcza w Oei. Przybyłem do tego miasta tylko z jednym niewolnikiem. Wszelako miłość prawdziwej mądrości wielce mi tu dopomogła; ona to utorowała mi drogę do domu Pudentilli, a później także do małżeństwa z tą chyba najbogatszą kobietą w tej części prowincji.

Pudentilla, jak to dopiero co wyłożyłem, wniosła mi posag bardzo skromny, ale u jej boku mogłem żyć dostatnio; otwartą też pozostawała sprawa jej testamentu. Na razie o tym nie myślałem. W danym momencie chodziło o to, by wieść o mojej wspaniałomyślności wobec pasierbów rozeszła się jak najszerzej i dotarła do uszu osób zainteresowanych. Uczyniłem jeszcze coś innego. Napisałem list do znanego mi dobrze namiestnika naszej prowincji, Lolliana Awitusa, w którym bardzo dokładnie przedstawiłem historię swego pobytu w Oei i małżeństwa z Pudentillą – oczywiście we właściwym oświetleniu. W piśmie tym nie szczędziłem też wyrazów ubolewania nad postępowaniem Rufina, pod którego wpływami znalazł się mój niešťczęśny pasierb Poncjani. List, niby to nie dokończony, pozostawiłem otwarty na stole w pokoju bibliotecznym; nie muszę dodawać, że uczyniłem to z całym rozmysłem. Byłem pewien, że ktoś ze służby przeczyta go i natychmiast cichaczem pobiegnie do Poncjana (a działo się to już po naszym powrocie ze wsi do Oei), by go powiadomić, jak wielkie grozi niebezpieczeństwo: Apulejusz pisze do samego namiestnika, swego przyjaciela, donosząc o wszystkich perypetiach domowych i źle się wyrażając o Poncjanie; to może zwichnąć karierę młodego człowieka, który przecież chciałby zostać adwokatem.

Efekt był natychmiastowy. Poncjani stanął się w naszym domu wraz ze swym młodszym bratem Pudensem. Z płaczem rzucił się do nóg matki. Błagał, by mu wybaczyła dotychczasowe postępowanie. Całując po rękach mnie i Pudentillę prosił na wszystkie świętości, by zapomnieć, że dał się zwieść namowom Rufina i ludzi jemu podobnych. Zapewniał, że jest wręcz zawstydzony naszym dobrodziejstwem. Wreszcie odsłonił, o co jeszcze mu chodzi: miałem napisać do Lolliana Awitusa list polecający jego, Poncjana, osobę i zdolności.

Chętnie się przychyliłem do tej prośby. Tym bardziej że Awitus – dowiedziałem się o tym drogą poufną – miał już niedługo odejść z urzędu. Niczego więc nie ryzykowałem.

Poncjan, wdzięczny i do głębi wzruszony, wyjechał z moim listem polecającym do Kartaginy. Ja natomiast, wreszcie spokojny i szczęśliwie żonaty, mogłem znowu zająć się Platonem.

MARZENIA O WŁADZY

Pora więc wrócić do owego zdania z listu siódmego, które tak raptownie przerwałem w połowie, kiedy w spokojny nurt studiów filozoficznych wdarły się sprawy matrymonialne, moje i Poncjana. Przypominam: Platon twierdzi, że zło nie przestanie gnębić rodzaju ludzkiego, póki... I tu padają wielkie słowa, wciąż powtarzane, cytowane, komentowane: „Póki nie obejmą władzy ci, którzy miłują mądrość prawdziwie i w sposób właściwy – albo też, za jakimś bożym zrządzeniem, władcy państw nie zaczną poważnie filozofować.”

Powiniennem obecnie rozpocząć uczony wywód w stylu profesorskim: o powołaniu filozofa i polityka; o jedności najwyższego dobra społecznego i indywidualnego; o istocie władzy i mądrości. O tym powiniennem pisać. Ale – powiem szczerze – moje pierwsze myśli po przeczytaniu słów Platona nie były tak szczytne. Zacząłem się zastanawiać, dla żartu oczywiście, w jakiej mierze owa wielka maksyma mogłaby także mnie dotyczyć. Myślałem:

Skoro ja, tak oddany filozofii, okazałem się jednocześnie człowiekiem roztroptym w interesach, wyprowadzając w pole nawet starego wygę Rufina, to chyba poradziłbym sobie również ze sprawami państwa. Ba, może nawet poprowadziłbym je sensowniej od wielu mężów stanu! Polityka nie jest przecież trudniejsza – wbrew mniemaniu ogółu – od zarządzania domem, rodziną, majątkiem; od radzenia sobie z intrygami, które przeciw nam knują przyjaciele i sąsiedzi. Kto potrafi dobrze sterować wśród raf życia codziennego, będzie też sprawnie żeglował pomiędzy Scyllami i Charybdami tak zwanej wielkiej polityki. Jeśli dobrze rzecz rozważyć, problemy tu i tam są identyczne w swej istocie i wymagają podobnych umiejętności, by im sprostać: trochę sprytu, sporo nieufności, zdolność przewidywania, jakie będą zwykłe, ludzkie reakcje; trzeba też umiejętności dokonywania w odpowiednich momentach właściwych gestów. Gestów, powtarzam, nie czynów! Tylu władców i przywódców w różnych krajach i epokach wywodziło się z nizin społecznych; byli to na ogół ludzie zupełnie niewykształceni, często dochodzili do rządów skutkiem przypadku, a jednak nieźle sobie radzili. Zresztą my wszyscy łatwo ulegamy pewnemu błędowi perspektywy. Stojąc bowiem w dole patrzemy ku górze, na tych nad nami; ponieważ znajdują się wyżej od nas, sądzimy, że są wyżsi. A przecież to najzwyczajniejsi ludzie! Sprawy bieżącej polityki załatwiają nie zawsze najsensowniej, a tylko pochlebcy i co głupsi historycy upatrują w ich słowach i czynach przedziwną głębię, doszukując się genialnej motywacji najprostszego posunięcia. Toteż wszystkie te gadania dziejopisów są niby cymbał brząkający.

Otóż właśnie filozof u władzy tym by się różnił od pospolitego polityka, że nie tylko prowadziłby państwo niezgorzej, lecz jeszcze widziałby przed sobą jakiś cel wielki i ostateczny, a mianowicie zbudowanie nowej społeczności, praworządnej, pokojowej, sprawiedliwej. Człowiek wyzbyty osobistych ambicji, intelektualnie i etycznie stojący ponad zwykłymi śmiertelnikami, mocną ręką wiódłby swój lud ku portowi szczęsnej przyszłości.

W tym momencie te rozważania przestały mnie bawić. Przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiem, ku jakiemu to portowi miałbym prowadzić powierzone mi państwo. W zasadzie powinien bym mieć odpowiedź gotową: ku temu, który wyznaczył mistrz mój, Platon, obmyślając ustrój doskonały. Wszelako dzięki niedawnym studiom miałem w świeżej pamięci pewne szczegóły tego ustroju: wspólne posiadanie kobiet; sposoby rozmnażania w warstwie

strażników; odbieranie dzieci rodzicom; wyganianie poetów; poprawianie dawnych utworów, by mogły służyć aktualnym potrzebom.

Uznałem, że bliższe memu sercu są zagadnienia demonologii oraz bieżące sprawy majątkowe.

USTRÓJ GODNY FILOZOFA

Ale dość już żartów. Dotknąłem przecież sprawy, która dla założyciela Akademii była zapewne największa i najświętsza. Niektórzy nasi mistrzowie widzą w niej w ogóle centralną myśl jego nauki. Twierdzą, że ona to pasjonowała go prawdziwie i najgłębiej. Nie owe idee bytujące gdzieś w formie nieskalanej, nie wzloty i upadki duszy, nie powstanie i obroty kosmosu, a nawet nie samo bóstwo, stwórca wszystkiego! Należy bowiem powtarzać stale i niezmiennie (co też czynię, może nawet z pewnym uporem): Platon od lat swych młodzieńczych aż po schyłek życia, gdy układał *Prawa* i pisał list siódmy, był przede wszystkim politykiem. Oczywiście politykiem nieszczęśliwym, jako że nigdy nie miał możliwości wcielenia swych pomysłów w życie – choć, trzeba to przyznać, nie ustawał w wysiłkach, by znaleźć takie możliwości. Nie mam więc prawa ściągać w dół niewczesnymi refleksjami tego, co on traktował jako zwieńczenie swych konstrukcji myślowych. Platon rozumował tak: skoro filozofowie górują nad innymi mądrością i postawą moralną, słuszne jest i sprawiedliwe, by właśnie oni, najgodniejsi, przewodzili zwykłym śmiertelnikom, co ślepo ulegają swym popędom.

Aliści właśnie w tym miejscu coś mnie zastanowiło. Może żartobliwe fantazjowanie, że właśnie ja, Apulejusz, miałbym również prawo pretendować do władzy, nie tak całkiem było od rzeczy? Słowa Platona, że władcy muszą stać się filozofami lub filozofowie władcami, uchodzą dziś za szokujące. Z jakiejże głównie przyczyny? Po prostu z tej, że poszukiwacze mądrości uważa się za oderwanych od praktycznego życia, za niezaradnych fantastów i marzycieli. Ja swoim przykładem dowodzę, że tak być nie musi. Ale już w czasach Platona powszechna opinia o filozofach przedstawiała się podobnie. Sięgam po szóstą księgę *Państwa* i znajduję w niej taką wypowiedź Adejmanta, brata Platona:

– Kto zajmuje się filozofią zbyt długo, staje się dziwakiem i człowiekiem do niczego. A nawet ci najlepsi z filozofów są dla państwa zupełnie nieprzydatni.

Sokrates odpowiada na to długo i okrężnie, a na moje rozumienie niezbyt przekonująco. Przy sposobności oczywiście atakuje sofistów, pseudopedagogów, nauczycieli podstępnych chwytów myślowych. Dochodzi wreszcie do konkluzji tej treści:

Doskonałe państwo, doskonały ustrój, doskonały człowiek mogą stać się rzeczywistością. Pod tym wszakże warunkiem, że pewna konieczność zmusi do zajęcia się polityką jakże nielicznych miłośników prawdziwej mądrości; tych, co to powszechnie uważani są nie za złych, lecz po prostu za bezużytecznych. Oczywiście zarazem musiałby spełnić się jeszcze jeden warunek: ten mianowicie, że państwo, czyli społeczeństwo, zechce słuchać filozofów. Wreszcie można wyobrazić sobie i taką sytuację, że synowie dzisiejszych władców stają się wielbicielami mądrości i wiernie idą za jej wskazówkami.

Potem Sokrates mówi pięknie i obrazowo:

– Filozofów, godnych tego miana, jest obecnie bardzo niewiele. Ci zresztą całkiem nie myślą się ujawniać. Jakże bowiem przedstawiają się stosunki we wszystkich państwach, ile tylko jest ich na ziemi? Nigdzie nie ma zdrowej, sensownej polityki. Trudno nawet byłoby znaleźć sobie sprzymierzeńca, żeby pospieszyć z nim sprawiedliwości na odsiecz. Człowiek rozumny czuje się tak, jak gdyby znalazł się wśród dzikich zwierząt. Oczywiście nie będzie postępował jak one i nie będzie rzucał się na ludzi, ale z drugiej strony nie jest w stanie stawić czoła bestialstwu wokół siebie. Sam niczego nie dokaże. Chyba tyle tylko, że zginie przedwcześnie. Najlepiej więc siedzieć cicho i zajmować się wyłącznie swoimi sprawami. Tak

właśnie zdarza się zimą; wichur niesie tumany kurzu lub siecze deszczem, więc człowiek kuli się gdzieś pod murkiem. Patrząc, jak inni dopuszczają się wszelkich bezceństw, trzeba uważać się za szczęśliwca, że samemu zachowało się czyste ręce. Tak będzie się żyć w ukryciu, póki nie przyjdzie czas odejścia; a dokona się ono nie bez pięknej nadziei, spokojnie i z dobrą myślą.

DROGA POWROTNA Z KARTAGINY

Ostatnie słowa poprzedniego rozdziału utkwiły w mej pamięci na zawsze; zaledwie bowiem je napisałem, przysły smutne wieści od Poncjana.

To prawda, że poślubiając Herennię uległ on namiętności. Rzecz zdrożna, ale przecież wybaczalna. Toż pisma Platona najdowodniej świadczą, jak podatny był na strzały Erosa zarówno on sam, jak i Sokrates. Przytoczyłem już sporo scen i wypowiedzi dobrze oddających tę słabość obu mężów. Przypomnę choćby miłosne elegie Platona, które deklamowałem w czasie pierwszej wizyty u Pudentilli, mojej obecnej żony, a także spotkanie Sokratesa z Charmidesem, wujem Platona, i słowa mędrca:

– Kamień probierczy to ze mnie żaden. Złoto znajduję w każdym pięknym chłopcu, a pięknymi wydają mi się prawie wszyscy młodzi.

Mógłbym wskazać sporo miejsc podobnych. Z czego by wynikało, że jestem wstrzemięzliwszy od tamtych obu, bom pojął żonę po dokonaniu prawdziwie filozoficznego obrachunku. Z drugiej wszakże strony nie mogę winić Poncjana, że tak nagle i szaleńczo stracił głowę dla tej uwodzicielki Herennii. Tym bardziej że szybko ochłonął z opętania. Pokazują to jak najoczywściej listy, które pisał do mnie z Kartaginy i potem powracając z tego miasta. Wyjechał do stolicy naszej prowincji, aby pokłonić się Lollianowi Awitusowi. Namiestnik, dzięki mojej rekomendacji, przyjął go uprzejmie. Był to zresztą człowiek wszechstronnie wykształcony, a nawet poważnie interesujący się filozofią. Złożył Poncjanowi gratulacje, że znalazł w mej osobie tak dobrego ojczyzna oraz że tak rychło przejrzał i naprawił swoje błędy w stosunku do mnie. Wszystko to rokowało dobre widoki na przyszłość, nawet w wypadku zmiany na stanowisku namiestnika. Poncjana musiał się zorientować w Kartaginie, że taka zmiana jest oczekiwana. W tej sytuacji zdecydował powrócić do Oei; sprawę najpilniejszą w każdym razie załatwił.

Podróż, którą właściwie można było odbyć w ciągu dni kilkunastu, przeciągnęła się nadszalenie; stała się dla Poncjana podróżą ku wieczności.

Najpierw otrzymałem odeń list, w którym ponownie zapewniał gorąco, że widzi we mnie swego prawdziwego ojca, pana, nauczyciela, oraz powiadamiał, że czuje się dobrze. List następny, również pełen serdeczności, kończył się notatką: „Z moim zdrowiem nie najlepiej. Dlatego też albo w ogóle przerwę podróż, albo będę ją odbywał bardzo powoli.” Wreszcie nadszedł list trzeci, krótki i jakiś smutny, choć pozornie brzmiał obojętnie; wyczuwało się wszakże, iż Poncjana przygotowany jest na najgorsze. Przedziwne było postscriptum: „Piszę nowy testament. Na głównych spadkobierców wyznaczę matkę i brata. Herennia otrzyma legat: Iniane prześcieradła wartości dwustu sesterców.”

Co to miało znaczyć? Skąd to naigrzanie się z żony? Przecież ślub odbył się zaledwie przed kilku miesiącami! Na pewno jeszcze mu się nie znudziła, ale już mogła go zdradzić. W każdym razie lepiej byłoby dla niej, gdyby całkiem została pominięta w testamencie męża. Legat w postaci bezwartościowych płócienek uczyniłby z niej pośmiewisko Oei na długie lata.

A potem przyjechał posłaniec z wiadomością, że Poncjana zmarł.

ROZMYŚLANIA W BIBLIOTECIE

Pudentilla zamknęła się w swoim pokoju, rzewnie oplakując śmierć pierworodnego syna. Ja cały dzień przesiedziałem w bibliotece. Była to ta sama obszerna sala, w której zaraz po przeniesieniu się od Appiuszów położyłem przed ołtarzykiem bóstw domowych świętości skromnie owinięte w lniane płótno; dopiero nazajutrz spostrzegłem, że pokój pełen jest zwójów papirusowych. Wszystkie owe książki znajdowały się tutaj nadal i dobrze mi służyły przez tyle miesięcy przy pracy nad Platonem. Jak już mówiłem, Poncjana skupywał te książki w Atenach, w czasie naszych wspólnych studiów w gajach Akademii; wtedy bowiem był entuzjastycznym miłośnikiem prawdziwej mądrości.

Jak wiele zawdzięczałem temu młodemu człowiekowi! To on sprawił, że przekroczyłem próg gościnnego domu Pudentilli. To on dokładał wysiłków, bym pojął za żonę panią domu. I wreszcie jego to biblioteka pozwoliła mi tutaj, w prowincjonalnym miasteczku, poważnie studiować życie i poglądy Platona, w ten sposób powracając do wspomnień naszych młodych lat ateńskich.

Przez cały dzień nie napisałem ani jednego słowa. Patrzyłem na ostatnie zdanie poprzedniego rozdziału: „Tak będzie się żyć w ukryciu, póki nie przyjdzie czas odejścia; a dokona się ono nie bez pięknej nadziei, spokojnie i z dobrą myślą.” Zaprawdę, w takim właśnie nastroju, w niezmaconej pogodzie wewnętrznej, winien umierać każdy prawdziwy uczeń Platona! Każdy, kto wchłonął sercem i umysłem nauki mistrza, wciąż powtarzane i na nowo rozpatrywane w jego dialogach:

Najszlachetniejsza, myśląca część duszy jest dziełem samego boga-stwórcy. Istniała jeszcze przed ukształtowaniem śmiertelnego ciała, toteż po jego zgonie wraca do swej gwiazdnej siedziby, do świata wiecznego piękna, którego pamięć, choćby przytłumioną i niejasną, zawsze w sobie nosi. Lecz tak szczęśny, natychmiastowy powrót spotyka tylko te wybrane dusze, które szczerze miłowały prawdziwą mądrość; z większością wszakże dusz bywa inaczej. Te bowiem, co zbyt blisko się z ciałem, kochając je i ulegając jego żądom, do głębi przesiąkły śmiertelną naturą; toteż w chwili zgonu nie potrafią całkowicie się oderwać od ciężkich, widzialnych pierwiastków i nie są w stanie wzbić się w przestwory. Pozostają więc na ziemi i tułają się wokół grobów, gdzie ponoć często spotyka się jakieś cienie i widziadła. Ale po pewnym czasie znowu wchodzi w ciała i odradzają się jako istoty żywe. Te najgorsze i najbardziej zanieczyszczone stają się zwierzętami złymi, krwiożerczymi; tak więc sadysta i surowy despota może wcielić się w jastrzębia lub wilka. Natomiast te, które żyły uczciwie, choć nie znały prawdziwej mądrości, zaczynają nowe istnienie jako pszczoły lub mrówki, a nawet przebywać mogą w ludzkim ciele, by po przejściu wielu szczebli oczyścić się całkowicie i powrócić do niebiańskiej ojczyzny.

Myśl jest piękna i prosta. Gdy jednak przyjdzie w duchu jej wskazań rozważać losy pośmiertne duszy jakiegoś człowieka, natychmiast powstają wielkie trudności. Weźmy bowiem życie Poncjana! Gdy zajmował się filozofią, czynił to z prawdziwym zapałem. Nie szczędził czasu, wysiłków, pieniędzy; dowodem choćby jego biblioteka. Nie było to zresztą tylko kolekcjonowanie książek, bo dzieła Platona znał doskonale, nie gorzej ode mnie. Potem wszakże odszedł od filozofii; najpierw dla prawa, ostatnio zaś dla Herennii. Cóż więc będzie się dziać z jego duszą? Iluż latami tułaczek wokół grobu, iluż nowymi wcieleniami – i w jakiej postaci? – zapłaci ona za brak wytrwałości i za uległe poddanie się żądy?

POGRZEB PONCJANA

Lecz oto stało się coś, czego nikt nie przewidywał.

Pudens wciąż wychowywał się w naszym domu. Nie przywdział jeszcze męskiej togi i trzymany był krótko. Współ z matką dobrałem mu dobrych, surowych nauczycieli. Nalegałem na to bardzo ostro, ponieważ już przy pierwszej wizycie w tym domu zauważyłem, że Pudens naprawdę zna tylko język punicki; grecki o tyle, o ile nauczył się go od matki, mówiąc natomiast po łacinie wciąż dziwnie się jąka. Wszystko to pochodziło oczywiście stąd, że dotychczas przebywał najczęściej i najchętniej wśród wiejskich prostaków. Rzecz zrozumiała, że moje przestrogi i metody nie mogły zjednać mi życzliwości chłopca. Gdybym to mógł przewidzieć, na jakie kłopoty narazi mnie moja awersja do punickiego, a umiłowanie poprawnej łaciny!

Pogrzeb Poncjana przygotowaliśmy jak najstaranniej, zachowując wszystkie zwyczajowe ceremonie. Zwłoki wyniesiono w uroczystym pochodzie poza granice miasta, gdzie przy drodze wiodącej na wschód, ku Leptis Magna, wznosił się okazały grobowiec rodzinny. Tam zatrzymaliśmy się dłużej, by dokonać ostatnich obrządków. Nikt z nas, pogrążonych w smutku i żalobie, nie dostrzegł, że Pudens znikł jakoś bardzo rychło. Ale gdy już pod wieczór wróciliśmy do miasta, na próżno dobijaliśmy się do bramy domu; była zamknięta na wszystkie zasuwę. Pudens siedział na dachu z gromadą sobie podobnych wyrostków i za nic nie chciał nam otworzyć. Krzyczał na cały głos, że to jego dom; że prawnie mu się należy po śmierci brata; że Poncjana swój majątek jemu tylko zapisał, bo matka i tak jest bogata, ale myśmy testament sfalszowali; że nie pozwoli, by matka oddawała całą fortunę obcemu przybłędzie, Apulejuszowi, który ją opętał czarami.

Od razu zbiegły się tłumy sąsiadów. Ludzie wrzeszczeli, śmiali się, jedni stawali po tej, drudzy po tamtej stronie. Nie wiem, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie kilku roślących parobków z naszej służby. Przeszli oni przez dachy pobliskich domów na nasz dach i po tej- samej bijatyce tamtych przepędzili.

Pudens natychmiast przeniósł się do swego stryja, Emiliana. Dotychczas prawie się nie widywali. Emilian chyba nie bardzo nawet wiedział, jak wygląda jego bratanek i na pewno nie poznałby go na ulicy. Teraz dopiero w obu ozwała się miłość rodzinna.

Rozumiem Pudensa. U nas reżim był surowy. Musiał się uczyć. Zabraniałem mu mówić po punicku, a jego łacinę poprawiałem niemal co słowo. Chłopiec widział we mnie tylko zgryźliwego profesora i ponurego pożeracza papirusowych zwojów, a nade wszystko podstępного czarownika, który już zabrał mu matkę, a zamierza też zagarnąć cały majątek. Natomiast w domu Emiliana znalazł absolutną swobodę. Stryj dał mu toż samą męską, a więc formalnie go upełnoletnił. Poszły w kąć książki i przegnano nauczycieli. Pudens całymi dniami włóczył się z koleżkami po tawernach. Był wiecznie pijany i wciąż w towarzystwie dziewczyn lekkich obyczajów. Często odwiedzał też szkołę gladiatorów; znał po imieniu wszystkich tych morderców.

Tak więc, powtarzam, Pudensa rozumiem. Ale jaki miał w tym interes Emilian? Gdy mnie o to pytano, robiłem tajemniczą minę, bezradnie rozkładałem ręce, a potem zrećźnie sprowadzałem rozmowę na zagadnienia prawa spadkowego. Zapytywałem, niby to sam w to nie wierząc:

– Czy to prawda, że gdyby Pudens zmarł bez testamentu, jego majątek przypadłby stryjowi?

Ale tamta strona też nie pozostała dłużna. Rozeszły się pogłoski, że to ja pomogłem Poncjnowi przenieść się na tamten świat. Całe szczęście, że zmarł nie w Oei! Ale i tak szeptano, że go otrujęm przy pomocy niewolnika; a jeszcze inni twierdzili, że znam śmiertcionośne zaklęcia.

I tutaj znowu na scenie pojawił się Rufinus z Herennią.

SPRAWA PEWNEJ STATUETKI

Któregoś dnia Pudentilla wróciła z miasta bardzo wzburzona i natychmiast kazała dziewczynie prosić mnie do siebie. Choć zwykle zachowywała aż przesadną powściągliwość w ruchach i w słowach, teraz, nie panując nad sobą, zaczęła bez żadnych wstępów czynić mi gwałtowne wyrzuty:

– Czy wiesz, co ludzie mówią o tobie? Podobno masz wśród swoich ksiązek statuetkę kościotrupa! Opowiadają, że odprawiasz przy niej magiczne obrzędy, a ona jest ci posłuszna jak niewolnik. Nawet śmierć możesz zesłać przy jej pomocy, na kogo tylko zechcesz. Mówią, że tak pozbyłeś się Poncjana! Nie musisz się bronić, nie próbuj mnie przekonywać. Ja sama dobrze wiem, że to wszystko łągarstwo i bzdura. Taka sama jak i to, że się zakochałam w tobie, boś mnie zniewolił zaklęciami i lubczykiem. Ale dość już mam twoich tajemnic i ciąglego zamykania się w bibliotece! Co ty tam właściwie ukrywasz? Co jest w tym lnianym zawiniątku przed ołtarzem bóstw domowych?

Nie muszę opisywać, jak straszliwie się przeraziłem. Rzecz była poważna i groźna. Gdyby wytoczono mi sprawę sądową o praktyki magiczne – i to jakie praktyki! – utraciłbym nie tylko Pudentillę, nie tylko majątek, lecz nawet życie. Nie dałem jednak poznać po sobie, że serce z lęku podchodzi mi do gardła. Bez słowa wskazałem żonie drzwi do biblioteki. Weszliśmy do sali obszernej, cieniejszej, chłodnej, wypełnionej jakże miłym mi delikatnym zapachem zwojów papirusowych. Na stole biała chusta przykrywała kilka przedmiotów. Nie zdjąłem jej całej, lecz tylko lekko uniosłem z jednej strony i wyciągnąłem statuetkę.

– Oto kościotrup – rzekłem siląc się na ton bagatelizującej ironii.

Figurka z ciemnego drzewa hebanowego przedstawiała młodzieńca o gęstym, miękkim zarostie i o kędzierzawych włosach, niesfornie wybiegających spod kapelusza o szerokim rondzie; na ramionach narzucony miał krótki płaszczyk. Był to oczywiście bóg Merkury we własnej osobie; najwyraźniej wskazywały na to dwa maleńkie skrzydełka, umieszczone tuż obok skroni. Całość została wykonana z cieniutkich deseczek hebanowych, które mistrz skleił i dopasował jak najściślej. Gdybym na własne oczy nie widział skrzynki, którą rozbito, by użyć skać owe deseczki, przysięgałbym, iż rzecz wyrzeźbiono z jednego kawałka drewna. Mistrzem-wykonawcą był oczywiście Saturnin. Skrzynkę dostarczył Poncjani; jakimś sposobem wy dostał ją od pewnej damy, zgodnie z obietnicą, którą złożył, gdyśmy wyszli z warsztatu rzeźbiarza. Saturnin najpierw wykonał dla mnie model kosmosu; gdy go przyniósł, wywiązała się owa ciekawa rozmowa o kierunkach obrotu wszechświata. Statuetkę otrzymałem odeń nieco później, ale jeszcze przed moim małżeństwem z Pudentillą.

Do tej figurki modliłem się w dniach świątecznych. Składałem przed nią ofiary z kadzidel i z wina, a czasem i krwawe. Ktoś ze służby musiał to podpatrzeć. Widział jednak lub opowiedział niedokładnie, skoro z powabnego młodzieńca uczynił ponurą podobiznę kościotrupa. A może źródło owego kłamstwa jest jeszcze inne?

Niespodziewanie, chyba za sprawą samego Merkurego, doznałem olśnienia. Przecież, gdyśmy z Poncjaniem opuścili warsztat Saturnina, w wąskiej uliczce zastąpił nam drogę Rufin. Powiedziałem mu dla żartu, że właśnie zamówiliśmy statuetkę kościotrupa. Rufin uwierzył i sam nawet jeszcze coś tam wykladał o pierścieniu, na którym wryty jest lew bezgłowy nad szkieletem. Wszystko więc stało się jasne. Ktoś, zapewne Pudens, opowiadał, że składałem ofiary figurce z drzewa, natomiast Rufin dodał, iż chodzi o wyobrażenie kościotrupa. Czyli, wniosek niechybny, ci dwaj już się pokumali. Jeśli tak, to jakąś rolę w tym przymierzku odegra też Herennia.

I właśnie w tejże chwili Pudentilla, jakby szła trop w trop za biegiem mych nie wypowiedzianych myśli, powiedziała z nowym atakiem wściekłości:

– Z tym szkieletem w porządku, to zwykle oszczerstwo, ani przez moment w to nie wierzyłam. Ale o czym ci jeszcze nie mówiłam, a co mnie boli stokroć bardziej, bo to prawda: Rufin chce koniecznie wydać Herennię za Pudensa! Pomyśl, brat ma poślubić wdowę po bracie! I to o tyle starszą od siebie! Nigdy tego nie przeboleję!

A potem dodała z iście kobiecą bezwzględnością w głosie:

– Herennia jest przekleństwem naszego domu. Żałuję, że naprawdę nie masz kościotrupa. Sama bym mu coś ofiarowała. A te inne rzeczy pod chustą na nic się nie zdadzą?

Wyjaśniłem, że to tylko symbole wtajemniczeń w misteria Dionizosa. Zrozumiała od razu, o jakie to chodzi symbole, toteż przez skromność niewieścią już się nie domagała, bym je pokazał.

Gdy Pudentilla wyszła z biblioteki, pieczołowicie owinąłem Merkurego chustą. Ze smutkiem, ale i nie bez pewnej złośliwości dumałem, jak to upada znajomość spraw bożych nawet u pań tak wykształconych, jaką niewątpliwie jest moja żona. Patrzą na Merkurego i widzą w nim tylko uroczego młodzieńca, posłańca bogów i ludzi, opiekuna uczniów, poetów, filozofów. A przecież wszyscy powinni by wiedzieć, że tenże sam Merkury odbiera od niepamiętnych czasów wielką cześć w Egipcie jako bóg Tot, przedstawiany z dziobem ibisa, pan wszelkiej wiedzy tajemnej. Po cóż zresztą sięgać aż do egipskich wierzeń? Hermes, a więc nasz Merkury, prowadzi dusze zmarłych do krainy podziemnej już w *Odysei* Homera. I on też może stamtąd je przywieść, każdemu na usługi, kto tylko zna odpowiednie zaklęcia.

GDYBYM ZNAŁ ZAKLĘCIA

Pudentilla oczywiście nie wiedziała wszystkiego. Kościotrupa nie miałem, to prawda. Zaklęć rzeczywiście skutecznych też nie znałem. Zbierałem wszakże, gdzie i jak tylko mogłem, formułki i modlitwy zawierające mnogość dziwnych wyrazów z różnych języków: z egipskiego i greckiego, z hebrajskiego i perskiego. Studiowałem prastare księgi, wywiadywałem się u przyjaciół, miałem nawet pewne kontakty z tajnymi bractwami. Czyniłem to wyłącznie z umiłowania wiedzy, bez żadnych myśli o korzyściach osobistych. A już z całą pewnością nie działałbym na czyjąkolwiek szkodę. Owszem, chętnie bym wywoływał duchy. Po to wszakże, by się od nich wywiedzieć, jak to naprawdę jest po tamtej stronie, w świecie zmarłych: czy bytują oni w podziemiach, czy też wśród nas w powietrzu, czy w dalekiej krainie za Oceanem, gdzie słońce zachodzi, czy wreszcie wśród gór i równin księżycy. Bo nie ma co do tego zgody ani wśród filozofów, ani wśród prostego ludu. Chętnie też, gdybym znał odpowiednie zaklęcia, wcieliłbym się lub przemienił, oczywiście na krótko, w inną istotę. Na przykład w wielką rybę, aby na własne oczy ujrzeć głębiny morskie. Cóż to za świat niezwykły musi się kryć pod falującą powierzchnią sinego przestworu! Nawet najśmielsi nurkowie nie zapuszczają się głębiej niż kilkanaście stóp, i to tuż przy brzegu. Nawet największe sieci rybackie też nie sięgają głębiej. A przecież tam, na samym dnie, mogą istnieć i rozkwitać wielkie kultury, ogromne miasta, możne państwa, stworzone przez istoty, których kształty i obyczaje są dla nas po prostu niewyobrażalne. Mogą to być jakieś ryby potworowate, kraby lub rozwiazdy, małże lub ślimaki. Fale morskie wyrzucają na brzeg najprzeróżniejsze stwory. Fascynowały mnie od lat chłopięcych. Sam je zbierałem, chodząc po wybrzeżu, a także skupywałem co ciekawsze okazy, dobrze płacąc rybakom i chłopcom. Lecz wszystkie one, choć tak zdumiewająco różnobarwne i różnokształtne, niewiele mówią o życiu głębin prawdziwych. Mają się bowiem tak do niego, jak ptaki w powietrzu do życia na powierzchni ziemi. I jeśli jakaś istota znajdująca się na którejś ze sfer niebiańskich chwyta przypadkowo orły lub sokoły, porwane w górę przez burzę lub huragan, tego zaś, co niżej, nie widzi, bo przesłaniają chmury, mgły, kurz i opary, jakżeż mało wie o bogactwie form naszej egzystencji!

A jeśli już wspominałem o ptakach: właśnie w ptaka najchętniej bym się przemienił. Swobodnie szybowałbym ku chmurom i jeszcze ponad chmury. Poleciałbym ku najodleglejszym krainom, ponad góry i morza, ponad pustynie i puszcze. Poznałbym ludy, o których u nas krążą tylko głuche wieści. Podziwiałbym cuda natury. Byłbym wolny, pokonałbym przestrzeń! Myślę, że nie tylko ja żywię w skrytości takie marzenia – przyznaję, niezbyt godne filozofa. Sądzę też, że ludzkość nigdy z nich nie zrezygnuje – jak długo ptaki będą chyżo śmigać nad nami, przykutymi do ziemi.

Właśnie tu, w Oei, poznałem człowieka, który przysięgał, że ma receptę na przeistoczenie się w ptaka i że może mi to zademonstrować, jeśli tylko pokryję koszty. Nazywał się Kwincjan. Mieszkał w domu niejakiego Krassusa; był to ten sam Krassus, o którym wspomniał mi kiedyś Rufin, że co roku spędza kilka miesięcy w Aleksandrii; i teraz tam bawił. Pewnego wieczoru zamknęliśmy się w tym domu. Gdy zapadła noc, Kwincjan przy świetle łuczywa złożył tajemnemu bóstwu ofiary z różnych rodzajów ptactwa; kupił je oczywiście za moje pieniądze. On też, mistrz ceremonii, odmawiał zaklęcia nad kociołkiem, w którym warzył cuchnący płyn: krew ptaków z dodatkiem przedziwnych ingrediencji (i na to wyłożyłem trochę denarów). Oczywiście nie ludziłem się ani przez moment; przewidywałem, że maść spowoduje tylko zaczerwienienie skóry, pióra Kwincjanowi nie wyrosną. Był to niewątpliwie najzwyklejszy oszust. Dowiedział się skądś o moich zainteresowaniach i chciał wyciągnąć ode mnie nieco grosza. Chętnie się na to godziłem, bo zabawa była wyśmienita. Kwincjan z talentem odgrywał rolę maga, ja zaś robiłem minę bardzo poważną, choć z trudem śmiech powstrzymywałem. Przypomniała mi się bowiem zabawna nowelka grecka o pewnym młodzieńcu, który pragnął stać się ptakiem, lecz skutkiem przypadkowej zamiany maści przybrał postać – osła.

Ale do ostatecznej próby nie doszło. Mieliśmy bowiem powtórzyć jeszcze ceremonię przy świetle księżycy; dopiero wówczas maść nabrałaby mocy – a Kwincjan by czmychnął. Miał jednak szczęście. Rankiem po owej pierwszej nocy Krassus niespodziewanie zawitał do Oei. W domu zastał okopcone ściany i fruujące ptasie pióra. Kłął, że mieszkanie zniszczone. Od dozoruującego niewolnika dowiedział się, że i ja tam byłem. Zaczął więc rozpowiadać po całym mieście, że w jego domu odprawia się czary. Wołałem, póki czas, wycofać się z całej sprawy.

WILKOŁAKI

Krążą wśród ludu niby to grozę budzące, a w istocie śmieszne bajdy o ludziach przemieniających się w zwierzęta. Najucieszniej pokpiwa sobie z tych niesamowitych historyjek mój ulubiony autor, Petroniusz; ten, który należał do ulubieńców Nerona, lecz z jego rozkazu musiał popełnić samobójstwo. Otóż jedna z osób w jego satyrycznej powieści tak wspomina przygodę, która rzekomo naprawdę się przydarzyła:

Nasz pan właśnie wybrał się do Kapui, żeby coś tam załatwić. Namówiłem gościa, co wtedy mieszkał u nas, żeby poszedł ze mną do piątego kamienia milowego; bom miał tam dalej przyjaciółkę, Melissa się nazywała. Żołnierz to był mocny jak śmierć. Ruszyliśmy nocą, o pianiu kogutów. Księżyc świecił, jasno było jak w południe. Szliśmy już drogą między grobowcami. Tam mój kompan zatrzymał się dla potrzeby pod grobowcem, a ja tymczasem siedzę i płyty liczę. Kiedym się oglądnał, tamten już się rozdział do naga, a jego ubranie leżało koło drogi. Dusza do nosa mi wlaźła. Jak trup stałem. A on obsusiał swoje szatki naokoło i nagle w wilka się przemienił! Nie myślcie, że to żarty. Nie skłamałbym za żadne skarby na świecie! Ale, co zacząłem mówić, kiedy tamten w wilka się przemienił, zawył i do lasu uciekł. Z początku sam nie wiedziałem, gdzie jestem. Po chwilce podszedłem, żeby wziąć jego ubranie. A ono już skamieniało! Chyba miałbym prawo umrzeć ze strachu. Miecz wy-

ciągnąłem i siekłem nocne cienie na wszystkie strony, pókim nie dołączył do domu przyjaciółki. Jak mara wszedłem. Ducham prawie wyzionął, pot lał mi się z tyłka, oczy miałem jak u trupa. A kiedy ledwo, ledwo do siebie wróciłem, Melissa zaczęła się dziwić, że chadzam o takiej porze, i mówi:

– Żebyś przynajmniej przyszedł trochę wcześniej, tobyś nam pomógł. Wilk wpadł do naszego obejścia i wszystkiemu bydłu upuścił krwi jak rzeźnik. Ale i tak za swoje dostał, choć uciekł, bo służący przesyłał mu kark dzidą.

Kiedy to usłyszałem, oczu już nie zamknąłem. Przy jasnym dniu uciekłem do domu mojego pana. Doszedłem do miejsca, gdzie leżało skamieniałe ubranie, ale niczego już nie znalazłem, tylko krwi trochę. A kiedy wreszcie trafiłem do domu, mój żołnierz leżał w łóżku jak wół, a jego kark lekarz opatrywał. Wtedy zrozumiałem, że to wilkołak. Odtąd nie mogłem już dzielić z nim chleba. Nie zrobiłbym tego, nawet żeby miał mnie ktoś zarżnąć!

Tyle ów bajarz u Petroniusza. Dziwi się ktoś może, iż pracując nad poważnym dziełem o Platonie przypominam sobie właśnie tego rodzaju uciechliwe opowiadania. Otóż na swoje usprawiedliwienie muszę wskazać, że opowiadania o wilkołakach są bardzo stare i spotykane chyba we wszystkich krajach. Także i w Grecji, i to w połączeniu z pewnym pradawnym kultem religijnym:

Na Peloponezie, w Arkadii, znajduje się świątynia Zeusa Likajosa, czyli Wilczego. Niedługo jeden z mitycznych władców zabił mu dziecko w ofierze; natychmiast przeistoczył się w wilka. Powiadają, że i później zdarzały się tam podobne wypadki, jeśli ktoś choćby przypadkiem spożył nieco mięsa ofiarnego, przemieszanego z ludzkim.

Platon znał tę dziwną legendę. Rzecz ciekawa: właśnie od niej wychodzi, gdy w ósmej księdze *Państwa* przystępuje do charakteryzowania tyraństwa.

DROGA TYRANA

W jakim to sposób, zapytuje Platon ustami Adejmanta i Sokratesa, zwykły polityk staje się tyranem? Odpowiedź, bardzo obrazowa, brzmi: postępując jak człowiek, który przy ołtarzu Zeusa Likajosa spożył mięso ofiarne przemieszane z ludzkim i dlatego musi przemienić się w wilka.

Streszczę tę partię dialogu uwypuklając punkty, które wydają mi się najistotniejsze.

W jakimś państwie działa polityk, któremu lud ufa, bo istotnie wiele zrobił dla ludu. On jednak nie poprzestaje na tym i coraz śmielej prowadzi grę podwójną. Pragnie całej władzy. Swoich przeciwników fałszywie oskarża jako wrogów ludu, ale oszukuje też najszersze masy własnych stronników. Cóż bowiem im obiecuje? Najczęściej rzuca demagogiczne hasła całkowitego umorzenia długów oraz nowego podziału ziemi. A gdy wreszcie uchwyci tę rzeczywistą i niepodzielną władzę w państwie, wszystko jedno jakim sposobem, co będzie jego pierwszym posunięciem? Zorganizuje straż przyboczną; oczywiście stanie się to za zgodą ludu, bo przecież ów polityk włada dla jego dobra.

Początkowo rządy bywają stosunkowo łagodne i wyrozumiałe. Nowy pan spełnia część swych przyrzeczeń. Jest zawsze uśmiechnięty i życzliwy, a wciąż utrzymuje, że prowadzona przezeń polityka nie ma nic wspólnego z tyranią. Natomiast od pierwszych dni dokłada starań, by nieustannie groziła lub trwała jakaś wojna. Rozumie bowiem doskonale, że zagrożenie z zewnątrz nie tylko umacnia jego władzę, lecz nawet czyni ją niezbędną.

Naturalna to kolej rzeczy, że z biegiem czasu pojawiają się knowania i akty wrogości przeciw tyranowi. I to zarówno ze strony dawnych przeciwników, jak i najbliższych przyjaciół. Spośród tych ostatnich niektórzy, posiadający najwięcej odwagi cywilnej, śmiało krytykują pewne posunięcia w jego obecności. Tyran słucha tego najpierw niecierpliwie, potem niechętnie, a wreszcie podejrzliwie i z obawą: czy za tym coś się nie kryje? Na wszelki wypadek

rozprawia się ze śmiałkiem, w ten lub w inny sposób. A skoro raz usunie ze swego otoczenia kogoś wartościowego, nieuchronna logika wewnętrzna sytuacji i wydarzeń zmusza go do coraz częstszego pozbywania się właśnie tych współpracowników, którzy rzeczywiście coś reprezentowali, intelektualnie i moralnie. Pozostają u jego boku osobnicy wyzuci z wszelkich walorów, zwłaszcza etycznych: karierowicze, cwaniacy, mali spryciarze. Tak więc w tyrańskim systemie rządów trwa bez przerwy konsekwentny proces oczyszczania elity władzy; oczyszczania właśnie z ludzi najwartościowszych.

Despota sam skazuje się na bytowanie wśród coraz to podlejszych kreatur, a zarazem oddaje im władzę nad poddanymi. Równocześnie wciąż rozbudowuje swoją straż, bo przecież nikogo nie może być pewien. Rekrutuje do niej ludzi obcego pochodzenia lub niedawnych niewolników, w przekonaniu, że będą oni lojalni w każdej sytuacji, bo społeczeństwo ich nienawidzi. Zbrojenia, wojny, rozrost straży, nagrody dla przyjaciół, wszystko to ogromnie obciąża skarb państwa. Trzeba szukać dodatkowych źródeł dochodu. Rosną podatki, a z nimi wzburzenie ludności, a więc i represje ze strony tyrańcy. Co znowu powoduje, że tyran musi rozbudowywać wojsko i straż, a więc nakładać nowe podatki...

Zapewne nieco przejawiałem myśli Platonowskie. Z drugiej wszakże strony uwydatniłem to, co w nich chyba najciekawsze: nieuchronność „wilczenia” władzy jednostki, to jest wyrażanie się jej w rządy najpodlejszych, a także nieuchronność pogłębiania się przepaści pomiędzy tyranem a społeczeństwem.

TYRANI I POECI

Cały ów wywód Platona wydaje się bardzo logiczny i przekonujący. Ale przecież możliwa jest także inna sytuacja i sam Platon dobrze o tym wiedział:

Władzę tyrańską obejmuje filozof. Decyduje się na to, ponieważ zdaje sobie sprawę, że państwo, w którym żyje, nieuchronnie zmierza ku katastrofie; niszczy je bowiem bezprawie i głupota polityków. Aby uzdrowić społeczeństwo, filozof-tyran musi oczywiście sprawować rządy twardą ręką. Nigdy jednak, ani na moment, nie traci z oczu swego zasadniczego celu; jest nim wprowadzenie trwałego ładu i sprawiedliwości, czyli ustanowienie ustroju doskonałego. Wszelako dla realizacji szczytnych zamierzeń trzeba niekiedy stosować metody tyrańskie. Właśnie mędrzec najlepiej zna ułomność ludzkiej natury. Wie doskonale, że większość obywateli musi traktować jak dzieci, albowiem są jeszcze niedojrzali, intelektualnie i etycznie; nie umieją nawet współżyć ze sobą. Należy więc uczyć ich i karać, wychowywać i kształtować, aby się rozwinęli i usamodzielnili. Oczywiście nie działa sam. Dobiera współpracowników z ludzi sobie podobnych. Są oni uczciwi, roztropni i pryncypialni; wiedzą, w jakim kierunku państwo ma się rozwijać, toteż konsekwentnie wcielają w życie ideał ustrojowy, który uznają za dobro najwyższe.

Cała koncepcja *Państwa*, głównego dzieła Platona, opiera się właśnie na tym założeniu: władza filozofa-tyrańcy. A w iluż to miejscach wypowiedana jest tam myśl, w sposób mniej lub bardziej zawołany, że w państwie doskonałym nieraz trzeba będzie użyć środków drastycznych, by odpowiednio uformować społeczeństwo! Wspomniałem już, że Platon dopuszcza stosowanie przez rządzących – oczywiście dla dobra rządzonych – chwytu tak ohydliwego i znieprawiającego, jakim jest świadome kłamstwo.

Założmy wszakże, że tyranem, jak to zresztą dzieje się zwykle, zostaje człowiek bezwzględny i zbrodniczy, dla którego jedynym i ostatecznym celem wszystkich wysiłków nie jest doskonalenie ustroju, lecz po prostu władza. Ale przecież i on, gdy stanie już u szczytu swych dążeń, mógłby się zmienić. Historyk z pewnością bez trudu przytoczyłby wiele przykładów. Iluż to polityków pięło się w górę po trupach, ale ująwszy ster rządów w swe ręce rządziło sprawiedliwie, a nawet wspinałomyślnie!

Dalej. Czy stosunki muszą rzeczywiście i zawsze układać się w ten sposób, że tyran usuwa i niszczy wszystkie wartościowe jednostki ze swego otoczenia? Przecież z pewnością bywa też inaczej. Doradcy mogą wywierać ogromny wpływ na despotę; powstrzymują jego krwiożercze zapędy; wskazują mu skuteczne, a ludzkie metody działania; stopniowo rozszerzają jego horyzonty myślowe. W krótkim wierszu ujął to któryś z tragiczków ateńskich, Eurypides lub Sofokles:

„Tyrani sami stają się mądrzy, gdy obcują z mądrymi”.

I oto – rzecz zaskakująca! Platon przynajmniej dwa razy przytacza to zdanie w swych dziełach, ale tylko w tym celu, by zjadliwie je krytykować. Po raz pierwszy atakuje tę wypowiedź, i to dość obszernie, w dialogu *Teages*. Po raz drugi w ósmej księdze *Państwa*; krócej, lecz równie ostro. Przytacza cytowany wiersz, potem zaś mówi o poetach, autorach takich właśnie „mądrości”:

Chodzą po różnych miastach. Zbierają wokół siebie tłumy. Sprzedają swoje głosy – piękne, donośne, przekonywające – i ciągną ustroje państw ku tyranii lub ku demokracji. W zamian otrzymują wynagrodzenie i cześć; najwięcej, rzecz prosta, od tyranów, mniej zaś od demokracji.

Po czym dodaje złośliwie, że w lepszych ustrojach owa cześć poetów musi upadać, jakby tchu jej brakło i nie miała sił piąć się ku górze.

Platon nie tylko tu daje wyraz swej niechęci i pogardzie dla poetów; o tym już mówiłem. W tym miejscu, w księdze ósmej, jest to tylko dygresja. Ważna jednak, bo zjadliwość ataku ma w tym związku pewne uzasadnienie. Przynajmniej tak podejrzewam. Bowiem i on, Platon, pobił tyra. On również chciał uczynić z tyra mędrca.

Wszelako, nim przedstawię tę przedziwną historię, wypada mi dla porządku powrócić do wypadków po śmierci Sokratesa. Co czynił wówczas Platon?

PLATON W MEGARZE

Czytelnik listu siódmego musi odnieść wrażenie, że natychmiast po procesie i śmierci Sokratesa Platon, wstrząśnięty, zrażony do Aten, do głębi oburzony na swych rodaków, udał się w daleką podróż, niemal na krańce świata zamieszkanego przez Hellenów. Autor bowiem listu pisze bezpośrednio po gwałtownym ataku na całość życia politycznego w swej ojczyźnie:

„Takie to mając poglądy przybyłem do Italii i na Sycylię – gdy przybyłem tam po raz pierwszy.”

Podróż w odległe strony byłaby, jak uważam, zrozumiata i usprawiedliwiona. Uczeń pragnie uciec jak najdalej od miejsc, z którymi łączy się bolesne wspomnienie śmierci mistrza; a także od ludzi, których uznaje za zwykłych morderców. Wybór zaś celu podróży budziłby mój szacunek dla młodego filozofa. Oto zjawia się na Sycylii, gdzie toczył się wtedy śmiertelny bój Hellenów z ich odwiecznymi wrogami, z Kartagińczykami. Gardząc zgniłym ustrojem i małymi politykami swej ojczyzny Platon spieszy poznać państwo, którego młody władca buduje niemal od podstaw nowy porządek społeczny. Myślę o Dionizjosie.

Jednakże wszystkie tego rodzaju wnioski byłyby zupełnie błędne. Albowiem list siódmy pomija, niewątpliwie w sposób zamierzony, długi i ważny okres życia Platona. Okres dziesięciu lat, jaki minął od śmierci Sokratesa, nim jego uczeń rzeczywiście udał się do Italii i na Sycylię. Co porabiał w tym czasie, wiadomo, choć tylko ogólnie, ze wzmianek u różnych autorów.

Zaraz po zgonie mistrza Platon wraz z grupką swych przyjaciół wyjechał na pewien czas z Aten. Niezbyt wszakże daleko, bo tylko do Megary, a więc do miasta, które graniczy z Attyką. Powodem wyjazdu były na pewno ból i uraza, ale może i lęk przed prześladowaniem.

Mogło przecież się zdarzyć, że ktoś pozwałby przed sąd uczniów rzekomego bezbożnika. Platon, tak bliski krewny Kritiasa i Charmidesa, znieawidzonych przez demokratów, byłby z pewnością jedną z pierwszych ofiar!

Megarę wybrano nieprzypadkowo. Znajdował się tam gościnny dom Euklejdesa. Był to starszy już człowiek, filozof, jeden z pierwszych przyjaciół Sokratesa, towarzyszący mu nawet w ostatnich chwilach jego życia.

NAUKI EUKLEJDESA

Poglądy filozoficzne Euklejdesa stanowiły połączenie Sokratesowych zainteresowań etyką oraz metafizycznych koncepcji Parmenidesa, wielkiego myśliciela z miasta Elea w Italii. Euklejdes więc nauczał: Prawdziwie istnieje tylko jeden Byt, wieczny i niezmienny; jest nim Dobro; zwie się go jednak różnie: Bogiem, Rozumem lub jeszcze inaczej. Tak samo zresztą nie całkowicie oryginalny był sposób, w jaki Euklejdes i jego uczniowie dowodzili słuszności powyższych założeń. Nie podawali bowiem systematycznego wykładu, lecz argumentowali przy pomocy pytań i odpowiedzi. Czyli posługiwali się dialogiem, ulubioną metodą Sokratesa i sofistów. Szkoła Euklejdesa specjalizowała się również w obmyślaniu pułapek logicznych:

Kłamca twierdzi, że kłamie; a więc kłamiąc mówi prawdę. Jedno ziarno nie czyni stosu; także nie czynią go dwa, trzy, cztery; ilu więc ziarn trzeba, by można mówić o stosie?

Euklejdes nie tylko nauczał żywym słowem, lecz także pisał; a dziełka jego miały właśnie formę dialogów.

Zetknięcie ze środowiskiem filozofów megaryjskich nie mogło pozostać bez wpływu na młodego Platona. Kto wie, czy właśnie tam i wtedy nie powstała w nim myśl, by prezentować swoje poglądy dialogicznie, wprowadzając przy tym jako głównego rozmówcę Sokratesa. Był to sposób, by złożyć hołd pamięci mistrza, a zarazem sławą jego imienia uświetnić własne koncepcje. Przyjdą, być może, kiedyś czasy, które taki pomysł uznają za zbyt śmiały, a nawet nieodpowiedni; będzie się wtedy twierdzić, że nie wypada przypisywać zmarłemu człowiekowi słów, których on nigdy nie wypowiedział. Ja jednak, zgodnie z tradycją naszej przeszłości, patrzę na tę rzecz inaczej. Sądzę, że godzi się, a czasem nawet należy, korzystać z autoritetu wielkich osób, które już odeszły, by głosić przez ich usta nowe prawdy. Twierdzą nawet, że przynosi to korzyść obu stronom: niejako wskrzesza i ożywia zmarłych, nowym zaś ideom ułatwia wejście w świat. Przypuszczam zresztą, że Platon był głęboko przekonany, iż jego teorie są tylko rozwinięciem nauk mistrza.

Dialog, jako odrębny rodzaj literacki, oczywiście, nie był wynalazkiem Euklejdesa. Różni twórcy, zwłaszcza sofisci, działający w wielu miastach Hellady, zaczęli wprowadzać go już wcześniej. Z natury rzeczy w formę dialogu były ujęte również duże partie dzieł dramatycznych, a więc tragedii i komedii. Wspominałem już, że Platon w młodości pisywał tragedie, zapewne pod wpływem Kritiasa. Jednakże wszystkie te utwory zniszczył, gdy bliżej poznał Sokratesa; widocznie wydały mu się błahe, a nawet szkodliwe, bo odwodzące od poszukiwania prawdziwej mądrości. Obecnie wszakże tamte zamiłowania odżyły, aby służyć filozofii. W moim odczuciu talent pisarski Platona polega głównie na tym, że tak umiejętnie łączy w ramach jednego utworu kilka różnych elementów: naturalną scenerię, dramatyzm swobodnej rozmowy, filozoficzną problematykę; postaci zaś są osobami żywymi, a nie tylko głosicielami pewnych poglądów.

W ciągu kilku lat po śmierci Sokratesa powstało wiele dialogów Platona. Do ich liczby włączyć też trzeba *Apologię*, która ma kształt mowy obrończej, wygłoszonej przed sądem rzekomo przez samego Sokratesa. Dwa dialogi, *Eutyfron* i *Kriton*, dotyczą wypadków związanych z procesem mędrca. Tłem innych są lata znacznie wcześniejsze. Jeden z nich, *Charmides*, poświęcony jest pamięci wuja Platona; fragmenty zeń przytoczyłem już poprzednio.

Inny – później stał się pierwszą księgą większego dzieła, a mianowicie *Państwa* – przedstawia Sokratesa i braci Platona w gościnie u Kefalosa, gdy w Pireusie święcono nocne uroczystości ku czci trackiej bogini. A jeszcze inne dialogi, jak *Protagoras*, *Gorgiasz*, *Hippiasz*, wprowadzają do rozmowy wielkich sofistów.

Dorobek to imponujący, jak na okres stosunkowo krótki. Należy przy tym pamiętać, że Platon nie mógł oddać się działalności wyłącznie pisarskiej. W Megarze bowiem bawił niedługo. Powrócił do ojczyzny i wnet został pociągnięty do służby wojskowej. Wziął udział w wojnie, którą Ateny toczyły wtedy przeciw Sparcie. Brał udział w dwóch lub w trzech kampaniach, i to nawet poza granicami kraju; należał bowiem do tych roczników młodych mężczyzn, które powoływano na tego rodzaju wyprawy.

Dopiero potem wyjechał w podróż, rzeczywiście daleką. Nie na zachód wszakże, jak by wynikało z listu siódmego, lecz na południe, do Egiptu! Tajemnicza to podróż i niewiele o niej wiadomo. Niektórzy nawet twierdzą, że to legenda i że Platon nigdy nie zwiedzał kraju nad Nilem. Jestem innego zdania. Sądzę, że Platon odbył do Egiptu jakby pielgrzymkę śladami Pitagorasa. Dlatego właśnie również ja pragnę się tam udać, by zaczerpnąć tajemnej wiedzy u samego jej źródła; tam, gdzie pobierali nauki owi dwaj boscy mistrzowie.

Platon wyjechał do krain Zachodu dopiero po peregrynacji egipskiej, mniej więcej w dziesięć lat po śmierci Sokratesa. W tym miejscu powracam do wątku, który musiałem przerwać. Stwierdziłem bowiem, że nawet Platon pobłądził: wzorem niektórych poetów, a może po prostu traktując poważnie własne filozoficzne marzenia (by nie rzec mrzonki) powziął zamiar uczynienia z tyrauna mędrca. Stało się to na Sycylii, gdzie wschodziła wówczas nowa gwiazda Hellady.

KARIERA DIONIZJOSA

Przewertowałem wiele uczonych ksiąg, ile tylko zdołałem ich zebrać w Oei, nie zdołałem jednak dokładnie ustalić, w którym roku urodził się Dionizjos. Pewne jest, że należał niemal do rówieśników Platona, był bowiem tylko niewiele odeń starszy. Obaj więc przyszedli na świat mniej więcej w tych samych latach; ich ojczyzny były odległe od siebie, należały jednak wówczas do najbogatszych i najludniejszych miast helleńskich. Obaj wyrosli wysoko ponad swoich współczesnych i zdobyli nieśmiertelną sławę, choć w różny sposób i w odmiennych dziedzinach. Jeden zawdzięczał ją genialnym uzdolnieniom teoretycznym i pisarskim; drugi natomiast zaliczał się do najwybitniejszych ludzi czynu, jakich kiedykolwiek wydała Grecja. Ci dwaj zetknęli się ze sobą bezpośrednio. Ośmieliłbym się twierdzić, że zetknięcie to, choć pozornie krótkotrwałe i bezowocne, ma swoje znaczenie, i to bardzo doniosłe; a ponad wszelką wątpliwość miało je dla Platona.

O sytuacji politycznej w Atenach, która tak zdecydowanie kształtowała życie i poglądy Platona, powiedziałem już sporo. Wypada więc obecnie przypomnieć dramatyczne wydarzenia, które rozgrywały się na Sycylii, bo tylko na ich tle można zrozumieć karierę i działalność Dionizjosa. Zauważyłem zresztą, że nawet wielu ludzi uczonych i biegłych w historii ma raczej mgliste wyobrażenia o dziejach Sycylii w tym okresie, choć wywarły one nie mniejszy wpływ na losy naszego świata niż to, co działo się współcześnie w Grecji właściwej. Toteż zastanawiam się nieraz, czemu to zawdzięczają pewne kraje i wypadki swoje uprzywilejowane miejsce w ludzkiej pamięci; i dochodzę do wniosku, że decydują o tym podręczniki szkolne oraz utwory literackie. Sycylia zaś i Dionizjos szczęścia do nich nie mieli.

Na wyspie tej, tak pięknej i bogatej, tamtejsze miasta greckie od wieków toczyły wojny z Kartagińczykami; ci mieli swoje punkty oparcia głównie w zachodniej i północnej części Sycylii. W pierwszym roku olimpiady 75 [rok 480 p.n.e.] Grecy odnieśli świetne zwycięstwo nad rzeczką Himera; a więc stało się to dokładnie w tym samym roku, w którym w Helladzie

właściwej zastępy Kserksesa otoczyły i zmiażdżyły bohaterskich Spartan Leonidasa w przemyku termopilskim, a nieco później flota perska została rozgromiona przez greckie okręty pod Salaminą. Od bitwy nad Himeryą panował na Sycylii pokój przez lat siedemdziesiąt. Nowe zmagania rozpoczęły się dopiero w ostatnim roku olimpiady 92 [rok 409 p.n.e.]. Tym razem stroną zwycięską byli Kartagińczycy. Na wybrzeżu południowym zdobyli i zburzyli miasto Selinunt; o jego wielkich niegdyś bogactwach świadczą do dziś ruiny olbrzymich świątyń. Zwycięzcy wymordowali tu szesnaście tysięcy ludzi, a pięć tysięcy wywieźli do Afryki jako niewolników. Podobny los spotkał miasto Himeryą na wybrzeżu północnym.

Najmoźniejszym miastem greckim Sycylii były oczywiście Syrakuzy. Ich demokratyczny rząd usiłował w obu wypadkach przyjść z pomocą zagrożonym. Jednakże odsiecz dla Selinuntu wysłano zbyt późno, dla Himery zaś zbyt szczupłą i pod nieudolnym dowództwem.

Wiosną trzeciego roku olimpiady 93 [rok 406 p.n.e.] wielkie wojska kartagińskie zaatakowały Akragas. Ale tym razem Grecy z innych miast przybyli w porę. Trzydzieści tysięcy zbrojnych pod wodzą syrakuzkańskiego stratega Dafnejosa zdołało przebić się do obleganego grodu. Jednakże armia kartagińska nadal stała w swoim umocnionym obozie. Po ośmiu miesiącach w mieście zabrakło żywności. Grecy postanowili opuścić je całkowicie. Pod sam koniec roku Kartagińczycy bez walki zajęli opustoszałe Akragas; domów tu nie zniszczyli, miały bowiem służyć za kwatery zimowe.

Wieść o wydaniu Akragas wywarła wstrząsające wrażenie w greckiej części Sycylii. Tysiące ludzi przenosiło się do Syrakuz, inni zaś wysyłali swoje rodziny aż do Italii. W samych Syrakuzach panowało wzburzenie, podejrzewano bowiem, że Kartagińczycy przekupili dowódców.

W czasie obrad zgromadzenia ludowego głośno odważył się postawić to oskarżenie młody oficer, Dionizjos. Pod Akragas stawał dzielnie i to zyskało mu dużą popularność. W tej sprawie miał też poparcie, choć może niezbyt jawne, dwóch wybitnych polityków, Hipparinosa i Filistosa, którzy chcieli przy jego pomocy odsunąć od władzy swych rywali. Niesłychanie śmiałe ataki, które Dionizjos publicznie przypuszczał na osobistości najpoważniejsze, zyskiwały tym gorętszy poklask, że dotychczasowy rząd, choć pozornie demokratyczny, reprezentował interesy tylko warstw bardzo bogatych. Sam Dionizjos pochodził z rodziny średnio zamożnej, ale występował jako bojownik sprawy najszerzych mas; jako prosty człowiek, piętnujący wielkich panów, co to egoistycznie myślą tylko o własnych majątkach i przywilejach, a gotowi są sprzedać ojczyznę nawet śmiertelnym wrogom.

Rząd upadł. W skład nowego kolegium strategów wszedł oczywiście Dionizjos.

STRATEG-SAMODZIERŻCA

Po zajęciu Akragas następnym celem Kartagińczyków musiała być Gela, ostatnie duże miasto greckie na południowych wybrzeżach Sycylii. Znajdowało się tam już nieco wojsk syrakuzkańskich, ale mieszkańcy prosili o dalsze posiłki. Przeprowadził je Dionizjos. Na miejscu zorientował się, że w Geli, mimo kartagińskiej grozy, trwa bardzo ostra walka pomiędzy pospółstwem a warstwami zamożnymi. Stał natychmiast po stronie mas. Za jego to sprawą skazano wielu bogaczy na śmierć, a ich majątki skonfiskowano. Uzyskane pieniądze Dionizjos obrócił na podwyższenie żołdu swym żołnierzom. Tym zyskał sobie ich całkowite oddanie; ale równie gorąco sławili go odtąd skrajni demokraci, zarówno w Geli, jak i w samych Syrakuzach. Tak więc Dionizjos umacniał swoje wpływy podsycając w miastach greckich wewnętrzne spory i walki – i to w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa z zewnątrz!

Po powrocie do Syrakuz Dionizjos zapowiedział, że złoży swój urząd. Nie może bowiem dzielić go ze zdrajcami, biorącymi wielkie pieniądze od Kartagińczyków. Wie o tym dosko-

nale i niezbitcie, bo dowództwo kartagińskie ofiarowywało mu jeszcze większe sumy niż tamtym – i to tylko za zachowanie bierności!

Większość w zgromadzeniu ludowym darzyła całkowitym zaufaniem człowieka, który sprzyja ubogim, nienawidzi bogaczy, a w polu staje dzielnie. Zresztą – uznawało to nawet stronnictwo umiarkowane – sytuacja wojenna wymaga, by całością spraw państwa i wojska niepodzielnie kierowała jedna tylko osoba. Złożono więc z urzędu pozostałych strategów, nie pociągając ich wszakże do odpowiedzialności za rzekomą zdradę. Dionizjos, obwołany strategiem-autokraterem, czyli samodzierzłą, przede wszystkim znowu podwyższył żołd swoim żołnierzom.

Wkrótce potem Dionizjos, przebywając w obozie wojskowym pod Leontinoj, sfingował zamach na swoją osobę, w sposób zresztą prymitywny: w miejscu, gdzie znajdowała się jego kwatera, rozległy się w nocy jakieś wrzaski; schronił się na zamek i aż do świtu kazał palić ogień na jego murach. Wydarzenie to jednak miało swoje poważne konsekwencje. Strateg zażądał od zgromadzenia ludowego, by zezwoliło mu na zorganizowanie straży przybocznej. Gdy wniosek ten uchwalono, dobrał ją sobie spośród ludzi najuboższych, a potem wzmocnił najemnikami. Na czele ponad dwu i pół tysiąca ludzi opanował główne punkty Syrakuz, a przede wszystkim zbrojownię. Odtąd dopiero stał się rzeczywistym jedynowładcą. Najwplywowski przywódca opozycji zostali skazani przez zgromadzenie ludowe na śmierć; wyrok wykonano.

Mając w pamięci Platoński opis drogi polityka do władzy tyrańskiej, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wśród rzeczywistych przykładów, z których filozof wyprowadzał swoją teorię, naczelną rolę zajmowała historia Dionizjosa.

PRÓBA ZAMACHU, ZARAZA, POKÓJ

W ostatnim roku olimpiady 93 [rok 405 p.n.e.], latem, Kartagińczycy przystąpili do oblężenia Geli. Dionizjos pospieszył z odsieczą, został jednak odparty. Udało mu się wszakże osłonić ludność uciekającą z Geli i z sąsiedniej Kamaryny. A więc całe południowe wybrzeże wyspy znalazło się w ręku Kartagińczyków. Obecnie mogli oni uderzyć wprost na Syrakuzy.

Niepowodzenia Dionizjosa dodały odwagi jego wrogom; byli nimi głównie ludzie zamożni. Sądzili oni, że w tej sytuacji uda się obalić samodzierzłą, zniechęcone bowiem masy ludności odwrócą się od niego tak samo, jak poprzednio opuszczały innych pokonanych wodzów. Toteż w czasie odwrotu spod Kamaryny jazda, złożona prawie wyłącznie z bogatych obywateli, samowolnie popędziła przodem i zajęła Syrakuzy. Jeźdźcy obrabowali dom Dionizjosa, a jego młodą żonę zgwałcili i skatowali tak straszliwie, że wkrótce zmarła; może zresztą popełniła samobójstwo. Co zdziaławszy, bohaterzy spokojnie rozeszli się do swych domów; byli przekonani, że z tyranem już się załatwili ostatecznie.

Żołnierze piesi pozostali wierni Dionizjosowi. Na ich czele spieszył co sił za jazdą i wkroczył do miasta w kilka godzin po niej, o północy. Bez trudu oczyszczono miasto z powstańców; tych, co nie zdołali uratować się ucieczką, wyrżnięto. Tak więc, właśnie skutkiem owej rebelii, władza tyrańska, który podawał się za rzecznika i opiekuna prostego ludu, jeszcze się umocniła; wszyscy bowiem przeciwnicy zostali usunięci lub zastraszeni.

Szczęśliwym dla Dionizjosa zbiegiem okoliczności groźba kartagińskiego najazdu również minęła. W wojsku nieprzyjacielskim wybuchła straszliwa zaraza; zaczęła się ona już w czasie oblężenia Akragas, obecnie zaś srożyła się ze szczególnym nasileniem. W tym stanie rzeczy Kartagińczycy nie mogli myśleć o działaniach zaczepnych. Zbliżała się zresztą słotna i chłodna pora zimowa.

Przyszły także pomyślne wieści ze Sparty, która tradycyjnie sprzyjała Syrakuzom we wszystkich ich potrzebach. Obecnie mogła przysłać znacznie większe ilości ludzi i nieco okrętów,

długoletnia bowiem wojna z Atenami już się kończyła; zwycięstwo lacedemońskie nie ulegało żadnej wątpliwości. Właśnie w tym roku Spartanie zagarnęli większość ateńskich okrętów wojennych w cieśninie Hellespontu i już się przygotowywali do oblegania samych Aten. Wspomniałem poprzednio, że oblężenie to miało zakończyć się po kilkunastu miesiącach kapitulacją miasta, obaleniem demokracji, wprowadzeniem rządów Komisji Trzydziestu, której przewodził Kritias.

Kartagińczycy, świetnie się orientując w aktualnej sytuacji, pierwsi wystąpili z ofertą zawarcia pokoju. Dionizjos przyjął ją skwapliwie. Co prawda warunki nie były dlań zbyt korzystne, ale nie miał wyboru. Wszystkie miasta, które Kartagińczycy zdobyli na Sycylii, pozostawały w ich władaniu; postanowiono wszakże, iż ludność grecka może do nich wrócić i pracować spokojnie, oczywiście płacąc daninę swym nowym panom.

RZĄDY DIONIZJOSA

Komisja Trzydziestu, która doszła do władzy w Atenach na skutek klęski wojennej, szukała oparcia w warstwie obywateli zamożnych, prześladowała zaś żywioły demokratyczne. W tym samym czasie w Syrakuzach, największym mieście greckiego Zachodu, rządy objął oficer; stało się to również na skutek klęsk i groźnej sytuacji wojskowej. Oficer-samodzierzca rozpętywał podejrzliwość mas w stosunku do warstw posiadających, a ze swej strony prześladował wszystkich obywateli bogatszych. Tak więc w obu państwach zrodziły się podobne, bo tyrańskie systemy rządów; z tym tylko, że jeden z nich zwracał swe ostrze przeciw zamożnym, drugi zaś przeciw ubogim. Ale formy gwałtu i bezprawia były takie same.

Kritias nie potrafił osiągnąć tego co Dionizjos. Może z tej przyczyny, że jako człowiek już starszy nie posiadał energii i wytrwałości młodego oficera; bo bezwzględności oraz dobrych chęci na pewno mu nie brakło. Zresztą Kritias nie był sam; krępowała go ciężka i nieruchawa Komisja Trzydziestu, w której nie wszyscy zgadzali się na zbrodnicze metody postępowania, wszyscy zaś mieli wielkie ambicje i wzajem przeciw sobie intrygowali. I jeszcze jedno: w Atenach przywiązanie do demokratycznej formy rządu było bardzo silne, tyrania zaś znienawidzona od pokoleń.

Po niespełna roku rządów Komisja Trzydziestu, jak już mówiłem, została obalona, przywrócono zaś dawny ustrój. Natomiast w tymże samym czasie, to jest w roku 404 i w latach następnych, Dionizjos, choć musiał stawić czoło wielkim niebezpieczeństwom, wyszedł z wszystkich prób zwycięsko i ostatecznie umocnił swoją pozycję.

Zaraz po zawarciu pokoju z Kartagimą strateg-autokrator przeprowadził bardzo radykalne reformy społeczne i gospodarcze. Skonfiskował wiele posiadłości ludzi majątnych; mógł tego dokonać tym łatwiej, że prawie wszyscy przeciwnicy i tak już wyemigrowali z Syrakuz, osiedlając się w miasteczku Etna, położonym na stokach wulkanu. Ziemie uprawne Dionizjos rozdzielił pomiędzy bezrolnych i żołnierzy, a nawet pomiędzy niewolników, którym dał wolność i obywatelstwo. Tak samo postąpił z domami swych wrogów. W ten sposób związał ze sobą wiele tysięcy ludzi, którzy jemu zawdzięczali wszystko, a w razie jego klęski wszystko by stracili.

Wszelako tyran był przezorny. Wiedział, jak zmienne są nastroje i sympatie ludu. Zadbął więc także o konkretniejsze sposoby zabezpieczenia swych rządów. Stara dzielnica Syrakuz leżała na półwyspie zwanym Ortygia. Na rozkaz Dionizjosa musieli ją opuścić wszyscy dotychczasowi mieszkańcy; odtąd mogli tam mieć domy tylko jego żołnierze i przyjaciele. Natomiast na przesmyku, łączącym Ortygię z lądem i z nowym miastem, władca wznosił potężną twierdzę, którą sam zajął; strzegła ona zarazem stoczni i jednego z portów.

REBELIA

Ufając w trwałość nowego porządku Dionizjos powiódł swe wojska w głąb wyspy przeciw pewnemu miasteczku, które nie chciało uznać zwierzchności Syrakuz. Jednakże w czasie oblężenia wśród jego ludzi doszło do zamieszek, a nawet do otwartego buntu. Część żołnierzy wystąpiła przeciw samodzielnemu; rebelianci zapewne obawiali się, że on, opiekun ubogich, w niedalekiej przyszłości zacznie kolejno odbierać majątki wszystkim. Dionizjos szybko powrócił do Syrakuz z wiernymi sobie oddziałami. Został oblężony, a jego sytuacja z dnia na dzień przedstawiała się groźniej. Do powstańców bowiem wnet dołączyli wygnańcy, dotychczas, jak wspominałem, przebywający w mieście Etna; później zaczęły też napływać posiłki z różnych krain i miast, nawet z Koryntu.

Po kilku miesiącach tyran, nie widząc znikąd ratunku, przystąpił do rokowań. Oblęgający, pewni zwycięstwa, zaniedbali wszelkich środków ostrożności, a część z nich powróciła nawet do swych siedzib. Tymczasem Dionizjos zdołał potajemnie ściągnąć najemników. Dokonał niespodziewanego wypadu. Zdobył pozycje powstańców na jednym z przedmieść i zmusił ich do ucieczki. Postąpił wszakże wspaniałomyślnie: nie pozwolił swym ludziom ścigać i mordować uciekających, ciała zaś poległych pochował z zachowaniem wszelkich ceremonii.

Ten piękny gest opłacił się sownie. Powstańcy, których wojska zupełnie się rozprężyły, przystali na pośrednictwo Sparty w rokowaniach. Doszło do ugody. Dionizjos zapewnił darowanie win wszystkim, którzy podnieśli broń przeciw niemu, i większość rebeliantów powróciła do Syrakuz. Nieprzejednani jeszcze trzymali się czas jakiś w Etnie, później jednak i stamtąd zostali wyparci.

Wszystko to działo się w drugim roku olimpiady 94 [rok 403 p.n.e.]. Tak więc, dziwnym zbiegiem okoliczności, w Atenach i w Syrakuzach rozegrały się równocześnie podobne wypadki polityczne: wojna domowa, walki na ulicach, przewlekłe rokowania przy pośrednictwie Lacedemonu. Jednakże w Syrakuzach ostatecznym zwycięzcą okazał się tyran, nie powstańcy.

Mimo to należy przyznać, że Dionizjos usilnie dbał o zachowanie przynajmniej pozorów legalizmu. Podstawę prawną jego władzy stanowiła uchwała zgromadzenia ludowego; dzięki niej jako strateg-autokrator piastował tak ważną godność naczelnego wodza oraz prowadził politykę zagraniczną; przewodził też zgromadzeniom oraz mógł nakładać nadzwyczajne podatki na cele wojenne. Jednakże dawne instytucje ustrojowe, rada i zgromadzenie, nadal funkcjonowały. Domyślam się wszakże, iż podejmowały one wszystkie uchwały jednomyślnie, zgodnie z wolą i z zaleceniami Dionizjosa; on to bowiem reprezentował interesy ludu.

NOWA WOJNA

W ciągu kilku lat Dionizjos twardą ręką ujął władzę nie tylko nad Sycylią. Opanował kilka miast greckich u wybrzeży oraz zmusił autochtoniczną ludność wnętrza wyspy, tak zwanych Sykulów, by uznali jego zwierzchność. Bez przerwy prowadził ogromne zbrojenia. Całe Syrakuzy stały się jednym wielkim warsztatem płatnerskim. Broń wykuwano nawet w świątyniach. W stocznicach budowano dwieście okrętów wojennych, a na przedpolach miasta wzniesiono potężne fortyfikacje.

Przypominam w tym miejscu, com powiedział poprzednio streszczając wywody Platona o istocie tyranii:

Od samego początku swych rządów tyran dokłada starań, by nieustannie groziła lub trwała jakaś wojna. Rozumie bowiem doskonale, że zagrożenie z zewnątrz nie tylko umacnia jego władzę, lecz nawet czyni ją niezbędną.

Wiosną roku 398 zgromadzenie ludowe na wniosek Dionizjosa uchwaliło wszczęcie działań wojennych przeciw Kartaginie, o ile nie odda ona dobrowolnie miast greckich, które ostatnio zdobyła. Wszędzie na Sycylii powitano tę uchwałę jako wyzwanie do ostatecznej rozprawy. W wielu miastach doszło do krwawych pogromów osiadłych tam kupców kartagińskich.

Zaraza, która przez tyle lat szalała w północnej Afryce, nie pozwoliła Kartagińczykom na przygotowanie się w porę. Zanim zgromadzili swe wojska najemne, Dionizjos był już panem prawie całej Sycylii. Opór stawiało tylko kilka miast na zachodzie wyspy, gdzie mieszkali sami Kartagińczycy lub autochtoni. Jednakże już w roku następnym sytuacja zmieniła się radykalnie. Kartagińczycy przeszli do ofensywy. Ich wojska szły wzdłuż północnych wybrzeży, zdobywając lub poddając sobie wszystkie tamtejsze miasta; padła nawet Messana. Do decydującej bitwy morskiej doszło pod Kataną, u wybrzeży wschodnich. Przewaga w liczbie okrętów dała zwycięstwo Kartagińczykom. Dionizjos musiał wycofać się do Syrakuz, a wróg przystąpił do oblężenia miasta od strony lądu i od morza.

Syrakuzom groziła klęska; miałyby to niezmiernie doniosłe skutki dla wszystkich Greków na Sycylii, a więc i dla całego Zachodu. Na szczęście wiele państw greckich w porę to zrozumiało i przysłało znaczną pomoc, w ludziach i w okrętach; zasłużyły się zwłaszcza miasta Italii, a także Lacedemon i Korynt. W lecie roku 396 rozgromiono część floty kartagińskiej. Armia lądowa nieprzyjaciela, obozująca w pobliżu mokradeł, znowu stała się ofiarą epidemii. Dionizjos poprowadził wypad za mury. Zdobyto część kartagińskich obwarowań oraz zdołano podpalić okręty, stojące u samych wybrzeży. Czwartej nocy po tej porażce wódz kartagiński uszedł z wielkiego portu na czele czterdziestu okrętów. Jednakże na ich pokładach znajdowali się tylko rodowici Kartagińczycy; natomiast żołnierze najemni musieli się poddać zwycięzcy.

Tak więc Dionizjos ponownie stał się panem niemal całej wyspy.

ŻONY DIONIZJOSA

Jak już wspomniałem, wnet po objęciu władzy przez stratega-samodzierzcę jeźdźcy usiłowali dokonać zamachu stanu; wyciągnęli wtedy z domu żonę Dionizjosa, zbili ją i zgwałcili; wkrótce potem młoda kobieta zmarła, kto wie czy z nie własnej ręki. Przez kilka lat Dionizjos żył samotnie. Ale kiedy wstąpił w nowe związki małżeńskie, poślubił dwie kobiety równocześnie.

Jedna z nich, imieniem Doris, pochodziła z miasta Lokroj w południowej Italii; natomiast druga, Arystomacha, była Syrakuzanką, córką jednego z najbliższych przyjaciół Dionizjosa, Hipparinosa. Dziewczęta, zwłaszcza Doris, tyran wybrał głównie z powodów politycznych; ogromnie mu zależało na dobrych stosunkach z miastami greckimi w Italii, a rodzina Doris należała tam do najwplywowszych.

Władca Syrakuz wysłał po swoją narzeczoną do Lokroj okręt zdobiony złotem i srebrem; Arystomachę zaś przywiózł z miasta na zamek rydwan zaprzężony w czwórkę białych rumaków. Oba śluby odbyły się w tym samym dniu; dla żołnierzy i znamienitych obywateli wydano wspaniałe uczy. Jak notują współcześni, nikomu nie udało się ustalić, którą z żon tyran najpierw zaprosił do łoża. Później, jak zauważono, przyjął się taki obyczaj, że przy stole obie jadły ze swym mężem, w nocy zaś szły do sypialni na zmianę. To wszystko było sprzeczne z powszechnymi wśród Greków zasadami i prawami, które zawsze uznawały tylko jednożeństwo; tyran wszakże stał ponad tymi normami.

Syrakuzanie oczywiście sprzyjali swej rodaczce. Tymczasem właśnie Doris dała mężowi syna; otrzymał on imię ojca, Dionizjos. Arystomacha, choć darzona szczególnym uczuciem, przez wiele lat nie mogła zajść w ciążę. Zrodziło się podejrzenie, że przyczyną są czary lub trucizna; o zbrodnię tę Dionizjos obwiniał matkę Doris i kazał ją zabić. A później Arystomacha urodziła dwóch synów i córki.

Gdy zmarł ojciec Arystomachy, Hipparinos, Dionizjos wspaniałomyślnie otoczył opieką jej liczne rodzeństwo. Wtedy to zamieszkał na zamku i wszedł do otoczenia władcy młody jego szwagier, Dion. Chłopiec był bardzo dorodny, inteligentny, miał szerokie zainteresowania; tyran okazywał mu wielką przychyłność.

PLATON I ŻYCIE ZACHODU

Powracam obecnie do listu siódmego, którego studium przerwałem tym miejscu: Platon stwierdza, że wszystkie państwa źle się rządzą, bo ich prawa są nieuleczalnie chore; dochodzi do wniosku, że nieszczęścia nie przestaną gnębić ludzkości, póki nie obejmą władzy ci, co prawdziwie miłują mądrość, albo też władcy państw sami nie staną się filozofami. Następnie kontynuuje:

„Takie więc mając poglądy przybyłem do Italii i na Sycylię – gdy przybyłem tam po raz pierwszy. Ale życie Zachodu, zwane szczęśliwym, nie podobało mi się w żaden sposób i pod żadnym względem. A więc to dwukrotne napychanie się jedzeniem każdego dnia; i to, że nigdy samotnie nie spędza się nocy; i w ogóle wszystko, co tylko wiąże się z takim typem życia. Takie obyczaje nigdy i nikogo nie uczynią rozumnym. Nikogo z ludzi pod niebem, kto by stosował je od lat młodzieńczych. Jakież bowiem zalety wrodzone, choćby najświetniejsze, zdołają zwycięsko wyjść z tej próby? Żyjąc tak nikt nawet nie zapragnie stać się roztropnym! Podobnie ma się sprawa z innymi wartościami duchowymi.

Żadne państwo nie zazna spokoju, jakkolwiek byłby jego ustrój, jeśli ludzie będą uważać, że wszystko należy trwonić na zbytki i oddawać się lenistwu – oczywiście z wyjątkiem trudów zabaw, pijatyk, miłości. Jest po prostu rzeczą nieuchronną, że państwa, których mieszkańcy tak żyją, muszą bez przerwy zmieniać swój ustrój: to na tyrański, to na oligarchiczny, to na demokratyczny.

Takie więc nurtowały mnie myśli (prócz tych, o których już wspomniałem), gdym stanął w Syrakuzach. Zawędrowałem tam może przypadkiem. Ale raczej byłbym zdania, że to jakaś wyższa moc dała wtedy początek tym wydarzeniom, które rozgrywają się obecnie.”

Takie słowa i nawoływania brzmią mi obco, drętwo, nieprzekonywająco. Nawet jeśli ich autorem jest założyciel Akademii. Ale – rozumiem Platona.

Przede wszystkim był on przyzwyczajony do stosunków w Grecji właściwej, gdzie nawet najmożniejsze miasta nie mogły się równać z bogactwami Zachodu. W Italii zresztą i na Sycylii żyło się nie tylko dostatniej, lecz także swobodniej, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy miłości. Osadnicy bowiem, którzy przybywali tu z miast macierzystych, odrzucali precz więzy konwensów i staroświeckich obyczajów; żyli tu radośniej i naturalniej, sięgając po każdą rozkosz.

Sądzę też, że Platon, podobnie jak wszyscy arystokraci ateńscy, żywił pewien kult dla ideałów wychowania spartańskiego. Jakie to były ideały, rozwodzić się nie muszę, bo sława ich chyba nigdy nie zginie. Karność, ślepe posłuszeństwo, wojskowa dyscyplina, zniszczenie wszelkich przejawów indywidualizmu będą z całą pewnością poprzez wszystkie wieki uchodziły w oczach wielu za fundament społecznego zdrowia. Inni, w tej liczbie i ja, nie mogą myśleć o spartańskim modelu obywatela bez dreszczu najgłębszej awersji. Rozumiemy bowiem, że jeśli zrealizuje się gdzieś ów ideał społeczeństwa złożonego z jednostek krzepkich i tępych, będzie to zarazem kresem i śmiercią kultury; tak właśnie jak zmarła kultura w Sparcie.

Po trzecie wreszcie: dopiero w Italii Platon zetknął się bezpośrednio z półtajnymi bractwami pitagorejczyków. Ich nauki wywarły nań wpływ ogromny, porównywalny chyba z tym, co wziął od Sokratesa. Ale właśnie pitagorejczycy prowadzili niemal ascetyczny tryb życia, unikając nawet spożywania mięsa, ubierając się skromnie, rezygnując ze swych majątkowości na rzecz wspólnoty. Kontrast więc pomiędzy ich prostotą i wstrzemięźliwością a luksusem i rozwiązłością miast Zachodu musiał być dla Platona wręcz uderzający.

PLATON I DION

Dlaczego Platon przyjechał do Syrakuz? Dla późniejszych historyków sprawa była prosta; młody Dion, a może nawet sam tyran Dionizjos, gdy tylko dowiedział się, że w Italii bawi filozof tak sławny, natychmiast i usilnie zaczął prosić go o przyjazd. Owi wszakże historycy, patrzący z dalekiej perspektywy, nie brali pod uwagę, że wtedy imię Platona nie było jeszcze zbyt głośne. Wprawdzie liczył on wówczas lat prawie czterdzieści, wprawdzie był już autorem kilku dzieł filozoficznych w formie dialogów, ale w gruncie rzeczy wiedziała o nim tylko stosunkowo nieliczna grupa myślicieli, rozproszonych po różnych miastach Hellady. Ale mimo to twierdzenie, że właśnie Dionizjos zaprosił Platona, nie jest zupełnie nieprawdopodobne. Jak bowiem wnet to pokażę, tyran, choć pochłonięty wielkimi sprawami politycznymi i wojskowymi, żywo interesował się literaturą, chętnie gościł pisarzy, a nawet sam próbował swych sił na polu poezji.

Wyczytałem gdzieś, że Platon udał się na Sycylię głównie po to, by ujrzeć na własne oczy sławny wulkan Etnę i zbadać przyczyny jego wybuchów; Wezuwiusz wówczas jeszcze milczał; wtedy to, gdy bawił u stóp groźnej góry, przyszło nagłące zaproszenie z Syrakuz, któremu odmówić w tej sytuacji byłoby nieporęczne. Sprawy nie da się dziś rozstrzygnąć, sam bowiem Platon wyraża się bardzo mglście o bezpośrednich powodach swego przyjazdu do stolicy Sycylii: „Zawędrowałem tam może przypadkiem.”

Pewne jest natomiast, że nawiązał tam bliższą znajomość, a nawet przyjaźń z młodym, bo zaledwie dwudziestoletnim Dionem. Szwagier i wychowanek tyrana liczył wówczas dokładnie tyle lat, ile Platon, gdy stał się uczniem Sokratesa. I podobnie jak Platon, Dion z młodzieńczym zapałem pragnął zdobyć prawdziwą mądrość dla dobra swego państwa i społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że w dalszym ciągu listu siódmego Platon pisze o nim bardzo serdecznie:

„Co mam na myśli mówiąc, że początkiem wszystkiego stało się moje ówczesne przybycie na Sycylię? Gdy przestawałem z Dionem, wówczas młodym człowiekiem; gdy wskazywałem mu w rozmowach, co byłoby najlepsze dla ludzi; gdy radziłem mu, aby wcielał to w życie – chyba nie zdawałem sobie sprawy, że nieświadomie już pracuję w jakiś sposób nad obaleniem tyranii. Dion bowiem był w ogóle bardzo pojętny, szczególnie zaś podatny na ówczesne moje wywody. Chłonał je tak bystro i szybko, jak nikt z młodych, z którymi kiedykolwiek się stykałem. Postanowił też żyć inaczej niż większość Italiotów i Sycylijczyków. Cnotę umiłował nad rozkosz i zbytek.”

Tak więc przyjaźń z Dionem jest doskonale poświadczona. Czy jednak Platon zetknął się wówczas także z Dionizjosem? W liście siódmym nie znajdziemy o tym ani słowa. Wydaje mi się wszakże, że osobiste kontakty i rozmowy filozofa z władcą Syrakuz można uznać za fakt całkowicie pewny, jako że był to człowiek, który szczerze pragnął znajomości z twórcami.

CÓRKI TYRANA

Swoim trzem córkom Dionizjos dał imiona niezwykle: Arete, czyli Dzielność, Dikajosyne, czyli Sprawiedliwość, Sofrosyne, czyli Rozwaga. Oczywiście wybrał je nie przypadkowo, lecz z głębszym zamysłem. Pragnął pokazać ludowi i całemu światu greckiemu, jakie to wartości duchowe uważa za najcenniejsze podpory, a zarazem też cele swych rządów.

Mnie wszakże, wychowanka Akademii, od razu uderza jeszcze coś innego: przecież w Platońskich dialogach rozprawia się wciąż i przede wszystkim o istocie dzielności, sprawiedliwości, rozwagi, a także o tym, jak te zalety osiągnąć. Błędem jednak byłoby przypuszczać, że Dionizjos nazwał swe córki pod wpływem właśnie Platońskich utworów, bo przecież one wtedy dopiero powstawały, a w każdym razie jeszcze nie były znane na Sycylii. Toteż nasuwa mi się inne, chyba bardzo prawdopodobne wyjaśnienie tej sprawy.

Wydaje mi się, że zagadnienia, na czym polega prawdziwa dzielność, sprawiedliwość, rozwaga, były w tych czasach powszechnie dyskutowane. Nie tylko w Atenach i nie tylko w Syrakuzach, lecz niemal we wszystkich miastach helleńskich. Należały, by tak rzec, do czołowych haseł i problemów tamtej epoki. Chciano mieć dzielnych, dobrych obywateli; wołano o sprawiedliwe rządy; szukano rozważnych przywódców. Sądono, że wystarczy właściwie zdefiniować te pojęcia, aby następnie, drogą perswazji i nauki, wpoić je wszystkim i w ten sposób stworzyć państwo doskonałe. Pogląd naiwny? Zapewne. Podejrzewam jednak, że ludzie każdej epoki są w jakiejś mierze naiwni; wierzą bowiem głęboko i niezachwianie, że osiągną pełnię szczęścia, jeśli tylko potrafią wcielić w życie te czy inne oderwane pojęcia. Dlatego to bez końca debatują o ich istocie, spierają się o poprawność określeń, podają coraz to nowe recepty przyoblekania słów w kształty ciała. Więcej! Gotowi są zabijać i umierać, byle tylko dowieść prawdziwości jakichś zlepków wyrazów; bo ostatecznie czymże innym są wszelkie definicje?

Być może, iż jestem ofiarą własnej wyobraźni. Bogata i niespokojna, każe mi ona zgłębiać tajemne praktyki magów, to znowu wybiegać myślą w przyszłość i zastanawiać się, jaki to będzie nasz świat za dziesięć, za piętnaście, za dwadzieścia wieków. Jednego jestem całkowicie pewien, bo tego nauczyło mnie zarówno studium filozofii, jak też pilna obserwacja wydarzeń życia codziennego: istoty śmiertelne będą zawsze tak samo łatwowierne. Nie jestem ani wróżbitą, ani prorokiem, nie potrafię więc nazwać po imieniu owych bożyszcz ludzi przyszłości. Wiem, że będą. Ostatecznie niemal każde pięknie brzmiące słowo nadaje się, by uczynić zeń hasło; a hasła dotyczyć mogą życia religijnego, społecznego, ustrojowego. Zawsze znajdują się filozofowie, bardzo uczenie, lecz i głupkowato spierający się o ich treść prawdziwą, oraz fanatycy, z lubością wzajem się wymordowujący tylko z powodu różnic w definiowaniu pojęć.

Gdybym ja, Apulejusz z Madaury, został jakimś cudem przeniesiony w przyszłość, cóż mógłbym rzec owym potomnym – niby to odległym, a w istocie jakże bliskim? Chyba tyle:

– Opamiętajcie się, drodzy! Nie powtarzajcie błędów przeszłości. I myśmy to przechodzili – tyle że słowa brzmiały troszkę inaczej. A za czasów Platona i Dionizjosa jeszcze inaczej: *arete, dikajosyne, sofrosyne*.

Wracam jednak do rzeczy. W moim mniemaniu ów pomysł z imionami córek dobrze świadczy o talentach jedynowładcy. Zrozumiał on jasno, że nic tak nie ułatwia rządów, jak zręczne posługiwanie się pewnymi słowami i gestami. Masy łatwo zadowolić i omamić. Jakżeż miałyby one nie miłować pana, który jest dzielnym ojcem Sprawiedliwości i Rozwagi?

TYRAN I LITERATURA

Miałem mówić o stosunku Dionizjosa do twórców; pozornie od tego tematu odbiegłem, dając wywód o imionach jego córek. Ale właśnie ta nieco okrężna droga prowadzi ku samemu sednu sprawy. Napisałem bowiem dopiero co, że Dionizjos chciał uchodzić za ojca sprawiedliwości; aliści tenże sam człowiek jest autorem znanego powiedzenia, że tyrania to matka niesprawiedliwości; pochodzi ono z któregoś z jego dość licznych dramatów.

Otóż to właśnie: strateg-samodzierzca pisywał dramaty i zajmował się muzyką, był kompozytorem. To prawda, że jego utwory poetyckie niektórzy krytykowali, głównie ze względu na sztuczny styl, pełen wyszukanych słów i zwrotów. Mnie trudno o tym wyrokować, bo jeśli gdzieś jeszcze się zachował dorobek pisarski Dionizjosa, to tylko w bibliotece Aleksandryjskiej (dalszy powód, by wreszcie wybrać się do Egiptu!). W literaturze powtarza się czasem zaczerpnięte z Dionizjosowych dramatów fragmenty i powiedzenia, jak to wyżej przytoczone.

Niektórzy oburzają się przy tym na bezprzykładny cynizm człowieka, publicznie stwierdzającego, co sądzi o istocie i skutkach swej władzy. Ale wniosek to chyba nazbyt pochopny. Ja osobiście przypuszczam, że słowa te, wypowiedziane przez jedną z osób dramatu, były przez inną zwalczane; w każdym razie nie mówią nic o własnych poglądach Dionizjosa. Zresztą – czy w ogóle uważał się on za tyrana? Może sam przed sobą uzasadniał swe stanowisko tym, że w latach śmiertelnego niebezpieczeństwa ktoś musiał ująć rządy mocną ręką, aby sprawować je dzielnie, uczciwie, rozważnie.

Dionizjos nie tylko sam był pisarzem, lecz także popierał twórców i ludzi wysoko stojących intelektualnie. Do jego najbliższych doradców należał Filistos, który później zasłynął jako świetny historyk. Ale może już od początku objawiał swoje zainteresowania i talenty historyczne? To by wiele mówiło o dobrym rozeznaniu Dionizjosa, który rozumiał, że w ostatecznym rozrachunku potomność wydaje wyrok o każdym władcy i o każdej epoce tylko na podstawie obrazu, jaki przekażą historycy i literaci.

Poetę Filoksenosa zaproszono z wyspy Kitery na dwór syrakuzkański już jako sławnego twórcę. Komponował on pieśni chóralne, zwane dytyrambami. Ten gatunek poezji przeżywał wówczas swój rozkwit, a zarazem dokonywały się w nim duże zmiany: muzyka brała górę nad tekstem, język zaś stał się wyrafinowanie kunsztowny. Przez dłuższy czas Filoksenos cieszył się względami pana Syrakuz, ale na krótko przed przybyciem Platona doszło między nimi do ostrego sporu. Niełatwo wykryć, o co poszło, dawni bowiem autorzy różnie o tym piszą.

Według jednej wersji rzecz tak się przedstawiała:

W czasie pewnej uczty tyran odczytał fragment swego najnowszego utworu i zapytał Filoksenosa, jak rzecz ocenia. Ten odpowiedział szczerze, że niezbyt wysoko. Urażony Dionizjos zapomniał, że jest gospodarzem, i zawołał:

– Obrażasz mnie, boś zazdrosny!

Stąd rozwinęła się coraz ostrzejsza wymiana zdań, zakończona, jak się godziło w państwie tyrańskim, rozkazem wtrącenia Filoksenosa do kamieniołomu. Ale już następnego dnia gniew minął i ułaskawiony poeta zjawił się na przyjęciu. Podano wino. Dionizjos swoim zwyczajem znowu zaczął deklamować urywki własnych poematów. Zwrócił się do gościa:

– Co powiesz o tych wierszach?

Ten nie odpowiedział. Podniósł się, podszedł do straży i rozkazał:

– Prowadźcie mnie do kamieniołomów!

Tyran roześmiał się i puścił rzecz w niepamięć. Wspólni przyjaciele ostrzegli jednak poetę, że nie powinien przeciągać struny. Przynależ więc, że będzie wyrażał swoją opinię w ten sposób, by nie odbiegała ona od prawdy, a zarazem nie raniła miłości własnej Dionizjosa.

Zdarzyło się niedługo potem, że władca przedstawił swój utwór opiewający jakieś żałobne wypadki. Filoksenos zawyrokował:

– Te wiersze brzmią rzeczywiście żałośnie.

MIECZ DAMOKLESA

Ostatecznie jednak Filoksenos i tak mógł się uważać za szczęśliwca, pozwolono mu bowiem opuścić Syrakuzy. Wyjechał do Aten i wystawił tam dramat satyryczny o cyklopie zakochanym w nimfie Galatei. Wnet zaczęto podejrzewać, że pod postacią jednookiego olbrzyma poeta przedstawił i wykpił tyrana Syrakuz; rozeszła się nawet pogłoska, że Dionizjos i Filoksenos rzeczywiście rywalizowali o względy dziewczyny imieniem Galatea, co rzekomo doprowadziło do ich wzajemnych sporów i nienawiści.

Gorszy los spotkał innego twórcę, który dość długo bawił na dworze syrakuzkańskim. Myślę o Antyfoncie, dramaturgu ateńskim. Początkowo powodziło mu się bardzo dobrze. Nie-

którzy przypuszczają nawet, że jego udział w kształtowaniu dzieł poetyckich władcy był więcej niż wydatny. Potem wszakże naraził się swemu panu. Ponoć poszło o jedną tylko wypowiedź.

Toczyła się rozmowa o różnych rodzajach spiżu i o ich jakości. Zdanie Antyfonta w tej sprawie było bardzo określone:

– Najlepszy spiż? Ten oczywiście, z którego w Atenach wykonano posąg Harmodiosa i Aristogejtona.

Nie muszę chyba objaśniać, że ci dwaj ludzie, zabójcy tyrana Hipparcha, uchodzili już od pokoleń za symbolicznych wyzwolicieli swej ojczyzny. Wypowiedź więc była bardzo jednoznaczna. Dionizjos dobrze to zrozumiał. Antyfont zapłacił życiem za swoją poetycką przenośnię.

Mógłby ktoś uznać to za anegdotę zmyśloną dla zohydzenia tyrana. Jednakże opowieść jest chyba prawdziwa. Dionizjos żył w nieustannym napięciu nerwowym i w lęku. Dniem i nocą obawiał się zamachu na swe życie. Wszędzie dopatrywał się spisków przeciw swej władzy i osobie. Nie wierzył nikomu. Wiadomo przecież, że oddalił golibrodę, bo widok brzytwy w jego ręku przyprawiał go o drzenie. Odtąd goliły go córki. Później jednak stracił zaufanie nawet do swych latorośli: Dzielności, Sprawiedliwości, Rozwagi. Odebrał im żelazo i polecił, by włosy wypalały mu rozżarzonymi skorupkami żółodzi. Wiadomo też, że kiedy nocą szedł do łóżnicy, gdzie czekała jedna z żon, najpierw dokładnie badał i przeszukiwał przejście. Ale co najcięższe: samo łóżko było osobnym budyneczkiem, oddzielnym od reszty pomieszczeń głęboką fosą, przez którą prowadził mostek; Dionizjos podnosił go, zamykał drzwi łóżnicy na klucz i dopiero wtedy, oddzielony od całego świata, mógł swobodnie i bezpiecznie oddawać się rozkoszom miłości.

Ulubioną rozrywką tyrana była gra w piłkę. Ale właściwie i tej nie mógł uprawiać, musiałby bowiem zdjąć odzienie i miecz odpasać. Początkowo pozwalał sobie na to, z tym wszakże, że miecz oddawał do potrzymania swemu ulubieńcowi, młodziutkiemu chłopcu. Zdarzyło się wszakże pewnego razu, że ktoś z przyjaciół powiedział w tym momencie, gdy miecz wręczał:

– Powierzasz chłopcu swoje życie!

Chłopak roześmiał się. To wystarczyło: obaj zostali natychmiast straceni. Jeden za to, że wskazał możliwą drogę dokonania zamachu, drugi zaś za przyjęcie propozycji z uśmiechem.

Miecz Damoklesa stał się przysłowiowy. Pochlebca Damokles, który wychwalał przed tyranem jego potęgę, bogactwa, wspaniałość zamku, posuwając się nawet do twierdzenia: „Nie było nigdy nikogo szczęśliwszego od ciebie!” – otrzymał zaproszenie do stołu. Ułożono go na połączanej sofie, przykrytej przepięknie tkanym kobiercem; cała zastawa była ze złota i srebra, potrawy najwyszukańsze, podawali zaś śliczni chłopcy, śledzący każde skinienie; woń kwiecica mieszała się z zapachem najcenniejszych pachnideł. Zaledwie jednak Damokles wyciągnął się z uśmiechem pełnego zadowolenia na swym łożu, spostrzegł z przerażeniem, że wprost nad jego karkiem zwisa miecz ciężki i ostry, leciutko chwiejąc się na cienkim włosie końskim.

Zauważyłem, że obecnie bardzo powszechnie używa się określenia „miecz Damoklesa”, by obrazowo przedstawić groźbę śmiertelnego niebezpieczeństwa, które zagraża komuś każdej chwili. Zapomina się wszakże najczęściej, że Dionizjosowi chodziło o to, by pokazać swoją sytuację, a więc położenie tyrana.

Całkiem mnie nie dziwi, że człowiek, który bezustannie obawiał się ciosu miecza lub ostrza sztyletu, tak bezwzględnie karał nawet pośrednie i aluzyjne ataki na istotę władzy tyrańskiej.

PLATON I DIONIZJOS

Z takim to człowiekiem i z takimi sprawami zetknął się Platon w Syrakuzach. Nie wątpię, że spotkał się z tyranem osobiście. Zresztą nie był pierwszym filozofem na tym dworze. Jak się wydaje, już wcześniej przebywał tam Arystyp, również uczeń Sokratesa. Jego poglądy były swoiste: gardził konwenansami, nade wszystko zaś cenił prostotę i naturalność. Pogodny, dowcipny, towarzyski, wszędzie czuł się dobrze i niczym nie naraził się tyranowi.

Podejrzewam, iż rozmowa Platona z Dionizjosem miała za punkt wyjścia imiona córek tego ostatniego. Filozof, tak sobie wyobrażam, wychwalał pomysł, potem zaś sokratejskim zwyczajem zaczął się zastanawiać, co też właściwie oznaczają owe imiona i pojęcia. Moje przypuszczenie ma pewne podstawy. Zachowała się bowiem relacja, co prawda późna, że w rozmowie dyskutowano nad określeniem *arete*, czyli dzielności; a tak właśnie zwała się jedna z córek. W pewnym momencie Platon miał stwierdzić, że tyran nie może prawdziwie posiadać tej zalety. W dalszym ciągu wywodził, że życie sprawiedliwe jest szczęsne, niesprawiedliwe zaś nędzne i godne współczucia; a Dikajosyne, czyli Sprawiedliwość, to imię drugiej córki. Samodzierzca, tak powiadają, zrozumiał te słowa jako oskarżenie swych rządów. Gniewało go również, że obecni z takim podziwem słuchają Platona. Zapytał go wreszcie, w jakim celu przyjechał na Sycylię. Platon odpowiedział, że szuka wszędzie uczciwego człowieka, na co tyran odparł z pogardliwym uśmiechem:

Takiego chyba nigdzie nie znajdziesz!

W spotkaniu uczestniczył również młody Dion. Był on przekonany, że w tych słowach tyran wyładował cały swój gniew. A ponieważ Platon pragnął jak najspieszniej wrócić do swej ojczyzny, sprawił, że pozwolono mu wyjechać na okręcie, który wiozł na swym pokładzie również posła lacedemońskiego, Pollisa.

Jest też inna relacja o spotkaniu filozofa i samodzierzcy. Rozmowa miała ponoć dotyczyć istoty jedynowładztwa. Platon bronił poglądu, że w działalności politycznej na pierwszym miejscu należy stawiać nie to, co korzystne, lecz to, co wyróżnia się przez swoje wartości moralne. To doprowadziło do ostrej wymiany zdań.

Obie relacje są moim zdaniem banalne i w gruncie rzeczy nieprzekonywające. Czynią wrażenie fikcji literackiej albo raczej szkolnego wypracowania na temat: Opowiedz, jak powinna wyglądać rozmowa filozofa z tyranem. Takie wypracowanie pisało się, odkąd istnieje nasza cywilizacja – i będzie się pisało do ostatniego dnia jej trwania. Podtrzymuję wszakże, com powiedział poprzednio: pretekstem do zasadniczej rozmowy stały się najprawdopodobniej imiona córek tyrana.

Przytoczone przeze mnie przykłady, a zwłaszcza los Antyfonta, czyniłyby całkiem do przyjęcia tezę, że Dionizjos, władca podejrzliwy i łatwo wybuchający gniewem, poczuł się dotknięty jakimś niebaczny słowem Platona. Myślę wszakże, że naprawdę rozdrażniło go coś innego, a mianowicie gorąca przyjaźń, która nagle i żywiołowo zrodziła się pomiędzy młodym Dionem a filozofem ateńskim. Sam Platon pisze przecie w liście siódmym, że Dion, bardzo pojętny, był szczególnie podatny na jego ówczesne nauki; chłonał je bystro i szybko, a potem postanowił w ogóle zmienić sposób i cele swego życia. Konkretniej treści owych nauk oczywiście nie znamy. Ale słowa listu siódmego są w tym miejscu bardzo znaczące: „Chyba nie zdawałem sobie sprawy, że już pracuję w jakiś sposób nad obaleniem tyranii.”

Gdybym był na miejscu Dionizjosa, wygnałbym lub zabił natychmiast owego przybysza z Aten, pięknoducha i deprawatora młodzieży.

NIEWOLNIK PLATON

Prawie wszyscy dawni autorzy podają zgodnie, choć różniąc się w szczegółach, że w drodze powrotnej z Syrakuz do Aten Platona spotkała przykra przygoda: został sprzedany jako niewolnik. Stało się to za sprawą współtowarzysza podróży, lacedemońskiego posła Pollisa; pojmał on i oddał Platona w ręce kupców, gdy tylko okręt przybił do wybrzeży Eginy. Wyspa ta leży pomiędzy Attyką a Peloponezem; wzgórza opodal Aten można z niej doskonale dostrzec gołym okiem. Tak więc Platon postradał wolność niemal u bram swej ojczyzny. Ateny i Egina od wieków prowadziły ze sobą krwawe wojny, dlatego też mieszkańcy wyspy byli tradycyjnie przyjaciółmi Lacedemonu; w owych zaś latach znajdowała się tam baza lacedemońskiej floty wojennej; nic dziwnego, że Pollis mógł poczynić sobie tak śmiało.

Oczywiście poseł spełniał prośbę Dionizjosa. Powiadają nawet – któż jednak dojdzie, czy to prawda? – że tyran zalecał Pollisowi, by postarał się zgładzić Platona w czasie żeglugi; tak, zdaniem władcy, byłoby najlepiej; ale gdyby zabójstwo wiązało się z jakimiś trudnościami, należy koniecznie sprzedać filozofa w niewolę; nie przyniesie mu to żadnej ujmę, przeciwnie, jako człowiek sprawiedliwy będzie w pełni szczęśliwy nawet jako niewolnik.

Przygoda Platona nie była tak groźna, jak mogłoby się wydawać na pozór. W gruncie rzeczy chodziło tylko o złożenie odpowiedniego okupu. Ponieważ wiadano, że Platon jest człowiekiem zamożnym, żądano z pewnością sumy raczej wysokiej. Wyplacił ją niejaki Anikeratos, Grek pochodzący z Libii. Znalazł się wówczas na Eginie przypadkowo, jechał bowiem do Olimpii, aby wziąć udział w igrzyskach, które miały się tam odbyć po raz 98 [rok 388 p.n.e.]. Anikeratos zamierzał wystawić tam czwórkę swoich koni, co świadczy, że był bardzo zamożny. Wątpliwa to rzecz, czy w ogóle znał przedtem Platona. Wykupienie filozofa z niewoli było swego rodzaju transakcją handlową; dobroczyńca bowiem otrzymał później zwrot całej sumy z odpowiednim procentem, za co znowu ręczyli wspólni przyjaciele.

Po kilku godzinach żeglugi Platon wreszcie znalazł się na rodzinnej ziemi. Zwiedził wiele krain i miał za sobą dużo doświadczeń.

OLIMPIADA 98

Tymczasem wyzwoliciel Platona, Anikeratos, wylądował na wybrzeżach Peloponezu i stamtąd podążył ku Olimpii. Nie wiadomo, czy jego zaprzęg odniósł jakikolwiek sukces. Wiadomo natomiast, że nie zwyciężyły w czasie tych igrzysk konie tyrana Syrakuz, Dionizjosa; co z pewnością ogromnie uradowało Platona.

Tyran wyprawił do Olimpii kilka czwórek koni wyścigowych. Wspaniałemu poselstwu syrakuzzańskiemu przewodził rodzony brat władcy, Tearidas, dowódca floty, a więc formalnie druga osoba w państwie. Poselstwo występowało z niebywałym przepychem. Największy podziw wzbudzały złożone namioty, wewnątrz pokryte drogocennymi, barwnymi kobiercami. W skład ekipy wchodził też zastęp znakomitych pieśniarzy; mieli oni odtwarzać poematy samego Dionizjosa.

Jednakże los od samego początku nie sprzyjał Syrakuzńczykom.

Zaczęło się od wielkiego sporu w sprawie zasadniczej, czy w ogóle godzi się dopuszczać ludzi Dionizjosa do igrzysk. Z poglądem, że tego czynić nie wolno, wystąpił Lizjasz. Był to ten sam Lizjasz, który przed piętnastu laty, gdy w Atenach rządziła Komisja Trzydziestu, stracił cały majątek; zginął wówczas jego brat Polemarch, a on sam cudem się uratował uciekając przez tylną bramę domu, w którym go uwięziono. Potem Lizjasz wrócił do Aten wraz z demokratami i zastąpił jako adwokat, ale majątku nie odzyskał.

Obecnie Lizjasz atakował Dionizjosa przed nieprzejrzanymi tłumami, jakie napłynęły do Olimpii. Wzywał, by nie pozwolono pacholkom tyrana bezcześcić świętych igrzysk ludzi

wolnych. Rzucił nawet pięknie brzmiące hasło oswobodzenia Sycylii spod jarzma samodziernicy. Miał po temu pewne prawo, ponieważ rodzina Lizjasza wywodziła się właśnie z Syrakuz, osiadła zaś w Atenach przed dwoma pokoleniami, dzięki namowom Peryklesa; przypominam, co opowiadał o tym sam Kefalos, ojciec Lizjasza, wychwalając przed Sokratesem pożytki starości.

Udało się Lizjaszowi podburzyć część słuchaczy. Doszło do tumultu, zrabowano i zniszczono wspaniale namioty syrakuzkańskie. Mimo to ekipa przysłana przez Dionizjosa wzięła udział w zawodach. Bez powodzenia. Niektóre zaprzęgi wybiegły poza tor wyścigowy, inne zaś wzajem wpadły na siebie. A poetyckie utwory Dionizjosa, mimo piękna głosu pieśniarzy i deklamatorów, nie znalazły poklasku.

Rzecz to oczywista, że zarówno udział Dionizjosa w igrzyskach, jak też ostre wystąpienie Lizjasza przeciw temu miały uzasadnienie polityczne. Pan Syrakuz pragnął olśnić Hellenów swoją potęgą, Lizjasz natomiast walczył o sprawę wielką i szlachetną, choć nierealną. Przedstawił widzom, przybyłym do Olimpii z wielu krain, katastrofalną sytuację, w jakiej znalazła się wspólna ojczyzna ich wszystkich. Trzon jego argumentacji, o ile pozwalają na to zachowane fragmenty, tak odtwarzam:

Już od siedmiu lat toczy się nowa wojna bratobójcza. Zmusza ona różne państwa Grecji do brania pieniędzy od Persów. A tymczasem nasze miasta w Azji Mniejszej znowu dostały się pod perskie panowanie, okręty zaś króla królów znowu pojawiły się na Morzu Egejskim. A co dzieje się na Zachodzie? Tyran Syrakuz, możny na lądzie i na morzu, ujarzmił i niszczy greckie miasta Sycylii, a grozi nawet Italii. W ten sposób Hellada, zwaśniona i słaba, znalazła się między dwoma mocarstwami, które łączy jeden cel wspólny: odebrać jej wolność i niepodległość.

Lizjasz wołał:

– Nieszczęście naszych braci, którzy już stali się niewolnikami, jest naszym nieszczęściem. Czy mamy biernie czekać, póki obaj samodziernicy, król królów i tyran, nie uderzą wprost na nas? Musimy, choćby w tej ostatniej chwili, zebrać siły i wspólnie stawić opór ich butnej pewności siebie!

A więc Lizjasz wznosił się wysoko ponad małostkowy punkt widzenia, właściwy prawie wszystkim obywatelom małych państewek. Stało się tak chyba dlatego, że w istocie nie był obywatelem żadnego: jego ród wywodził się z Syrakuz, ojczyzną zaś z wyboru były Ateny, które jednak odebrały mu majątek i odmawiały praw politycznych. Ale właśnie te klęski osobiste jakby wyzwoliły Lizjasza. Ogarniał wzrokiem szeroki horyzont. Pragnął jedności wszystkich państewek helleńskich. Wzywał do zgody śmiertelnych wrogów, Ateny i Spartę. Wierzył, iż tylko w ten sposób uda się ocalić to, co najcenniejsze: niepodległość polityczną całości i wewnętrzne swobody obywatelskie. Iluż jednak Hellenów potrafiło wówczas myśleć podobnymi kategoriami? Nie jestem zupełnie pewien, czy nawet Platon naprawdę pojmował groźbę sytuacji. W każdym zaś razie w jego pismach nie spotykam ani wzmianki o tym, że nadchodzi kres bytu politycznego Hellady.

HELLADA POMIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Dla ludzi głębiej patrzących było wówczas oczywiste, że kształtuje się nowa konfiguracja polityczna i powstaje groźba wielkiego przymierza: Persji, Lacedemonu, Syrakuz. O tym świadczyły choćby te dwa fakty: Lacedemończycy prowadzili rokowania z Persami, a jednocześnie lacedemoński poseł Pollis przez dłuższy czas bawił u Dionizjosa w Syrakuzach.

W swej mowie Lizjasz wskazywał, czym grozi przyszłość. Nie podawał wszakże i nie mógł podać żadnych środków zaradczych. Kto wie nawet, czy gwałtownością ataku nie pogorszył sytuacji. Rozpętał bowiem namiętności i pchnął pospólstwo ku nieodpowiedzialnym wybrykom. Zrabowanie i zniszczenie namiotów w Olimpii bardzo rozjątrzyło Dionizjosa; być

może nawet, iż właśnie ten fakt skłonił go do bardziej zdecydowanego okazania Helladzie swej potęgi. Dokonał tego w rok po owej tak burzliwej olimpiadzie.

Rząd lacedemoński zawarł wówczas układ z królem perskim, w którym postanawiano:

Wszystkie greckie miasta w Azji Mniejszej i na Cyprze mają odtąd podlegać Persom. Wszystkie inne natomiast mogą rządzić się własnymi prawami, żyjąc w pokoju. Nad przestrzeganiem tego pokoju czuwać będzie Lacedemon, a najwyższym jego stróżem i gwarantem zostaje król perski.

Innymi słowy: Lacedemonczycy oddali Persom swych braci w Azji Mniejszej, w zamian zaś zyskali zaszczytne zadanie czuwania, by Hellada pozostała zbiorowiskiem słabych, skłóconych państweczek, dumnych z tego jedynie, że posiadają pewną autonomię wewnętrzną.

Ateny wszakże wciąż rozporządzały znaczną flotą, nie zamierzały więc ugiąć się przed wolą Persji i Lacedemonu. Ale właśnie w tym decydującym momencie wkroczył Dionizjos. Silna eskadra jego floty wojennej dołączyła się do okrętów lacedemońskich, operujących na Morzu Egejskim. Połączone siły mogły odciąć Atenom życiodajne szlaki, wiodące ku Morzu Czarnemu. Trzeba było ustąpić i pokornie zgodzić się na ów pokój, słusznie zwany królewskim. W ciągu kilku miesięcy kolejno przyjęły go i zaprzysięgły wszystkie wiodące państwa Hellady: Korynt, Ateny, Teby.

Nie było już żadnego sensu zajmować się polityką. Widział to chyba nawet Platon.

NAJKRÓTSZA DROGA DO NAJLEPSZEGO USTROJU

Tak nas nauczano, gdyśmy studiowali w Atenach:

Po powrocie z Sycylii Platon zakupił spory kawał ziemi w pobliżu gaju Akademos, nieco za murami miasta; ustanowił tam związek religijny ku czci Muz; związek ten, będący zarazem szkołą dla wybranych, miejscem wykładów i dysput, istnieje odtąd nieprzerwanie. Przetrwał już ponad pięć wieków, mimo tylu przewrotów, wojen i kataklizmów. Wierzę jak najgłębiej, że przetrzyma burze jeszcze groźniejsze. Być może zresztą, iż Akademia kiedyś nie będzie stać dokładnie w tym samym miejscu. Kto wie, czy nie przeniesie się do innych miast i krain. Kto wie, czy nie powstanie wiele Akademii; ale wszystkie one będą córkami jednej matki.

Przez dwadzieścia lat Platon nie opuszczał Aten. Pisał i nauczał, gruntował swoje dzieło. Pragnął skupić w Akademii i wychowywać ludzi dzielnych i mądrych. Takich, którzy by potrafili w sprzyjających okolicznościach ustanowić i prowadzić ustrój doskonały, o którym marzył nieustannie. Bo choć pozornie w ogóle się nie interesował aktualnym życiem politycznym, namiętności lat młodzieńczych całkiem w nim nie wygasły. Dowód? Wystarczy powiedzieć, że właśnie wtedy tworzył księgi *Państwa*, tak dokładnie omawiające jego kształt idealny.

Jest także inny dowód, jeszcze wymowniejszy. Oto po dwudziestu latach przyszło naglące wezwanie z Syrakuz. Zmarł Dionizjos. Władzę objął jego syn, Dionizjos II, liczący lat prawie trzydzieści. Wielkie wpływy na dworze miał jego stryj, Dion, tak dobrze znany Platonowi z okresu pierwszego pobytu na Sycylii. On to spowodował wysłanie zaproszenia, a Platon przyjął je natychmiast. Widocznie Dion dał do zrozumienia, że obecnie otwierają się w Syrakuzach nowe i wspaniałe perspektywy wcielenia w życie ich wspólnych ideałów ustrojowych.

Młody Dionizjos wydawał się człowiekiem bardzo uzdolnionym i prawdziwie zainteresowanym filozofią. Przejął po ojcu nie tylko władzę, lecz także żywość umysłu, chęć skupienia wokół siebie twórców z różnych dziedzin, a nawet pewne ambicje literackie. Platon, wtedy już bardzo sławny, miał stanowić najcenniejszy klejnot, zdobiący dwór syrakuzkański.

Filozof nie zwlekając zabrał się do dzieła. Wtedy to zaczęły powstawać księgi *Praw*, które tylekroć już cytowałem. Były one pomyślane jako teoretyczna podstawa ustroju sprawiedli-

wości, jaki powstanie na Sycylii pod rządami młodego Dionizjosa. I oto w czwartej księdze dzieła występujący w nim rozmówcy stają przed bardzo istotnym pytaniem:

Jakie powinno być państwo, w którym najłatwiej dałoby się wprowadzić nasze prawa?

Odpowiedź brzmi:

Dajcie nam państwo, którym włada tyran! Byle tylko był on młody, zdolny, dzielny, wspaniałomyślny!

Właśnie te zalety posiadał lub zdawał się posiadać Dionizjos II. A więc zdanie ostatnie jest wyraźnym ukłonem w jego stronę. Można by nawet rzec, że pochlebstwo brzmi nazbyt donośnie. Natomiast twierdzenie pierwsze, podstawowe, przynosi zaszczyt przenikliwości Platona. Bo rzeczywiście, biorąc rzecz praktycznie i realnie: ludzie w większości są nierozumni i nie pojmują, gdzie ich dobro i szczęście; aby więc tam ich poprowadzić, opornych i niechętnych, trzeba będzie użyć siły, przynajmniej z początku; nie ma zaś ustroju, który dawałby roztropnemu pasterzowi więcej władzy, niż właśnie daje tyrania.

Powiedziałem już gdzieś powyżej, że chyba żadna myśl wypowiedziana nie umiera; gdzieś i kiedyś każda stanie się rzeczywistością. Idee bowiem, jak naucza Platon, są wieczne i niezmiennie; jest nią więc i ta o najkrótszej drodze do najlepszego ustroju.

PAN I JEGO FILOZOF

Dionizjos był oczywiście zbyt roztropnym władcą, by poważnie traktować ustrojowe fantazje swego gościa; zapewne poprzestał tylko na wdzięcznym przyjęciu do wiadomości, że właśnie tyrania najszybciej prowadzi ku przyszłemu szczęściu całego społeczeństwa. Początkowo otaczał Platona wszelkimi względami, bo sprawy filozofii rzeczywiście go pasjonowały. Tymczasem jedno ze stronnictw dworskich zaczęło rozsiewać pogłoski, że Dion knuje spisek i sam chce objąć rządy. Tyran dał temu wiarę, Dion musiał iść na wygnanie. Dotknęło to Platona jak najboleśniej. Ale i tak, wbrew swej woli, musiał pozostać w Syrakuzach jeszcze półtora roku.

Gdy wreszcie powrócił do Aten, zastał tam Diona, który tu zamieszkał i stał się niemal członkiem Akademii. W owych latach zbierało się w jej portykach i ogrodach sporo wybitnych osobistości z różnych miast Hellady. Toteż w gruncie rzeczy instytucja ta, dzisiaj cichy przybytek teoretycznych rozważań, wówczas przypominała raczej półtajną organizację, przygotowującą przewroty polityczne.

Minęło pięć lat, poświęconych studiom, dyskusjom, pisarstwu. I znowu przyszło nagłące wezwanie z Syrakuz. Dionizjos prawdziwie cenił Platona i pragnął z powrotem mieć go przy sobie; wydaje mi się, że tyran ścigał co ciekawsze umysłowości ówczesnego świata i bawił się nimi zupełnie tak samo, jak dziełami sztuki, które kolekcjonował z wielkim zapalem. Wszelako tym razem Platon odmówił stanowczo. Władca wziął się na sposób: przyrzekł, że w razie przyjazdu filozofa ułaskawi Diona. Tak więc, powodowany przyjaźnią, Platon po raz trzeci stanął na ziemi sycylijskiej.

Jak było do przewidzenia, tyran słowa nie dotrzymał i ani myślał zgodzić się na powrót Diona. A kiedy Platon uporczywie dopominał się o sprawę Diona, sam popadł w tarapaty. Wydostał się z Syrakuz i przyjechał do Aten tylko dzięki wstawiennictwu możnych przyjaciół, zwłaszcza pitagorejczyków z Tarentu.

Odtąd założyciel Akademii już nie opuszczał swego rodzinnego miasta przez lat dwanaście, to jest aż do śmierci; zmarł zaś w pierwszym roku 108 olimpiady [rok 348 p.n.e.] licząc lat osiemdziesiąt lub niewiele ponad osiemdziesiąt. Podobno śmierć przyszła nagle, w czasie uczty weselnej u któregoś z przyjaciół.

Być może, iż druga i trzecia podróż sycylijska to wydarzenia dramatyczniejsze i ważniejsze od tamtej pierwszej, za Dionizjosa I. Być może także, że godziłoby się przedstawić dalsze

losy Diona, bardzo burzliwe; jeszcze bowiem za życia Platona powrócił on na Sycylię, walczył przeciw Dionizjosowi ze zmiennym szczęściem, a wreszcie zginął zamordowany przez jednego ze swych przyjaciół, bodaj że również wychowanka Akademii. Ja wszakże wciąż powracam do sprawy pierwszego pobytu Platona w Syrakuzach. Wtedy to bowiem zostały nawiązane kontakty z dworem i Dion dostał się pod wpływ Platona. Obie późniejsze podróże były tylko skutkiem i kontynuacją, wszystkim zaś przyświecała ta sama idea: ustanowić ustrój doskonały przy pomocy tyrana. Albowiem jestem przekonany, że filozof wciąż poszukiwał swego pana. To znaczy, by rzecz ująć ściśle: on, myśliciel, pragnął posłużyć się samodzielną tylko jako narzędziem przy realizacji swych szczytnych celów; tamten zaś, pan i władca, traktował intelektualistę jedynie jako zabawkę i błyskotkę, którą czasem pokazywał światu, wołając: patrzcie, jaki jestem kulturalny, jak opiekuję się twórcami, jak dbam o rozwój nauki, filozofii, literatury!

W ten sposób oszukiwali się wzajem obaj: pan i filozof.

MISTYFIKACJE

Zaledwie napisałem te słowa, a już zaczynam żywić pewne wątpliwości. Przecież w liście siódmym Platon stwierdza najwyraźniej, że za swym pierwszym pobyt w Syrakuzach, gdy przestawał z Dionem, nieświadomie pracował nad zniszczeniem tyranii. Z czego by wynikało, że pomiędzy pierwszą a drugą podróżą zapatrywania Platona uległy bardzo istotnej zmianie, przynajmniej w jednym punkcie: przedtem był bezkompromisowym wrogiem jedynowładztwa, później natomiast doszedł do wniosku, że właśnie tyrania jest w praktyce prawie nieodzownym etapem na drodze do idealnego ustroju.

Ale można by wyjaśniać ową niezgodność w inny sposób:

Platon pisał list siódmy u schyłku życia, a więc po trzech podróżach i po smutnych doświadczeniach z władcami Syrakuz; toteż przypisywał sobie wtedy poglądy, jakich początkowo zgoła nie miał. To znaczy, chciał uchodzić za przeciwnika tyranii od pierwszego z nią zetknięcia; i zapewne wydawało mu się, że tak było istotnie. Popęłił więc pewną mistyfikację, chyba nieświadomie. Ileż to bowiem razy każdy z nas rzutuje w przeszłość swoje intencje szlachetne i mądre – tyle że zrodzone już poniewczasie; o czym jakoś zapominamy.

Jednakże nie sposób wykluczyć ewentualności jeszcze innej, poważniejszej mistyfikacji. A mianowicie:

List siódmy, jak o tym już mówiłem, powszechnie uchodzi za utwór Platona, za rodzaj jego autobiografii. Czy to wszakże takie pewne? Przecież można założyć, a nawet próbować udowodnić, że list ten ułożył ktoś żyjący nieco później, na przykład któryś z uczniów mistrza; ktoś serdecznie zainteresowany tym, by przedstawić Platona jako nieustraszonego bojownika o wolność, jako wroga samodzielnia. Albowiem kontakty założyciela Akademii z tyranami, szeroko znane i komentowane, stanowiły przykrą plamę na jego sławie. Usunąć ją było najłatwiej powołując się na rzekomo własne słowa Platona. Natomiast to, co napisał on w czwartej księdze *Praw* o tyranii jako drodze do państwa doskonałego, można było uznać za nic nie znaczące, bo przecież są to tylko poglądy jednej z fikcyjnych osób w fikcyjnej dyspacie.

W razie przyjęcia takiego założenia łatwo dałoby się wyjaśnić pewną sprzeczność, na którą zwróciłem uwagę już poprzednio:

Autor listu siódmego bardzo ostro potępia Trzydziestu Tyranów, choć nie wymienia ich z nazwiska. Natomiast w dialogach Platona obaj ich przywódcy, Kritias i Charmides, występują dość często, i to jako postaci ciepło wspomniane, godne szacunku.

Czy słusznie więc postąpiłem biorąc list siódmy za punkt wyjścia przy badaniu życia i poglądów Platona? Mógłby mi ktoś zarzucić, że szedłem, wiedziony przez mistyfikatora. Od-

parłbym ten zarzut, wskazując, że innych informacji o założycielu Akademii poza tymi, które wyzyskałem, nie posiadamy. Dodałbym również, że właśnie owa niepewność i mglistość danych, to poruszanie się w świecie, w którym nie bardzo wiadomo, co faktem, a co mistyfikacją, jest czymś niezwykłym, podniecającym, pięknym. Oto prawdziwa przygoda intelektualna!

To wszystko nasuwa mi pewne pomysły, dotyczące mojej własnej osoby i sytuacji. Niedługo stanę przed sądem, to oczywiste. Emilian i Pudens wysuną oskarżenie, że przy pomocy czarów skłoniłem do wstąpienia w związki małżeńskie najbogatszą kobietę Oei. Zgromadzą wiele dowodów, powołają rzesze świadków. Będą wykrzykiwać:

– Apulejusz ukrywał tajemnicze przedmioty w lnianym zawiniątku! Skupywał dziwne, rzadkie ryby! Przyprawił Tallusa o padaczkę! Zamówił u snycerza wyobrażenie kościotrupa! W domu Krassusa odprawiał nocą przerażające obrzędy! Przyczynił się do śmierci Poncjana!

Z kolei ja wystąpię przed trybunałem. Odeprę tamte zarzuty, wykażę ich bezpodstawność, wyszydę nieuctwo oskarżycieli, obnażę brudy ich życia prywatnego. Powołam się wreszcie na argument ostateczny: każę odczytać testament Pudentilli, w którym ustanawia głównym dziedzicem Pudensa, mnie zaś wyznacza bardzo skromny legacik. Bogów powołam na świadków, że Pudentilla, rozgniewana na syna, spisała tę ostatnią wolę niechętnie i tylko ustępując moim namowom. Dam do zrozumienia, że w sytuacji, jaka się wytworzyła, nie będę już w stanie nalegać na spisanie testamentu o podobnej treści.

Ażeby odczytać testament Pudentilli przed sądem, trzeba będzie otworzyć go i zerwać pieczęcie, dokument więc straci wszelką moc prawną. Trzeba będzie opracować nowy. Nikt się nie zdziwi, gdy okaże się – po najdłuższym życiu mej żony – iż zawiera on postanowienia wręcz odmienne od poprzednich. Może stać się i tak, że to ja zostanę wyznaczony na głównego spadkobiercę pani, która posiada cztery miliony.

Nie wiem, Czytelniku, w jakiej wypadło żyć Ci epoce, w jakim kraju, w jakim ustroju. Nie wiem, jakie są Twoje poglądy, stan majątkowy, wykształcenie. Mniemam wszakże, że nieobce Ci są zagadnienia filozofii, skoro wzięłeś tę książeczkę do ręki i łaskaw byłeś doczytać ją aż do tych słów ostatnich; może nawet mienisz się, podobnie jak ja, dalekim uczniem Platona. Powiedz więc, bracie-filozofie, uczciwie i szczerze: czy dla czterech milionów nie imalbyś się nieszkodliwych czarów i nie popełnił drobnej mistyfikacji? Co ja uczyniłem, Twojej pozostawiam domyślności.